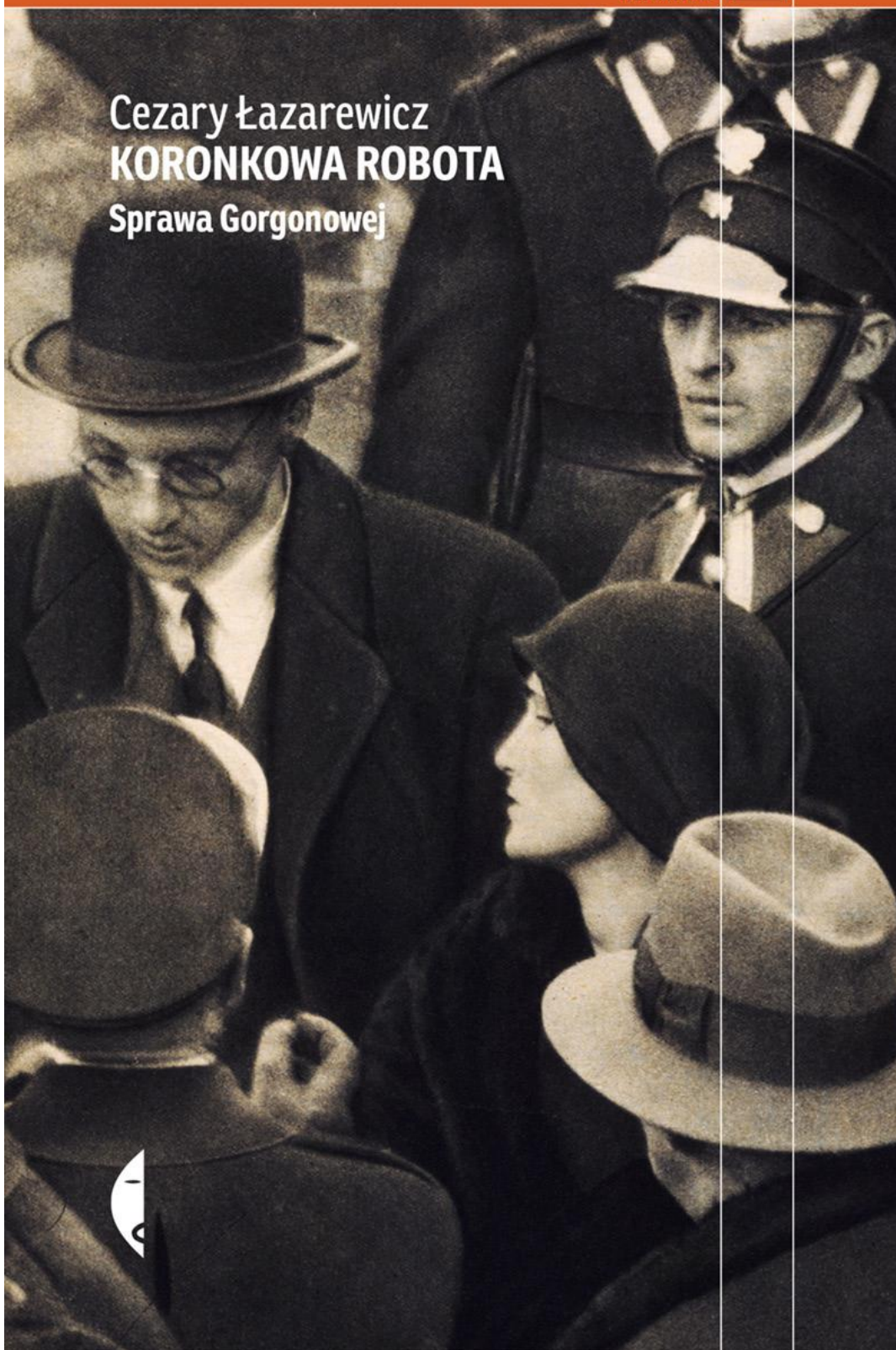


REPORTAŻ

Cezary Łazarewicz
KORONKOWA ROBOTA
Sprawa Gorgonowej



W serii ukazały się ostatnio:

Scott Carney *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci* (wyd. 2)

Misha Glenny *Nemesis. O człowieku z faweli i bitwie o Rio*

Adam Hochschild *Lustro o północy. Śladami Wielkiego Treku*

Kate Brown *Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne*

Drauzio Varella *Klawisze*

Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier*

Mariusz Szczygieł *Gottland* (wyd. 3 zmienione)

Maciej Czarnecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym*

Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki*

Paweł Smoleński *Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew*

Albert Jawłowski *Milczący lama. Buriacja na pograniczu światów*

Lidia Pańków *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego* (wyd. 2)

Mariusz Szczygieł *Niedziela, która zdarzyła się w środę* (wyd. 3)

Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy* (wyd. 2)

Wojciech Górecki *Toast za przodków* (wyd. 2)

Jonathan Schell *Prawdziwa wojna. Wietnam w ogniu*

Wojciech Górecki *Planeta Kaukaz* (wyd. 3)

Janine di Giovanni *Tamtego ranka, kiedy po nas przyszli. Depesze z Syrii*

Wolfgang Bauer *Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki*

Wojciech Górecki *Abchazja* (wyd. 2)

Bartek Sabela *Afronauci. Z Zambii na Księżyc*

Anna Pamuła *Polacos. Chajka płynie do Kostaryki*

Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 3)

Cezary Łazarewicz *Tu mówi Polska. Reportaże z Pomorza*

Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 2)

Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 4)

William Dalrymple *Dziewięć żywotów. Na tropie świętości we współczesnych Indiach* (wyd. 2)

Barbara Demick *Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej* (wyd. 2)

Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 2)

Ben Rawlence *Miasto cierni. Największy obóz dla uchodźców*

Dariusz Rosiak *Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha*

Jean Hatzfeld *Więzy krwi*

Aleksandra Boćkowska *Księżyc z peweksu. O luksusie w PRL*

Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe*

Ewa Winnicka *Był sobie chłopczyk*

Cezary Łazarewicz *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka* (wyd. 3)

Paweł Smoleński *Syrop z piołunu. Wygnani w akcji „Wisła”*

Marcin Kącki *Poznań. Miasto grzechu*

Piotr Lipiński *Bierut. Kiedy partia była bogiem*

Tomasz Grzywaczewski *Granice marzeń. O państwach nieuznawanych*

W serii ukaze się m.in.:

Zbigniew Rokita *Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium*

====aF05DD5aOQ9pWGBZb1s+DDtdalk7D2wJOVhgBDcBZVY=

Cezary Łazarewicz

Koronkowa robota

Sprawa Gorgonowej



Wołowiec 2018

Mojej mamie

Prolog

O Gorgonowej słyszałem od dziecka. Ta kobieta nigdy nie miała imienia. Tylko nazwisko. Tak o niej mówiła też moja babcia, która przed wojną mieszkała w Chełmie w województwie lubelskim i żyła tym głośnym procesem. Dla niej Gorgonowa była zawsze ofiarą, skrzywdzoną kobietą wpłątaną w zbrodnię. Winny był ogrodnik, który – zdaniem babci – na łożu śmierci przyznał się do zamordowania Lusi.

Gdy czterdzieści lat później przeczytałem w gazecie, że córka Gorgonowej walczy o uniewinnienie matki, od razu przypomniały mi się opowieści babci. Pojechałem do Trzebiatowa przeprowadzić z córką długą rozmowę dla portalu.

Ewa Ilić miała wtedy osiemdziesiąt trzy lata i była w centrum zainteresowania mediów, bo walczyła o unieważnienie przedwojennego wyroku na matkę i o jej rehabilitację. O nocy z 30 na 31 grudnia 1931 roku i zamordowaniu Lusi Zarembianki opowiadała tak, jakby to było wczoraj, a ona widziała wszystko na własne oczy. Wierzyła w niewinność matki, ale nie potrafiła jej dowieść. Podrzucała wciąż nowe tropy i teorie, które warto byłoby sprawdzić. W mediach znów wymieniano opinie, czy to Gorgonowa zabiła Lusię, czy ktoś inny.

Postanowiłem to ustalić.

Rok III. Nr. 13 (115) Cena 30 gr., w Czechosłowacji Kc. 1'20 Wychodzi w każdą niedzielę, 16 str. druku, 26 marca 1938

Tajny DETEKTYW



CZY CZASY SIĘ ZGADZAJĄ?

Gorgonowa w towarzystwie dr Jankowskiego, który ze stoperem w lewej ręce mierzy czas, idzie z

[^] Rita Gorgon podczas drugiej wizji lokalnej w Brzuchowicach, 18–19 marca 1933

CZEŚĆ I

1931–1933

Lusia zabita

**Brzuchowice, noc ze środy na czwartek,
30/31 grudnia 1931**

Wyłonił się z mroku i leci wprost na niego. Jest mały i bardzo kolorowy. Zmącony umysł podpowiada inżynierowi, że to koliber. Widział podobnego w jakiejś książce. Być może w encyklopedii u Trzaski, Everta i Michalskiego? Miał turkusowe piórka, pomarańczowy dziób i mały czarny ogonek.

Tylko skąd się wziął w Galicji, u podnóża Karpat, w środku śnieżnej, mroźnej zimy? Nawet on – inżynier architekt – wie, że kolibry żyją w tropikalnych lasach Ameryki Południowej. Zastanawia się nad tym i patrzy na swoją wielką, pomarszczoną dłoń, z której ptak zabiera ziarnko, podfruva do jego ust i próbuje mu je wcisnąć pod siwiejący wąs.

I wtedy jego turkusowe piórka zmieniają się w szare, dziób się zakrzywia, zaostrzają się pazury, puchnie głowa i korpus. Już nie jest kolibrem, ale sępem. Jego bure skrzydła są tak wielkie, że zasłaniają niebo. Wbijają ostre szpony w pierś inżyniera, a zakrzywionym dziobem próbuje rozpruć aortę. Nim tryśnie z niej krew, do snu wdziera się krzyk czternastoletniego chłopca. To Staś – syn inżyniera. Z jego pokoju dochodzą skowyt i jęki. Słowa są –jeszcze niezrozumiałe, ale ich sens wiadomy: Staś wzywa pomocy.

„Myślałem, że zachorował, upadł, zranił się, że trzeba go ratować” – zanotował potem inżynier.

Zrywa się z łóżka, pędzi przed siebie, ale zaraz zatrzymuje go mrok w progu sąsiedniego pokoju. To pokój Rity, jego życiowej partnerki, matki ich trzyipółletniej córki Romusi, śpiącej dziś w łóżeczku obok inżyniera.

Ciemność jest lekko rozświetlona przez odbite od grudniowego śniegu blade światło żarówki pobliskiego posterunku żandarmerii wojskowej. W pokoju Rity inżynier dostrzega na tle wielkiego okna werandy nieokreślony zarys szarości. To ważny szczegół, o który pytać go później będą śledczy, adwokaci, sędziowie, dziennikarze. Nigdy nie potrafi tego dokładnie opisać. Raz mówi, że to czarna masa przy drzwiach werandy, raz, że skulona postać wciśnięta między łóżko a toaletkę.

„Nie pomyślałem, że to może być ona – pisał później. – Ta czarność nocy podkreślona czarnością ową nieokreślonej masy na wprost moich drzwi uprzytomniła mi, że chłopca trzeba obejrzeć w świetle”.

Cofa się do nocnego stolika przy swoim łóżku i trzęsącymi rękoma zapala zapalką świecę w lichterzu tak nieszczęśliwie, że trąca szklankę z wodą (zbita szklanka będzie kolejnym ważnym szczegółem w budowanej później piramidzie poszlak).

Biegnie boso z płomykiem przez pokój Rity do jadalni z wielkim stołem i kominkiem.

Tapczan Stasia po prawej, wciśnięty we wnękę pod oknem. Chłopiec chodzi boso po pokoju i jęczy:

– Lu-sia za-bi-ta. Za-bi-taaaa. Zaaaaa-biiiiii-taa.

Elżbieta, zwana Lusią, to siedemnastoletnia siostra Stasia. Sypia w różowym pokoju za szklanymi drzwiami. Jej ciuchy upchnięte są w ogromnej szafie z ciemnego drewna stojącej po prawej stronie od wejścia. W trójdzielnym oknie, mimo mrozu, otwarty jest lufcik. Pod oknem

stoi stolik. Leżą na nim rękawice narciarskie. Narty oparte są o ścianę.

W rogu po prawej – biurko zawalone szkolnymi książkami i zeszytami. Są ferie, więc dziewczyna do nich nie zagląda.

Na ścianach obrazki: pejzaże i kwiatki.

Po lewej – łóżko. Ciężkie, stalowe, dosunięte do samej ściany. Pod nim damski kuferek i wielka skórzana waliza.

Pierścionki, rzemyk z kluczykiem i niedoczytaną książkę Lusia przed snem odłożyła na nocną szafkę, na której inżynier teraz stawia lichtarz ze świecą. Dopiero w świetle płomyka dostrzega zakrwawioną twarz córki. Leży bez ruchu, na wznak, z poduszką odrzuconą na nogi. Prawa noga wyciągnięta, lewa lekko podkurczona. Prawa ręka z zaciśniętą pięścią odrzucona za głowę, lewa – na bok. W słabym świetle nie widać jeszcze, że krwią nasiąknięty jest cały materac, z którego na drewnianą podłogę spadają karmazynowe kropelki, tworząc pod łóżkiem kałużę. Dokładniej opisze to ściągnięty później ze Lwowa biegły medyk – doktor Dawidowicz.

Na razie jest środek nocy. Czterdziestoosmioletni inżynier architekt Henryk Zaremba stoi przy łóżku córki, łapie ją za rękę, dotyka zakrwawionego czoła i krzyczy do stojącego za nim Stasia:

– Doktora! Wody!

Wodę przynosi służąca Marcelina Tobiaszówna.

Zaremba moczy szmaty i ociera nimi zakrwawione czoło córki. Staś odchyła jej rękę do tyłu, próbuje sztucznego oddychania.

Rita, którą Zaremba obserwuje kątem oka, nie podchodzi do łóżka. Stoi we wnęce w holu. Ma na sobie ciężkie brązowe futro z kołnierzem i zielone pantofle. Obserwuje z daleka, jakby się bała wejść do pokoju Lusi.

„Ani mi przyszło wówczas na myśl śledzić jej twarz” – pisze. Niepokoi go tylko to futro, bo on i Staś są wciąż na bosy, w -długich, nocnych koszulach, a ona stoi już w kapciach i otulona.

„Czyż w takich razach gra rolę wstydlivość niewieścia? Czy trzeba ubierać się w futro, kiedy pada krzyk: »Zabita!«?” – zastanawia się.

Gdy za chwilę natyka się na nią w jadalni, Rita nie patrzy mu w oczy, ale jest serdeczna. Zarzuca mu rękę na szyję, głaszcze po głowie, próbując ukoić jego rozedrgane ciało.

– Henryczku – szepce mu do ucha. – Ja się boję o ciebie. Uspokój się. Co się stało, to się nie odstanie.

Henryczek nie odpowiada.

„Łatwo powiedzieć: »stało się«. Łatwo dla niej, nie dla ojca. Przecież nie mogłem pójść położyć się spać” – zanotował.

Każe jej sprowadzić lekarza.

Czterdziestopięcioletni doktor Ludwik Csala jest specjalistą w zakresie chorób wewnętrznych i dziecięcych. To sąsiad Zarembów. Mieszka naprzeciwko w domu z czerwonej cegły, po drugiej stronie ulicy Marszałkowskiej. Rita zna go trochę, bo dwa lata temu była u niego z chorą Romusią. Obraca się na pięcie i wychodzi. Nie idzie najkrótszą drogą obok pokoju Lusi, ale przez jadalnię, swój pokój, małą werandę. Idąc do furtki wzdłuż budynku, nadkłada sporo drogi. Po co? To jedno z pytań, na które wkrótce przyjdzie jej odpowiedzieć przekonująco.

Bramka jest zamknięta na klucz. Wraca. Drugie wyjście jest po przeciwnej stronie ogrodu, obok domku ogrodnika Józefa Kamińskiego i jego żony Rozalii. Rita budzi go pukaniem w okno.

– Panie ogrodniku, wstawaj pan, bo nieszczęście! – krzyczy. Prosi, by otworzył jej tylną

bramkę, ale zaspany ogrodnik odkrywa, że zniknął klucz, który zawsze przy niej wisi.

Rita wraca do willi, zdejmuje zapasowy klucz z gwoździa w kuchni i biegnie z nim ponownie do głównej bramy.

Dom doktora Csali wygląda, jakby był w budowie. Okna w południowej części są zabite deskami. Na metalowej tabliczce na bramie wymalowana jest informacja, żeby wchodzić od strony krzyża, który stoi opodal.

Zbliża się pierwsza w nocy. Doktor Csala nie śpi. Już w łóżku, słyszy za ścianą hałas. Że to sąsiadka prosi o pomoc, informuje go furman, który wszedł do sypialni.

„Dlaczego nie pobiegła wprost do mnie, tego nie wiem” – zastanawia się później lekarz. Doktor Csala ubiera się i razem z furmanem ruszają do willi. Przed bramą stoi ogrodnik. Trzyma za obrozę ujadającego psa, by się na nich nie rzucił.

Doktor widzi przy łóżku dziewczyny Zarembę, który mamrocze:

– Ratuj, doktorze.

Csala pamięta skrzepniętą krew na twarzy dziewczyny.

Podchodzi do łóżka, bierze ją za rękę, próbuje wyczuć tętno. Przykłada ucho do piersi, patrzy na zboląłą twarz inżyniera.

– Przecież trupa się nie ratuje – mówi.

Zaremba wybucha płaczem. Lekarz bierze go pod rękę i wyprowadza. Inżynier próbuje poskładać w całość to, co wydarzyło się w domu w ciągu ostatniej godziny. Nie może zrozumieć, kto i dlaczego zastrzelił jego córkę. Bo tego, że zginęła od kuli, był pewien od chwili, gdy zobaczył otwarte okno w pokoju.

Jak morderca dostał się do domu? Przez okno? Drzwi? Werandę? Kuchnię? Nic nie wydawało się możliwe.

Gdy Rita biegnie po lekarza Csalę, Zaremba wysyła ogrodnika do odległego o dwa kilometry posterunku policji w Brzuchowicach. Ma zawiadomić policję o zamordowaniu Lusi. Kamiński się boi. Odmawia. Godzi się jedynie pójść do pobliskiego posterunku żandarmerii wojskowej tuż za bramą willi, tam gdzie przez całą noc świeci żarówka. Towarzyszy mu Staś.

– Panie Trela, niech pan wstanie, bo morderstwo. Pan dyrektor prosi. – Waleniem do drzwi ogrodnik budzi trzydziesto-pięcioletniego wachmistrza.

Kamiński prowadzi Trelę do domu, opowiadając mu o zamordowaniu panienki. Śnieg nieustannie pada.

Zaremba wita wachmistrza na werandzie.

„Przeciętny wojskowy, nieokrzesany i właściwie nienadający się do prowadzenia spraw tego gatunku” – tak zapamięta go Zaremba.

Idą do pokoju córki. Światło lampy naftowej jest słabe, więc Trela wyciąga służbową latarkę. Świeci nią po pokoju, szukając śladów włamywacza i miejsca, w którym mógł się dostać do domu. Pyta o uchylone okno, ale ma ono tylko trzydzieści osiem centymetrów. To zbyt mało, żeby dorosła osoba się przez nie przecisnęła. Zresztą ani na parapecie, ani na zakurzonej podłodze nie ma śladów, by ktokolwiek próbował je forsować. Na zewnątrz podobnie. Okno jest dość wysoko, więc jeśli ktoś próbowałby wejść, musiałby zdeptać śnieg. A ten jest nienaruszony. Zaremba się jednak upiera, że córkę zabili włamywacze. Razem z wachmistrzem szukają ich śladów na zewnątrz przy werandzie.

– Są! – krzyczy do Trela i każe mu ruszyć ich tropem.

Wachmistrz oświetla sobie drogę latarką. Odciski w śniegu są małe, okrągłe, jakby po damskich pantoflach bez obcasów. (Tak je w swoich zeznaniach opisze żandarm). Nie są zbyt wyraźne, bo przyprószył je śnieg. Nie ma ich zdjęć, bo stopniały, zanim rano przyjechała policja.

Prowadzą wzdłuż wschodniej ściany budynku aż do basenu. Tak domownicy nazywają

betonową nieckę, w której latem pluskają się dzieci. Teraz wygląda jak lodowisko. W zmrożonej tafli ogrodnik wyrąbał przerębę i czerpie się z niej wodę do gospodarstwa.

Naprzeciw basenu jest piwnica. Do niej też prowadzą ślady.

– Tam się ktoś schował! – krzyczy do Treli Zaremba.

Wachmistrz wyciąga z kabury nabity rewolwer i wolno stąpa po schodkach w dół. Klamka jest uszkodzona, więc żeby wejść do środka, trzeba mocno pchnąć drzwi. Po prawej i lewej jest miejsce na węgiel, na wprost nieczynny piec ogrzewania centralnego. Ani śladu po włamywaczu.

Tropy prowadzą dalej wzdłuż domu do małej werandy, przy której jest pokój Rity.

– Przecież to proste – tłumaczy inżynier mało rozgarniętemu żandarmowi. – Uciekając wzdłuż ściany domu obok piwnicy i basenu, minął małą werandę i przeskoczył przez mur.

Willa Zaremby otoczona jest wysokim, dwumetrowym murem, a miejscami metalową siatką. W okolicach małej werandy mur jest najniższy. To logiczne, że włamywacz wybrał właśnie to miejsce, by wejść do ogrodu. Tu, w puszystym, głębokim śniegu, powinny być dalsze tropy.

Wachmistrz szuka ich w towarzystwie ogrodnika Kamińskiego i Stasia. Penetrują okolice płotu. Niczego jednak nie widzą.

Wygląda na to, że napastnik dotarł do schodów małej werandy, a potem zniknął, bo tam się wszystko kończy.

– Nic nie znaleźliśmy – meldują ojcu.

„Byłem zgnębiony – notował później Zaremba. – Nikt nie odnajdzie zabójcy mego dziecka”.

O godzinie drugiej wachmistrz Trela telefonuje z oddalonej o kilometr kancelarii magazynów amunicji. Prosi o pomoc dyżurnego oficera Policji Państwowej miasta Lwowa. Mówi, że w Brzuchowicach zamordowano siedemnastoletnią Elżbietę, córkę architekta Zaremby. Dyżurny natychmiast stawia na nogi policjantów z komisariatu w Rzęśnie Polskiej i Józefa Frankiewicza, komendanta lwowskiej policji. Dwadzieścia minut później nadkomisarz Frankiewicz siedzi już w służbowym samochodzie i razem z wywiadowcami – aspirantem Bolesławem -Respondem i przodownikiem Walentym Lorchem – ruszają w drogę do Brzuchowic. Pogoda jest fatalna. Śnieg zasypuje drogę, więc pokonanie dziesięciokilometrowego odcinka, co zwykle trwa kilkanaście minut, zajmuje im prawie półtorej godziny. W pewnym momencie gubią drogę, kluczą, nie mogą znaleźć willi. W końcu porzucają samochód w lesie. Idą pieszo.

Do willi w Brzuchowicach docierają dopiero o czwartej. Są już tam dwaj policjanci z Rzęsnej Polskiej – starszy posterunkowy Gustaw Szwejcer i przodownik Józef Nuckowski – oraz dwóch nocnych stróżów, których postawili na straży pokoju Lusi.

Gospodarz siedzi przy wielkim stole w jadalni. Ma na sobie krótkie czarne futro. Na widok policjantów ze Lwowa podnosi schowaną w dłonie głowę.

– Bandy ciórkę mi zamordowali – ożywia się.

Śledczy przypominają Zarembie Flipa i Flapa. Starszy i tęgi to Frankiewicz, młodszy i szczupły – Respond. Obaj taktowni, delikatni. Siadają nawet przy stole, by pocieszyć i wesprzeć.

Wszędzie chodzą razem. Zaglądają w każdy kąt, każdy zaułek. Długo oglądają trupa i naradzają się ze sobą. Czasem o coś zagadną Zarembę. Na przykład czy jest bogaty. Albo czy trzyma pieniądze w domu? („Trzymam w banku we Lwowie” – odpowiedział Zaremba, nie bardzo wiedząc, co śmierć jego córki może mieć wspólnego z jego lokatami bankowymi). Potem ten starszy mówi coś, czego Zaremba nie może zrozumieć: że powinien im ułatwić śledztwo

i zachowywać się „po męsku”.

– Mój Boże! – Inżynier załamuje ręce. – Czym ja mogę ułatwić? Ja nic nie wiem.

O siódmej czterdzieści dwie robi się w Brzuchowicach jasno. Frankiewicz i Respond odkrywają na ścianach pokoju Lusi krwawe plamy. Znow przychodzą do inżyniera. Nie są już współczujący i mili. Są szorstcy, zimni, nieprzyjemni.

– Panie Zaremba, to nie był napad bandycki – tłumaczy mu Frankiewicz. – Pan powinien najlepiej wiedzieć, kto miał interes w zamordowaniu pańskiego dziecka. Niechże się pan wygada.

Zaremba robi wielkie oczy:

– Nikt nie miał interesu w zamordowaniu Lusi – odpowiada śledczym.

Ta kwestia nie podoba się inspektorom. Każą wyprowadzić go do jego pokoju i w drzwiach stawiają na straży mundurowego policjanta. Ma nie spuszczać go z oka.

„Boże, czego oni ode mnie chcą?” – zastanawia się Zaremba.

Nikt mu nic nie mówi. Nikt o nic nie pyta. Każą tylko siedzieć w pokoju i czekać na przyjazd prokuratorów.

Po dziewiątej przywozi ich ze Lwowa Respond. Jest ich dwóch – podprokurator Emil Krynicki i sędzia śledczy Zdzisław Kulczycki.

Inżynier nic z tego nie rozumie. Bo zamiast szukać sprawcy napadu, prokurator pyta policjanta, czy Zaremba jest dobrze izolowany.

„Siedziałem sam – ściskając oburącz obolałą, nic nierozumiejącą głowę. Kiedy już skończą te swoje protokoły? I co z tego wszystkiego będzie?”

Słyszy tupot dziesiątków kroków przemierzających willę. Gwar, krzyki, rozkazy, polecenia. Widzi przez okno, jak na podwórko, nie wiadomo po co, wjeżdża wóz strażacki. Strażacy parkują pod basenem, wyciągają węże i wypompowują z niego wodę. Czego tam szukają?

I zaraz ta gromada ludzi, stojąca dotąd przy basenie, wpada do jego pokoju. Każą mu zdjąć koszulę. Stoi więc nago przed nimi, a oni oglądają go jak rzeźbę w muzeum. Uważnie patrzą na jego ręce, nogi, pośladki.

Pytają, skąd się wzięły rubinowe plamy na jego koszuli nocnej.

„Uparta, niepojęta dla mnie niechęć nie prysnęła – wspomina Zaremba. – Jakoby się jeszcze wzmogła”.

Zaremba prosi prokuratora:

– Proszę mi pozwolić nakarmić dziecko!

– Niech cierpi! – odpowiada na to Krynicki.

O piętnastej trzydzieści cztery zachodzi słońce nad Brzuchowicami. Na podwórku parkuje karawan. O siedemnastej śledczy wzywają Zarembę do różowego pokoju. Mówią, że może pożegnać się z córką. (Obok łóżka stoi otwarta trumna, do której zaraz przeniosą ciało).

Na zakrwawionej pościeli leży trupioblada Lusia, a wokół łóżka stoją prokuratorzy, policjanci, protokolanci. Tę pułapkę obmyślił podprokurator Krynicki. Uważa, że morderca nie wytrzyma takiego napięcia i pęknie, gdy tylko zbliży się do swojej ofiary. Zdradzi się gestem lub słowem.

Prowadzą więc Zarembę wprost do wezgłowia. Wszyscy się w niego wpatrują. Inżynierowi ciekną łzy po policzkach, kiedy staje przy zwłokach córki. Potem pada na kolana, nachyla się nad zmarłą, odgarnia jej włosy, całuje zimne czoło.

– Żegnaj, Lusi, przyjaciółko – chlipie, łka, szlocha, wpadając w coraz większą histerię.

Wczepia się w dziewczynkę tak mocno, że policjanci muszą na siłę go odciągać.

Rita patrzy na to pożegnanie z dystansem, jakby stała za szybą. Na jej zimnej twarzy nie malują się żadne uczucia. Nie bardzo wie, jak się powinna zachować. Boi się podejść do trupa,

więc stoi, struchlała, bez słowa.

– Proszę pani – zachęca ją do podejścia bliżej Krynicki – już jej pani więcej nie zobaczy. Rita pochyła się nad trupem, szybko całuje czoło.

– Lusi, moja biedna – mówi. – Bóg wie, co się z tobą stało.

„Rachowano, że drgną oba sumienia. Nie drgnęło niczyje, ani moje, ani Gorgonowej” – napisał Zaremba.

Gdy z pokoju Lusi wyprowadzano inżyniera, usłyszał on jeszcze podniesiony głos Gorgonowej:

– Dowiedźcie mi, zem winna! – krzyczała do komisarza.

„Rozumiałem – pisał Zaremba – że i ona może się gniewać, bo przecież i ją posądzono”.

Wieczorem śledczy siadają przy wielkim stole w jadalni. Emil Krynicki krąży między Flipem a Flapem, konfidencko coś szeptem im do ucha i raz po raz spogląda podejrzliwie na skulonego w kącie jadalni inżyniera.

„Czego ten człowiek właściwie chce ode mnie? – zastanawia się Zaremba. – Dlaczego nie pozwala mi odejść i oddać się w samotności srogiemu bólowi? Czyżby mógł mnie podejrzewać o udział w zamordowaniu rodzonej córki, w spisek na jej życie z jakimiś bandytami?”

– Panie Zaremba! – ironizuje Krynicki. – Pan ma taki dobry słuch, a jednak nie słyszał pan brzęku rozbitej szyby. To nie do wiary!

„Patrzyłem nań ze zdumieniem, jak na człowieka, który uwziął się prześladować mnie bez rozumiając dla mnie przyczyny. [...] Miałbym przeszkadzać rozmyślnie wyśledzeniu zabójców mego drogiego dziecka?”

Krynicki mówi coś jeszcze, coś zupełnie absurdalnego i niezrozumiałego. Coś, o czym inżynier będzie myślał przez następne dni, tygodnie i lata.

– Jeżeli pan nie miał pieniędzy, to powinien pan być jej dać tę wilgę.

„Co ten człowiek gada? – myślałem. – Czemu on miesza się do tego? Po co rozprawia o moich warunkach materialnych, moich stosunkach domowych, jaką to wszystko ma styczność ze sprawą?”

Przed północą dom jest pełen ludzi. Ci, których zwabiła do Brzuchowic plotka, przez cały mroźny dzień czekali cierpliwie pod płótnem na wieści z wewnątrz, obserwując wchodzących i wychodzących, odprowadzali wzrokiem odjeżdżające samochody. Teraz mogą wreszcie wejść i się rozejrzeć. Szwendają się po pokojach. Słychać jazgot: polski, rosyjski, ukraiński, jidysz. Przyszli zobaczyć trupa i są rozczarowani, bo ciało Lusi już dawno jest w kostnicy we Lwowie. Śledczy wywieźli nawet zakrwawiony materac i łóżko. Zainteresowanie budzą już tylko brunatne plamy na ścianie pokoju Lusi, pan inżynier i jego pani. Wpatrują się w nią jak w Marlenę Dietrich na pre-mierze we lwowskim kinie Apollo i głośno komentują to, co się stało.

„Byłem [dla nich] gorylem, oglądanym w klatce, woskową figurą, byłem nikim – wspomina Zaremba. – Brała mnie litość i wzdarda dla tego inteligentnego i półinteligentnego motłochu”.

Przeważają reporterzy lwowskich gazet. Zaremba rozpoznaje ich po notesach w dłoniach. Podążają za Flipem i Flapem, którzy zachowują się jak przewodnicy wycieczki szkolnej w muzeum, zatrzymując się przy ważniejszych eksponatach: łóżku Stasia, wybitej szybie w pokoju Rity, niedomkniętym oknie w pokoju Lusi. Opowiadają zwiedzającym krwawą historię tak, jakby już wszystko było jasne, jakby wszystko wiedzieli. Zaremba nie słyszy, co mówią, ale domyśla się, że muszą to być ważne rzeczy, bo zwiedzający zapisują wszystko w kajetach. Dzięki ich szczegółowym notatkom lwowianie już jutro dowiedzą się o brzuchowickim gnieździe rozpusty, krwawym budowniczym i rozkochanej w nim złej guwernantce. To będzie pierwszy odcinek opery mydlanej, która ciągnąć się będzie aż do współczesności.

„Zostało tylko nas dwoje, bezradnych, nieporozumiewających się ze sobą, rozdzielonych przez strażę, oczekujących swego losu” – wspomina Zaremba i opisuje:

Po nadejściu wyczekiwanej dyspozycji ze Lwowa padł rozkaz: „Jedziemy!”. Poczęto opieczętowywać willę. Odjeżdżałem stąd ze ściśniętym sercem. Czułem głuchy szum w uszach – skronie pulsowały.

Konie moje, zamówione ze Lwowa, czekały. Do powozu wsiadło nas czworo. Na głównym siedzeniu umieszczała się Gorgonowa z policjantem – naprzeciw, na małej ławeczce, policjant ze mną. Jechaliśmy w milczeniu – była noc zimowa. Nie rozróżniałem w mroku twarzy mojej towarzyszkii niedoli. Zresztą nie interesowałem się nią. Myślałem o Lusi i o tym czymś niepojętym, dziwnym, potwornym, że... gdzieś odbywa się sekcja jej zwłok, że ja, ojciec, nie będę nawet na jej pogrzebie, że mnie, ojca, dlatego że córkę mi zamordowano, policjant trzyma tak mocno za ramię. [...]

Jechaliśmy tak we czwórkę przez miasto. Śnieg biał na ulicach. Gwiazdy skrzyły się. Tłumy snuły się. Panował -nastrój sylwestrowy, a my jechaliśmy do gminnej komendy policji.

Gdzieś wreszcie po tej jeździe – dla mnie długiej, jak wieczność – zatrzymaliśmy się u jakichś wrót. Przeszliśmy przez jakieś podwórko, brnąc w śniegu. I znowu w mroku nie przemówiliśmy ani słowa.

Mnie dzielił od niej mój egoistyczny ból – byłem ojcem zabitej córki – brakło mi słów. Ale czemu ona nie zwróciła się do mnie ani słowem?

Przy mnie kroczył policjant – za mną stąpała ona z policjantem. Przed nami czarny gmach komendy.

W dwupiętrowym budynku przy zbiegu ulic Łackiego i Sapielhy mieszczą się Komenda Wojewódzka Policji Państwowej, Okręgowy Urząd Śledczy oraz VI Komisariat Policji Państwowej. Wewnątrz w oficynie – areszt śledczy. Ale zanim pasażerowie dorożki tam trafią, muszą odwiedzić pokój przesłuchań.

Henryka prowadzą do jasnego, oświetlonego gabinetu, Ritę sadzają na ławce pod drzwiami.

Na stole rozłożone są dowody rzeczowe: zakrwawione kawałki szkła, kilof do lodu, wilgotna chusteczka znaleziona w piwnicy.

Przesłuchują ci sami, których poznał w willi: gruby Frankiewicz i chudy Respond.

Pytają Zarembę, czy kogoś podejrzewa. Czy córka mogła sama napastnikowi otworzyć drzwi?

Czy ktoś zdołałby się wcisnąć przez wąskie okienko? Dlaczego pies nie zaszczekał?

– Panie Zaremba, niech pan mocno ściśnie głowę i zbierze wszystkie klepki – prosi Respond i świdruje go wzrokiem.

– Na Boga – zaklina się aresztant. – Cóż bym ukrywał?

– Niech pan się przyzna – naciska Respond.

– Do czego? – dziwi się Zaremba.

– Że broni pan Gorgonowej.

„Jakby piorun padł we mnie. Doznałem przerażenia. Zgarbiłem się... Jakoby przytłoczyła mnie góra... To nie może być ona!”

Pierwsze przesłuchanie Henryka Zarembę kończy się o piątej rano.

– Bardzo nam przykro – mówi na pożegnanie Respond – ale musimy pana wyprawić do więzienia.

Zaremba: „Milczałem. Myśli były chaosem, kłębkim krwawych strzępów. Patrzyłem na nich ślepymi oczyma. Świat się na mnie zwał!”

Przesłuchanie Rity trwa jeszcze dłużej. W tym czasie Zaremba czeka pod kancelarią na

korytarzu. Wreszcie uchylają się drzwi, staje w nich Gorgonowa.

– Powiedziałeś im, że wierysz, że to ja zrobiłam! – ciska ze złością w stronę inżyniera.

Zaremba nie odpowiada.

Nie rozmawiają już ze sobą, gdy policjant prowadzi ich przez podwórko po grząskim śniegu do aresztu.

„Byłem ogłuszony potężnym ciosem – wspomina inżynier. – Myślałem o Lusi, nie o sobie, nie o niej”.

Więzienny dozorca odsunął kratę kobiecego oddziału i uprzejmie zaprosił Gorgonową:

– Pani pierwsza.

– Broń mnie. – To była jej ostatnia prośba rzucona Zarembie na pożegnanie. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zatrzasnęła się za nią stalowa krata.

Jego poprowadzili dalej długim korytarzem, na którego końcu były ciężkie drzwi z wizjerem. Zanim strażnik zamknął je za Henrykiem Zarembą, podniósł rękę do szyi i przeciągnął palcem po grdyce.

Za zakratowanym oknem Lwów mienił się blaskiem wszystkich swoich lamp – 897 elektrycznych i 3917 gazowych.

Podejrzani

Margarita Emilia Gorgon z domu Ilić, lat trzydzieści.

Postać – wysmukła.

Wzrost – sto sześćdziesiąt pięć centymetrów.

Włosy – ciemne (szatynka).

Twarz – owalna.

Oczy – niebieskie.

Brwi – łukowate.

Nos – średni.

Uzębienie – pełne.

Po dalszych przesłuchaniach zostaje przeniesiona do lwowskiego więzienia przy ulicy Kazimierzowskiej, które od końca XVIII wieku mieści się w dawnym klasztorze odebranym zakonowi Świętej Brygidy.

Siedzą tu głównie więźniowie polityczni, rozbijający sklepowe witryny członkowie Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i podkładający bomby rebelianci z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Gorgonowa trafia do sześciuosobowej celi z polskimi komunistkami. Polityczni mają przywileje w więzieniach II Rzeczypospolitej Polskiej, mogą w ciągu dnia leżeć na pryczy, mieć własną biblioteczkę i dostęp do gazet. Wraz z pojawieniem się nowej aresztantki, podejrzanej o zwykłe kryminalne przestępstwo, przywileje zostają zawieszane. Szczególnym restrykcjom podlegają gazety, by aresztantka nie wiedziała za dużo o prowadzonej sprawie. Komunistki protestują przeciwko tym ograniczeniom i Rita zostaje przeniesiona do innej celi.

Henryk Mikołaj Zaremba, lat czterdzieści osiem.

Postać – krępa.

Wzrost – sto siedemdziesiąt cztery centymetry.

Włosy – brak.

Czoło – wysokie.

Twarz – owalna.

Oczy – piwne.

Brwi – proste.

Uszy – duże.

Uzębienie – pełne.

Przebywa w tym samym więzieniu w Brygidkach, tylko że w celi numer sto osiemnaście. Siedzi z dwoma Ukraińcami i Żydem. Oni podejrzani są o prowadzenie działalności wywrotowej, on – o współudział w morderstwie córki.

„Byli to ludzie dobrzy – pisze o współwięźniach. – Zainteresowali się moją osobą, moim cierpieniem, od razu odgadli, że jestem tylko nieszczęśliwym ojcem. Posiadali przenikliwość serca, wiedzieli sporo o pomyłkach sądowych i ofiarach »sprawiedliwości«. Bez współczucia tych ludzi byłbym pewnie oszalał”.

Henryk podlega rygorowi więziennemu. Pobudka o szóstej, zdawanie spodni o dwudziestej, gaszenie światła i cisza nocna o dwudziestej pierwszej. Za każdym razem, gdy wychodzi na przesłuchanie do sędziego śledczego, strażnik obmacuje go pod pachami, od przodu, z tyłu. Każe wyrzucić kieszenie.

„Jakbym coś ukradł i schował” – notuje.

Ma też przywileje. Pozwalają donosić mu posiłki z miasta i korzystać z widelca i noża. Inni więźniowie jedzą łyżkami. Przed snem musi jednak zwrócić sztucze strażnikowi, tak samo jak spodnie.

Ma też prawo do godzinnego spaceru na zewnątrz budynku, z którego nigdy nie korzysta.

„Przedkładam brud kleistej podłogi, stęchliznę celi, bicie pluskiew na ścianie ponad kręcenie się w kółko na małym skrawku podwórza pod obserwacją więźniów ciekawych widoku Zaremby” – tłumaczy swą niechęć.

Gdy w sobotę, tuż po aresztowaniu, kancelaria więzienna prosi go o wydanie dyspozycji co do pochówku córki, jest bezradny. Płacze. Skarży się, że jest bez pieniędzy. Prosi, by zastawić jeden z jego obrazów, by mógł pokryć koszty pogrzebu.

Dziennikarze piszą, że jest zupełnie załamany.

Narodziny czarnego charakteru

Lwów, czwartek, 31 grudnia 1931

W sylwestra bojówkarze Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy rozrzućili ulotki na eleganckiej ulicy Akademickiej, rozbili witryny w kawiarni Roma i sklepie Wedla przy tej samej ulicy; w bramie przy Stryjeńskiej 68 osiemnastoletnia Franciszka Można truła się jodyną, a w mieszkaniu przy Gipsowej 38 Mieczysław Kędziński próbował odebrać sobie życie, wypijając duszkiem butelkę denaturatu.

Na Zamarstynowskiej pod koła taksówki wpadła Maria Waten-berg z sześciolatnim synkiem, a mieszkającego przy tej samej ulicy, ale pod numerem 14, kasiarza Mojżesza Grossa aresztowała policja śledcza pod zarzutem włamania do kasy Banku Kredytowego w Złoczowie.

Ale nic nie wywołuje takich emocji jak wiadomości napływające z willi znanego w mieście architekta, inżyniera Henryka Zarembę. O zamordowaniu Elżbiety Zarembianki Lwów już wie z plotek w sylwestra, ale dopiero następnego dnia może przeczytać o tym w prasie.

„Gazeta Lwowska” pierwsza informuje o śmierci Lusi: „Zachodzi podejrzenie, że zbrodni tej dokonała bona, służąca od kilku lat u inżyniera Zarembę, z którą ten ostatni utrzymywał od dłuższego czasu stosunki miłosne. Bona ta chciała pozbawić życia Elżbietę prawdopodobnie dlatego, że stała ona na przeszkodzie w uzyskaniu przez inżyniera Zarembę rozwodu z żoną”.

To jest właśnie ten moment, w którym trzydziestojednoletnia Margarita Emilia Gorgon staje się najczarniejszym z czarnych charakterów. Każdego następnego dnia jej wizerunek będzie stawał się jeszcze mroczniejszy, powielany w setkach tysięcy egzemplarzy, sprzedawany w całej Polsce.

W ciągu czternastu lat niepodległego państwa polskiego Lwów miał swoje wielkie procesy, na których skupiała się uwaga całej Polski. Tak było w 1921 roku, gdy ukraiński nacjonalista Stiepan Fedak próbował przed lwowskim ratuszem zastrzelić naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego, i trzy lata później, gdy oskarżono Stanisława Steigera o próbę zamachu na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Stanisława Wojciechowskiego.

W drugiej połowie lat dwudziestych Lwów żył sprawą zastrzelonego na ulicy Królewskiej kuratora lwowskiego okręgu szkolnego Stanisława Sobińskiego (proces jego zabójców zakończył się dopiero w 1929 roku), a jesienią 1931 roku – morderstwem konduktora tramwajowego Rudolfa Koszyczka, którego żona zadźgała w ich wspólnym mieszkaniu.

Nic nie może się jednak równać gorączce, która zapanowała po zabójstwie Lusi Zarembianki. O bohaterach tragedii – Ricie, inżynierze i jego nieszczęsnej córce – Lwów chce wiedzieć jak najwięcej. Każdy szczegół ich życia jest teraz prześwietlany, rozważany, opisywany w najdrobniejszych detalach. Nie ma takiej tajemnicy, która nie zostałaby przez uliczną plotkę wyciągnięta na wierzch.

Do redakcji lokalnych gazet zgłaszają się coraz to nowi świadkowie, którzy opowiadają niesamowite historie o życiu tych dwojga, gazety na własną rękę prowadzą śledztwo, szukają nowych okoliczności, świadków, podejrzanych. Gdy posuwają się zbyt daleko, ujawniając niuanse śledztwa, wkracza sąd i konfiskuje całe nakłady. (Zaraz po aresztowaniu Gorgonowej i Zarembę lwowski sąd zarekwirował jednego dnia nakłady aż dwóch tytułów prasowych. Zdaniem sędziów prasa w sposób nieuprawniony miesza się do prowadzonego postępowania).



[^] Staś Zaremba, Rita Gorgonowa z córką Romusią, Lusia na tarasie willi w Brzuchowicach. To pierwsze zdjęcie Gorgonowej, które ukazało się w polskiej prasie

Lwowskie „Słowo Polskie” pisze, że do bogatego materiału dowodowego przeciwko Gorgonowej dołączyć trzeba koniecznie zeznania służącej Olgi Jezierskiej. Gazeta ją odnalazła i wysłuchała opowieści o tym, jak Gorgonowa groziła śmiercią Lusi Zarembiance i zamierzała uśmiercić ukochaną przez dziewczynkę udomowioną sarenkę. Najpierw nakłaniała do tego służącą, a gdy ta odmówiła pomocy, sama zapowiedziała, że utnie zwierzęciu głowę. „Tylko musisz pomóc mi ją trzymać, gdy będę rżnęła” – prosiła.

„Była mściwa, bezwzględna i nieczuła” – mówi dziennikarzom o swojej pani Jezierska.

„Gazeta Lwowska” dotarła do innej służącej, Marceliny Tobiasz. Opowiedziała ona dziennikarzom, jak feralnej nocy, gdy wszyscy pobiegli do różowego pokoju Lusi, przypatrywała się Pani. Widziała, jak usiadła ona na chwilę przy stole w jadalni, jak schowała twarz w dłoniach i powtarzała: „Boże, Boże, co ja zrobiłam”.

Nawet słynącemu z rzetelności „Ilustrowanemu Kurierowi Codziennemu”, największemu przedwojennemu dziennikowi, trudno zachować powściągliwość. O aresztowanej Ricie pisze, że jest rzadko spotykanym typem zbrodniarki o patologicznych cechach charakteru.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” drukuje rewelacje zasłyszane od jakiegoś lwowskiego kioskarza inwalidy. Twierdzi on, że podczas ostatniej wojny, służąc w cesarsko-królewskiej armii w Jugo-sławii, zetknął się z Gorgonową w Dalmacji. Była panią do towarzystwa w austriackim wojskowym domu publicznym.

Czy można w to wierzyć, skoro kilka dni wcześniej ta sama gazeta powątpiewała, czy

Gorgonowa w ogóle kiedykolwiek mieszkała w Dalmacji i czy zna język serbski?

Popołudniówki piszą, że jest zła i próżna i zanim wyjdzie z celi na przesłuchanie, zawsze długo się stroi, szminkuje usta, pudruje twarz i przegląda się w lustrze. Prasa rewolwerowa, jak ją nazywają we Lwowie, odpowiada na zapotrzebowanie czytelników, którzy chcą czytać o moralnym zepsuciu domu Zaremby, dowiedzieć się szczegółów – kto, kogo, z kim i dlaczego – poznać bliżej bohaterów, spojrzeć im w oczy (redakcje biją się o zdjęcie inżyniera Zaremby, ale nigdzie nie mogą go zdobyć) i ocenić, kto jest zły, a kto dobry.

Zła jest Gorgonowa, bo omotała starego, wykorzystała go, być może kosztem jego dzieci, a na koniec zabiła mu córkę, z którą konkurowała.

Zły jest Zaremba, bo dał się młódce omamić. Zamiast wieść żywot wdowca i odwiedzać chorą żonę w szpitalu, zakochał się bez pamięci. W zamordowaniu córki może nie brał udziału, ale kryje swoją kochanicę.

Dobra jest Lusia (nikt nie nazywa jej już Elżbietą), dziewczynka, która chciała wyrwać tatusia z rąk złej „macochy” i zapłaciła za to najwyższą cenę.

Gazety czynią z Gorgonowej uosobienie zła. Gdyby oprzeć się na tym, co piszą, byłaby bardziej podstępna niż Lady Makbet i gorsza niż macocha Kopciuszka.

Z przecieków ze śledztwa, plotek, strzępków informacji budują portret kobiety potwora. Piszą, że jej postępowanie cechuje cynizm, że nie okazuje skruchy. Że usta ma wykrzywione w nonszalanckim uśmiechu, gdy spotyka się z sędzią śledczym, a kpiący uśmiešek pojawia się na jej twarzy, gdy mówi o śmierci Lusi.

Nie mieliśmy jeszcze w Polsce sprawy, która by w tak niezwyk-ły sposób zajmowała opinię publiczną – pisze komentator Senior w endeckich „Nowinach Codziennych”. – Roznamiętnienie, pełne gwałtownych nieraz dysput, przenika nawet do wnętrza rodzin. Ogromna większość szerokich mas obserwuje sprawę Gorgonowej z niesłabnącą ciekawością.

Czym wytłumaczyć to zjawisko?

Przede wszystkim wzmaga powszechne zaciekawienie fakt, że oskarżoną o zbrodnię jest kobieta. Kobiety bowiem stosunkowo rzadko dokonują zbrodni morderstwa własnymi rękoma. Za to morderstwo popełnione przez kobietę bezpośrednio jest o wiele bardziej wyrafinowane.

Po wtóre zaś fascynująco działa moment zagadki. Tajemnica willi brzechowickiej została tak zagmatwana, że znak zapytania nie tylko się nie rozwiewa, ale coraz bardziej rośnie. Trudność dotarcia do źródeł prawdy czyni z procesu Gorgonowej sensację specjalnego kalibru.

Ale jest jeszcze coś więcej. To zbiorowe poczucie sprawiedliwości. Poczucie tak silnie, nieraz nawet aż namiętnie, dowodzi istnienia w Polsce czułego sumienia publicznego, zdolnego do reakcji zbiorowych i bardzo silnych.

Raport Frankiewicza

Lwów, piątek, 1 stycznia 1932

Nadkomisarz Józef Frankiewicz natychmiast po przyjeździe do Lwowa na podstawie zeznań świadków odtwarza ostatnie chwile życia siedemnastoletniej Elżbiety Zarembianki. To jeden z ważniejszych dokumentów śledztwa, z którego poznajemy szczegółowy przebieg wypadków i to, co działo się tuż po śmierci dziewczynki.

Frankiewicz pisze, że ze Lwowa do Brzuchowic rodzina inżyniera Zaremby przyjeżdża w środę, 23 grudnia. Wszyscy już wiedzą, że jest to pożegnalne spotkanie. Nigdy w takim składzie w tej willi pewnie się już nie spotkają, bo czterdziestoosmioletni inżynier postanowił rozstać się z młodszą o osiemnaście lat partnerką. Klamka zapadła kilkanaście dni temu, gdy Zaremba wynajął czteropokojowe mieszkanie w kamienicy przy ulicy Potockiego 71. Zbyt małe, by zamieszkała tu jeszcze z nim Rita z ich czteroletnią córeczką. Więc na Potockiego przeniosą się z inżynierem tylko dzieci z pierwszego związku – siedemnastoletnia Lusia i jej o trzy lata młodszy brat Stanisław. Czekają już tylko na informację od dotychczasowych lokatorów, którzy mają zwolnić mieszkanie najpóźniej do 1 stycznia.

W związku z tym Rita z Romusią muszą opuścić ich wspólne siedmiopokojowe mieszkanie wynajmowane przy ulicy Dembińskiego 8 i przenieść się do domu Zaremby w Brzuchowicach. Brzuchowice to taki lwowski Konstancin, do którego ciągną bogacze ze Lwowa. Wśród piaszczystych pagórków porośniętych sosnami postawili tu swoje luksusowe domy. Pomiędzy nimi przy bocznej ulicy stoi letni dom Henryka Zaremby, w którym po rozstaniu będzie mogła zamieszkać z dzieckiem Gorgonowa. Ponieważ Rita nigdzie nie pracuje, inżynier zgodził się teżłożyć na jej i córeczki utrzymanie.

Atmosfera schyłku związku sprawia, że pod koniec grudnia w willi jest jak na polu minowym. Ciągłe wybuchają awantury. Największy żal Rita ma do córki Zaremby, która podburza ojca przeciwko niej. Guwernantka nie szczędzi złości dziewczynie. Lusia, kiedy tylko może, schodzi jej z drogi, bo wie, że to ostatnie wspólne chwile. Rano wyjeżdża kolejką do Lwowa pakować rzeczy w starym mieszkaniu, wraca wieczorem, je kolację, kładzie się spać. Nie dostarcza żadnych pretekstów do kłótni.

Ostatni dzień Lusi

Środa, 30 grudnia 1931

Lusia wychodzi z domu, gdy na dworze jest jeszcze ciemno. Na stację idzie najkrótszą drogą, obok domu ogrodnika, przez furtkę z tyłu ogrodu. Klucz zawsze wisi tam na gwoździu przy bramie. Potem przemierza kilkaset metrów leśną dróżką do dworca kolejowego Hołosko. (Willa Zaremby leży na terenie wsi Łączki, na granicy dwóch gmin – Brzuchowice i Hołosko). Dworzec to dwie budy zbite z desek otoczone drewnianym płotem – w jednej jest kasa biletowa, w drugiej poczekalnia. O szóstej czterdzieści pięć Lusia wyrusza pierwszym pociągiem do Lwowa. To tylko dziewięć kilometrów. Droga na miejsce z dwoma przystankami – w Rzęśnie Polskiej i Kleparowie – zajmuje kwadrans.

Do kamienicy przy ulicy Dembińskiego można z Dworca Głównego dojechać tramwajem. Cztery przystanki dwójką. Wsiąść trzeba na ostatnim, przy ulicy Gródeckiej.

Dembińskiego to mała uliczka odchodząca od placu Bema przy dawnych austriackich koszarach. Tu Lusia zostaje aż do wieczora, pakując rodzinny dobytek.

O dziewiątej wyjeżdża z Brzuchowic Zaremba. Do Lwowa dociera autobusem. Swoje biuro architektoniczne ma w dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Kopernika 10, naprzeciw nowoczesnego kina Kopernik. I choć na Dembińskiego stąd niedaleko, nie spotyka się tego dnia z córką. Lusia telefonuje do niego koło południa. Mówi, że wróci wieczorem do domu sama. Prosi, żeby ktoś na nią czekał na peronie.

Zaremba wraca ze Lwowa pociągiem o piętnastej dwadzieścia pięć. Dołącza do Stasia i Romusi, bawiących się w śniegu w ogrodzie. Lepi z dziećmi bałwana, rzuca śnieżkami, ciągnie Romusię na sankach. Gdy zapada zmrok, wracają do mieszkania, zamykają się w pokoju Zaremby, słuchają radia.

Co dzieje się wtedy z Ritą? Nie bardzo go to interesuje.

– Unikaliśmy siebie wzajem – zeznał.

Wie tylko, że rano, zaraz po wyjeździe Lusi, wywietrzyła jej pokój, przyniosła wodę i zaczęła myć okna w różowym pokoju.

Pociąg ze Lwowa przyjeżdża kwadrans przed dwudziestą. Trochę wcześniej Staś wychodzi z domu na dworzec odebrać z pociągu starszą siostrę. Gdy wracają przez las, śnieg już mocno prószy.

Lusia jest wesoła. Po drodze opowiada Stasiowi o porządkach, które robiła w lwowskim mieszkaniu.

Do willi wchodzi przez kuchenne drzwi (główne wejście od werandy jest zwykle zamknięte). W jadalni przy stole siedzą już ojciec, Pani i Romusia. Nie rozmawiają ze sobą. On czyta magazyn „Naokoło Świata”, a ona *Amerykę* popularnego pisarza Emila Ludwiga. Nawet nie podnosi wzroku znad książki, gdy dzieci witają się z domownikami.

– Dlaczego nos na kwintę spuściła? – dopytuje ją Zaremba, ale nie uzyskuje odpowiedzi.

Rita wychodzi z jadalni jeszcze przed podaniem kolacji. Odchodząc, ofuknie Lusię z powodu zagubionego klosza na lampę naftową i zabroni dziewczynce spać w nocy z Romą.

Zarembowie zjadają pierogi z mięsem. Lusia opowiada przy stole o grawerowanej wizytówce z jej imieniem i nazwiskiem, która zawiśnie na drzwiach nowego mieszkania. Bardzo

jej imponuje, że to ona tam będzie najważniejsza, a nie ta przybłęda, którą sprowadził ojciec.

Rozmawiają szeptem, bo na kolanach ojca zasypia Romusia. Mówi głównie Zaremba. O trudnym charakterze Pani, jej dąsach, złym humorze, w który wpada bez powodu.

Po kolacji ojciec bierze na ręce śpiącą Romusią, przechodzi przez pokój Rity do swojej sypialni. Za nim idą Staś i Lusia. Każdego wieczoru odprowadzają ojca do łóżka. Pani leży już wtedy przykryta kołdrą. Przy lampie naftowej czyta dalej Ludwiga.

W domu jest bardzo gorąco, więc Staś uchyla okno w sypialni ojca, stawia na nocnym stoliku lichtarz, zapaliki i szklankę z wodą. Przed wyjściem nastawia radio, by ojciec wysłuchał świątecznego koncertu.

Całują go z Lusią na pożegnanie, wychodzą. Przechodząc przez pokój Rity, mówią „dobranoc”. Nie odpowiada.

Staś zamyka drzwi sypialni Rity. Lusia bierze ze sobą pozostawioną przez ojca gazetę. Do różowej sypialni odprowadza ją Staś. Służąca przynosi dziewczynce lampę naftową, a Staś podłącza jej słuchawki do radia. Około dwudziestej pierwszej żegna się z siostrą i wraca do jadalni. Słyszy jeszcze, jak siostra nalewa wodę do miednicy i się myje. Staś nasuwa na uszy słuchawki, włącza radio i kładzie się w łóżku pod oknem. Przed zaśnięciem patrzy jeszcze w stronę pokoju Lusi. Lampa ciągle się świeci. To znak, że siostra nie śpi. „Widocznie czyta” – to jego ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Około dwudziestej pierwszej trzydzieści zasypia ze słuchawkami na uszach.

Zaremba też słucha radia i też zasypia o tej samej porze.

Około północy chłopca wrywa ze snu skowyt psa.

– Jakby go ktoś uderzył – tak tłumaczy to śledczym.

Siada na łóżku, nasłuchuje. Myśli, że hałas spowodował ktoś z domowników, bo gdyby to był obcy, pies szczekałby głośno.

Patrzy przez okno. Za szybą widać tylko białe płatki śniegu spadające na ogród. Ma wrażenie, że ktoś stoi za szklanymi drzwiami w holu. Myśli, że to starsza siostra, więc woła cicho, żeby się upewnić: „Lusiu, Lusiu”. Dziewczynka nie odpowiada. Staś powoli wstaje z tapczanu, podchodzi do oszklonych drzwi oddzielających jadalnię od przedpokoju. Staje pół kroku przed nimi. W ciemności widzi zarys ludzkiej postaci. Może pięć, może sześć kroków dalej, między pianinem a wielką bożonarodzeniową choinką obwieszoną bombkami. Chłopiec wali nerwowo pięściami w szybę i krzyczy coraz głośniej:

– Lusiu, Lusiu, Lusiu. – Wtedy zdaje sobie sprawę, że to nie Lusia, tylko ktoś wyższy.

Stojąca nieruchomo w mroku postać drga, przesuwa się ostrożnie w lewo do drzwi, a gdy uchylają się one na moment, wypływa na zewnątrz do ogrodu. Na ułamek sekundy staje na tle białego śniegu, odbijającego żółte światło żarówki pobliskiego posterunku żandarmerii, co pozwala chłopcu dostrzec zarys włosów i futranego kołnierza. (Tak potem zezna).

I dopiero gdy postać zniknie za drzwiami, Staś wchodzi ostrożnie do holu. Idzie wprost do pokoju siostry. Ciemno. Patrzy na stojące pod ścianą łóżko i zdaje mu się, że nie ma w nim Lusi. Tam, gdzie zwykle była jej głowa, leży wielka poduszka.

Podchodzi, podnosi poduszkę, pod którą leży bezwładna głowa. Próbuje siostrą potrząsnąć, dobudzić ją, ale palce grzęzną mu w lepkiej, ciepłej mazi.

– Lu-sia za-bi-ta. Za-bi-taaaa. Zaaaaa-biiiiii-taa – krzyczy nad bezwładnym wciąż ciałem i biegnie obudzić ojca.

Ogrodnik Józef Kamiński jest pierwszą osobą, której Staś opowiada o tajemniczej postaci widzianej w holu.

– Była otulona w futro – tłumaczy mu, gdy nocą idą na posterunek żandarmerii wojskowej powiadomić o morderstwie.

Staś nie mówi, kim jest ta osoba, ani nawet czy to kobieta, czy mężczyzna. Kamiński o nic nie dopytuje. Powtarza tylko wachmistrzowi Treli wszystko, czego dowiedział się od chłopca. Trela natomiast o zagadkowej nocnej wizycie melduje policjantowi Józefowi Nuckowskiemu, gdy tylko przybywa do willi Zarembów. A Nuckowski dalej – nadkomisarzowi Frankiewiczowi.

Nad ranem Staś trafia ponownie na posterunek żandarmerii. Tym razem już jako ważny, kluczowy świadek. Przesłuchuje go aspirant Bolesław Respond.

Podczas tego pierwszego przesłuchania Staś mówi Respondowi o ważnym szczególe: postać, którą widział w nocy, była kobietą. I jeszcze jedno: miała długie, rozczochrane włosy.

Aspirant zauważa, że chłopiec jest zdenerwowany. Nie przyciska, nie dopytuje. Odpuszcza.

– Wyczułem, że waha się, jakby coś ukrywał. Domyśliłem się, że zanim coś powie, chce się poradzić ojca – zezna potem w sądzie Respond.

Po kilku godzinach Respond znów przesłuchuje Stasia. Pyta wprost:

– Czy pan poznał postać w holu?

Zeznania młodego Zaremby aspirant Respond kaligrafuje czarnym atramentem.

„Między pianinem a choinką ujrzałem sylwetkę kobiety w futrze, stojącą twarzą w twarz do mnie, w której rozpoznałem panią Gorgonową. – Respond zanotował słowa młodego Zaremby. – Zacząłem pięścią stukać w drzwi, co słysząc, pani Gorgonowa cicho, szybkim krokiem wyszła przez drzwi wprost na werandę, skręcając przy drzwiach w lewo”.

„W jadalni krzychałem: »Lusia zabita«. Na mój krzyk pierwsza do jadalnego weszła pani Gorgonowa, która była ubrana tak, jak ją widziałem poprzednio, a mianowicie w futro brązowe i pantofle nocne na nogach”.

(W sądzie Stanisław Zaremba wyjaśni, że dopiero po powrocie z wartowni, jakieś dwie godziny po odkryciu zwłok Lusi, zaczęła mu pierwszy raz świtać w głowie myśl, że to była Pani. Leżał wtedy na kanapie i rozmyślał, czy powiedzieć o tym ojcu. Ale nie miał nawet okazji, bo ojca pilnowała policja).

Staś opowiada śledczym, że gdy Pani straciła łaski ojca, pieniądze na utrzymanie domu zaczął przekazywać Lusi. Pani, która nigdzie nie pracowała, została wtedy bez środków do życia. Nawet o kupno rzeczy osobistych musiała prosić dziewczynkę. Bardzo źle to znosiła.

Chłopiec mówi o ciągłych awanturach i groźbach śmierci, które Pani kierowała do jego siostry.

– Wiem, że ona obawiała się tej zemsty ze strony Gorgonowej. Bała się sama spać w swoim pokoju i wiem, że przeczuwała grożącą jej zemstę – zeznawał Staś.

Dzięki zeznaniom czternastolatka policja już po kilku godzinach śledztwa ma nie tylko główną podejrzaną, lecz także motyw zbrodni: zemstę.



[^] Różowy pokój Lusi. Zdjęcie wykonano tuż po wyniesieniu ciała

Nadkomisarz Józef Frankiewicz w piątek 1 stycznia 1932 roku ze strzępków zeznań tka przekonującą opowieść.

Pisze, że morderstwo córki Zaremby Gorgonowa zaplanowała wcześniej i dobrze się do niego przygotowała. Więc kiedy w środę wieczorem, 30 grudnia, rodzeństwo Zarembów przechodzi przez jej sypialnię, mówiąc „dobranoc”, ona musi już mieć przygotowany w ukryciu kilof, którym za dwie godziny roztrzaska czaszkę Lusi.

Leżąc w łóżku i czytając książkę, czeka tylko na moment, aż wszyscy zasną. Kiedy będzie miała pewność, że nikt jej nie zaskoczy, wstanie z łóżka, wsunie pantofle, narzuci ciężkie, brązowe futro i ruszy przez jadalnię obok śpiącego Stasia do pokoiku Lusi. (Śledczy nie wiedzą jednak, czy kilof przyniosła ze sobą, czy był wcześniej ukryty w różowym pokoju).

Frankiewicz przypuszcza, że po zabójstwie Gorgonowa otworzyła okno w pokoju dziewczynki, żeby upozorować włamanie. Wszystko to miało odsunąć podejrzenia od domowników, obarczając winą bliżej nieokreślonego włamywacza zboczeńca.

(Dwa dni po śmierci Zarembianki biegli odkrywają, że została zdeflorowana, a że nie znajdują męskiego nasienia w pochwie, przyjmują, że nie był to gwałt).

Po dokonaniu morderstwa zamierza wycofać się niepostrzeżenie do swej sypialni, ale wszystko się komplikuje, gdy otwiera drzwi od werandy, którymi miałyby uciec nieznany zabójca. Wślizgnął się wtedy Lux, wilczur pilnujący obejścia Zarembów. Gorgonowa, próbując go odgonić, uderza zwierzę kilofem w łeb. Skowyt psa budzi Stasia.

Chłopak wstaje z łóżka, podchodzi do szklanych drzwi, odcina morderczyni odwrot i zmusza ją do ucieczki inną drogą.

Staś wchodzi do pokoju Lusi. Gdy podnosi poduszkę, Gorgonowa biegnie wzdłuż domu w stronę drugiej werandy, tymczasowo porzucając skrwawiony kilof przy wejściu do piwnicy. (Nad klamką policjanci odkryli krwawy odcisk). Nie może wrócić do swojego pokoju, bo oszklone drzwi są od wewnątrz zamknięte. Rozbija szybę, przekręca klucz, kalecząc się przy tym w rękę. Wpada do swojego pokoju, gdy Staś podnosi już alarm.

Brzęk rozbijanej szyby Staś słyszy przy kominku w jadalni, gdy biegnie już z pokoju Lusi zawiadomić ojca. Chwilę później Rita jako pierwsza zjawia się w jadalni, udając, że dopiero zerwała się z łóżka. Jest ubrana w futro i zielone pantofle, a Zaremba, który wbiega tuż za nią, jest bosy, w koszuli nocnej.

Dalej według Frankiewicza było tak:

Po zamarkowaniu udziału w akcji ratowniczej i wybiegnięciu po doktora nie czekała tam na niego, lecz wróciła do domu i tu przy ogólnym chaosie wycofała się z pokoju, gdzie wszyscy byli zajęci. Sama przyszła do swej sypialni, zabrała z konsolki obok łóżka świecę i wyszła ze swej sypialni drzwiami na werandę, a stamtąd do piwnicy. Zapaliwszy świecę, chciała ukryć w piwnicy dżagan oraz zakrwawioną chusteczkę, którą miała przy sobie podczas mordu i nią wycierała zakrwawione ręce. Chusteczkę ukryła, wcisnąwszy ją po wypłukaniu z krwi w miejsce, gdzie ją później znaleziono. Dla ukrycia zaś dżaganu nie znalazła w piwnicy odpowiedniego miejsca. Dlatego też wyszła z piwnicy (mając w ręku zgaszoną świecę z lichtarzem) i skierowała się z dżaganem do znajdującego się tuż obok zamarzniętego basenu, w którego przerębli postanowiła dżagan utopić.

Musiała się schylić nad przerębłą. Przy tym pochyleniu wypadła jej niepostrzeżenie na śnieg luźno osadzona w lichtarzu świeca. Zbrodniarka, nie spostrzegłszy tego w ciemności, wróciła tą samą drogą do sypialni i tu dopiero zauważywszy brak świecy, nie wiedząc, gdzie jej szukać, zaniósła niepostrzeżenie pusty lichtarz na kredens do pokoju jadalnego.

W tym zamieszaniu, jakie ciągle w domu w tym czasie było, Gorgonowa miała sposobność zrzucić w swej sypialni zanieczyszczoną przez siebie koszulę i mogła ją spalić za pomocą zabranej z kuchni, rzekomo dla odkażenia skaleczonej ręki, nafty.

Nie jest wykluczone, że Henryk Zaremba zauważył w fakcie morderstwa pewne podejrzane objawy u Gorgonowej w jej wyglądzie i zachowaniu się. Mógł jednak z uwagi na miłość do posiadanego z nią małego dziecka spostrzeżenia swe przemilczeć.

Nadkomisarz Frankiewicz nawet wyjaśnia w swoim raporcie zagadkę odnalezionego na podłodze stolca. „Wychodząc z pokoju, podejrzana uległa pod wpływem wrażenia i wysiłku wielkiemu wstrząsowi psychicznemu. Ślaniając się wzdłuż ściany, doszła do wnęki wejściowej, na której pozostawiła bardzo wyraźne ślady krwawych dłoni. Schodząc ze stopnia, nie wytrzymała nerwowo i bezwiednie, w pozycji stojącej oddała kał”.

Tak według komendanta lwowskiej policji wyglądał przebieg zabójstwa małoletniej Elżbiety Zarembianki.

Problem w tym, że to, co na papierze wygląda dość przekonująco, może okazać się trudne do udowodnienia. Główna podejrzana wciąż wszystkiemu zaprzecza i nie chce przyznać się do winy.

Gazety piszą, że jest kompletnie załamana. Gdy dowiedziała się, że grozi jej kara śmierci przez powieszenie, poprosiła, by ją rozstrzelali, bo, jak wyjaśniła śledczym, bardzo się boi szubienicy.

Wielkie widowisko na Łyczakowskim

Lwów, poniedziałek, 4 stycznia 1932

Lusia ubrana jest w śnieżnobiałą, koronkową suknię, którą jej ciotka Maria Kudelkowa przyniosła do Zakładu Medycyny Sądowej przy Piekarskiej 52. Nie widać stroju, bo podczas sekcji dziewczynce zdarto skórę twarzy i trumna jest zamknięta.

Srebrną, cynową trumnę ustawiono w krypcie kościoła Bernardynów. To największy lwowski kościół, pełen barokowych aniołów, majestatycznych sklepień, złocen i rekordowej liczby ołtarzy, których jest tu osiemnaście.

Od samego rana świątynia napelnia się ludźmi. Przyszli pożegnać się z tą, o której zagadkowej śmierci czytają od kilku dni w gazetach.

„Psychoza ciekawości zbiorowej spędziła tłumy z najodleglejszych dzielnic miasta do trumny zamordowanej dziewczynki” – pisał reporter „Gazety Lwowskiej”.

Żeby dostać się od środka, trzeba sforsować kute w żelazie niewielkie drzwi. Że to niełatwe, widać na gazetowych zdjęciach zrobionych podczas pogrzebu. Na placu Bernardyńskim – w okolicach kolumny Jana z Dukli przy fasadzie kościoła – jest niebywały ścisk. Wszyscy próbują wślizgnąć się przez żelazny przesmyk do wnętrza świątyni. Tylko że to niemożliwe, bo wąski korytarz prowadzący do krypty z trumną zatkał się już rano. Zresztą wkrótce z obawy przed katastrofą zostanie zamknięty. Nie zniechęca to gapiów. Nie wiedzą, że trumna jest zamknięta, a każdy chce zobaczyć ślady po dzaganiu na głowie dziewczynki. Przepelnione, oblepione ludźmi tramwaje wypływają pasażerów na placach Halickim i Bernardyńskim. Zewsząd wąskimi uliczkami ciągną w tym samym kierunku pochody. O czternastej, na godzinę przed planowaną mszą, jest jeszcze ciaśniej. Od placu Halickiego po ulicę Pańską widać morze głów. Zapychają się też okoliczne uliczki: Wałowa, Sobieskiego, Sienkiewicza. Oblegana jest Czarnieckiego i Piłsudskiego, którą ma przejść kondukt. Nigdy wcześniej żaden pogrzeb, żadna msza nie wzbudzały takiego zainteresowania.

„Przeważają kobiety z przedmieść, często z dziećmi na rękach” – notuje reporter „Słowa Polskiego”, szacując tłum na dziesięć tysięcy osób.

Próbują nim sterować kordony policji, ale naporu nie udaje się powstrzymać. Do akcji wkraczają oddziały konne, chroniąc kościół przed szturmem. Słychać piski i krzyki rozpędzonych kobiet.

„Słowo Polskie”:

Z uderzeniem godziny piętnastej z dzwonnicy kościelnej rozległy się żałobne tony dzwonów. Tłum zastygł w oczekiwaniu. Po chwili z krypty oo. bernardynów wynurzył się krzyż okryty kirem, za nim srebrna, cynowa trumna. Odsłoniły się głowy mężczyzn, słychać szept modlitwy. Wśród piania żałobnego kleru ułożono trumnę na karawanie, obwieszonym wieńcami od rodziny, koleżanek i Zakładu Olgi Filippi, gdzie zmarła uczęszczała do VI gimnazjum. Kondukt prowadził ksiądz Stanisław Frankel. Towarzyszą mu bernardyńscy zakonnicy. Za trumną postępują państwo Kudelkowie [Maria Kudelka jest ciotką zmarłej], brat Elżuni – Stanisław i dalsza rodzina.

Plac Bernardyński wygraża Gorgonowej pięściami, życzy jej śmierci. Jej i inżynierowi Zarembie, którego uważa za moralnego sprawcę mordu. Wypatruje go wśród żałobników, bo

kraży plotka, że jest obecny. Napada nawet na samochód z zasłoniętymi szybami, bo poszła pogłoska, że siedzi w środku.

Z braku ojca, którego sędzia Kulczycki zatrzymał w więzieniu, uwaga skupia się na czternastoletnim bracie zamordowanej dziewczynki.

Chcą zobaczyć małego Stasia, złamanego boleśnie – relacjonuje „Słowo Polskie”. – Ci, którzy nie mogą docisnąć się do karawanu przed kościołem Bernardynów, biegną teraz bocznymi uliczkami do ulicy Piekarskiej, przez którą zaraz przejdzie kondukt. Przepychają się, by zająć lepsze miejsce.

Z kościoła do głównej bramy cmentarza Łyczakowskiego jest około dwóch kilometrów.

Pod nią czekają kolejne tysiące lwowian. To ci, którym udało się przedrzeć przez policyjne kordony, licząc na to, że wślizgną się na cmentarz. Główna brama jest jednak zamknięta. Broni jej policja. Nikt się tu nie przeciwie.

O szesnastej konne patrole rozpraszają gapiów sprzed bramy, torując drogę wjeżdżającemu na cmentarz karawanowi i żałobnikom. Grób Zarembianki leży na prawo od głównej alei. Kwatera pięćdziesiąt trzy. Miejsce łatwo rozpoznać po stratowanych wokół grobach.

Cmentarz milknie, gdy ksiądz Frankel zaczyna ostatnie pożegnanie. Jest tak cicho, że słyhać tylko łkania i łoskot bijących o wieko grudek ziemi.

Gdy zapada zmierzch, policjanci otwierają na oścież cmentarną bramę. Ci, którzy czekali pod nią od wielu godzin, mogą teraz na własne oczy zobaczyć mogiłę. Jest grubo okryta wieńcami, spod których wystaje dębowy krzyż z białą tabliczką: „Tu spoczywa Elżunia Zarembianka zmarła tragiczną śmiercią w siedemnastej wiosnie życia”.

– Nie ma wątpliwości, że Elżbietę zamordowała Gorgonowa – przekonuje lwowskich reporterów naczelnik gminy Brzuchowice Paweł Csala. – Na jej winę można podpisać cyrograf – zapewnia.

Panuje przekonanie, że wszystko jest jasne. Dowody są mocne. Gorgonową obciążają zeznania świadków. Według gazet nie ma żadnych wątpliwości co do jej winy.

Dlatego lwowska ulica, żeby nie tracić czasu, domaga się procesu doraźnego, to znaczy w ekspresowym tempie. Zgodnie z Kodeksem karnym śledztwo w takim wypadku musi zakończyć się w dwa tygodnie, sąd ma dwadzieścia cztery godziny na wyznaczenie terminu rozprawy, a proces musi się zacząć najpóźniej po trzech tygodniach od aresztowania sprawcy. Uproszczona procedura sprawia, że wyrok zapada nie tylko -błyskawicznie, ale też ostatecznie. Nie trzeba potem tygodniami czekać na apelację.

Dziennikarze dość optymistycznie szacują, że przy odrobinie szczęścia wszystko może się zakończyć w drugiej połowie lutego. A znając operatywność lwowskiego sądu, należy przypuszczać, że z wykonaniem kary śmierci upora się on najpóźniej do końca marca.

„Tajny Detektyw”, najpopularniejszy tygodnik śledczy II Rzeczypospolitej Polskiej, pisze, że lwowian niepokoi tylko jedna myśl: „Czy Gorgonowa może okazać się niewinną? Czy mogą wyjść na jaw okoliczności, które spowodują jej zwolnienie z więziennych murów?”.

Nikt, oczywiście, nie bierze tego pod uwagę.

W dniu pogrzebu sędzia śledczy Zdzisław Kulczycki chwytą się jeszcze jednej szansy. O świcie w towarzystwie policjantów wyrusza do krypty kościoła ojców Bernardynów przy placu Bernardyńskim. Tuż przed nabożeństwem każe jeszcze otworzyć trumnę i odcina Lusi kosmyk ciemnych włosów.

Jeszcze tego samego dnia trafią do laboratorium. Jeśli jakiś włos Lusi znajdzie się na ubraniu Rity, będzie to mocny dowód, że tej nocy była w różowym pokoju.

Laboranci porównują pod mikroskopem włosy Zarembianki i Gorgonowej, nie potrafią

ich jednak rozróżnić. „Niepodobna określić, od której z tych kobiet pochodzą” – piszą w ekspertyzie.

CZY DRZWI TE BYŁY ZAMKNIĘTE?

DALSZY CIĄG REPORTAŻU: „TAJEMNICA RÓŻOWEGO POKOJU”.



IV.
Branzówka (od poprzedniego odczytania):
Nie uprzedziłam nikogo, a i tak jest pod drzwiami, widać, że jeden z pokoi Gorgonowej przysposobiony, to był ten, w którym została zamordowana. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana.

Hipoteza „drzwi otwartych”
Przyjajmy, iż Gorgonowa dotarła do pokoju, zamknęła drzwi, a następnie wyszła. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana.

Hipoteza „drzwi zamkniętych”
Przyjajmy, iż Gorgonowa dotarła do pokoju, zamknęła drzwi, a następnie wyszła. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana. W tym pokoju Gorgonowa została zamordowana.



Przebieg choroby
Przebieg choroby...
Przebieg choroby...
Przebieg choroby...

Przebieg choroby
Przebieg choroby...
Przebieg choroby...
Przebieg choroby...



Przebieg choroby
Przebieg choroby...
Przebieg choroby...
Przebieg choroby...



Przebieg choroby
Przebieg choroby...
Przebieg choroby...
Przebieg choroby...

[^] Dziennikarze „Tajnego Detektywa” prowadzą na własną rękę śledztwo, które ma wyjaśnić okoliczności śmierci Lusi Zarembianki. Docierają do świadków, penetrują willę, snują hipotezy

Dwa dni wcześniej, 2 stycznia, lekarze pobierają od Gorgonowej krew, by oznaczyć jej grupę. Zamordowana Elżbieta ma grupę A, oskarżona – 0.

Jeśli na ubraniach Gorgonowej lub przedmiotach przez nią dotykanych znajdzie się czynnik A, będzie to ważny dowód jej winy.

Zakrwawionych ciuchów jest mnóstwo – od kalesonów Henryka Zaremby poprzez śpiochy Romy po stanik Rity. Zamiast do wyspecjalizowanej placówki dowody rzeczowe trafiają do laboratorium chemiczno-lekarskiego „Serovac” we Lwowie. Badać je będzie nauczyciel lokalnego gimnazjum. (To jeden z głównych zarzutów obrony, która zakwestionuje wiarygodność tych ekspertyz).

Czynnik A laboranci znajdują na kołdrze, poduszce, dywanie w pokoju Lusi. I na zapalce, która leżała na nocnym stoliku. To raczej oczywiste.

Większości plam na ścianach, framugach drzwi i okien zbadać nie sposób. Bo albo za mało materiału do badań, albo uległ – tak przypuszczają eksperci – denaturacji, jak krew na ścianach pokoju Zarembianki. Są tam jeszcze odciski zakrwawionych palców, ale według laboratorium Komendy Głównej Policji w Warszawie podobno to linie papilarne Stasia.

Śladów krwi Lusi nie ma ani na klamkach w pokoju Rity, ani na jej koszuli nocnej, ani na

staniku. Wszystkie należą do grupy 0, czyli pochodzą z krwawiącej ręki Gorgonowej.

Chemicy odnajdują jednak drobinki krwi na podszewce brązowego futra. Tę plamę ktoś próbował wywabić wodą, ale zamiast usunąć, wtarł ją w watolinę. Jest wystarczająco duża, by zrobić wyciągi do badań. I wtedy okazuje się, że jest w niej czynnik A. To bardzo ważny i mocny dowód przeciwko Gorgonowej, bo świadczy, że musiała stać przy łóżku umierającej Lusi.

Na podszewce futra jest też druga, większa plama, wykazująca obecność składników kału. Gdyby próbka kału z podszewki była identyczna z tą znaną na miejscu zbrodni, byłby kolejny mocny dowód przeciwko Gorgonowej. Niestety, szczupłość materiału porównawczego nie pozwala na wnikliwą analizę.

Tydzień po zabójstwie śledczy wracają do Brzuchowic. (Być może z powodu braku mocnego materiału dowodowego). Kolejny raz przeczesują dom i ogród w poszukiwaniu prawdy o zdarzeniu. Odkrywają między innymi, że na pękniętej szybie w domu ogrodnika, w którą w nocy pukała Gorgonowa, zachowała się zaschnięta krew. Niestety, zbyt mało, by określić jej grupę.

I to z kluczowych dowodów wszystko.

Bez winy

– Czy przyznaje się pani do zamordowania Elżbiety Zarembianki? – pyta ją na każdym przesłuchaniu młody asesor sądowy Zdzisław Kulczycki, do którego sprawa trafiła dość przypadkowo. (Adwokaci z palestry długo będą się dziwić, dlaczego podjęto lekkomyślną decyzję, by sprawę powierzyć właśnie jemu, asesorowi posiadającemu zaledwie kilkumiesięczne -doświadczenie śledcze, a nie sędziemu śledczemu z długim stażem).

Za każdym razem Rita odpowiada podobnie:

– Nie. Nie uczyniłam tego! – Po czym pyta przesłuchującego: – Skąd te podejrzenia? Kto śmie mnie podejrzewać?

Później dialog wygląda mniej więcej tak:

– Więc kto, zdaniem pani, dopuścił się tej zbrodni?

– Nie wiem. Cóż to mnie obchodzi? Na to jest policja!

– A co pani na dowody, jakie zebraliśmy przeciwko pani?

– Nic. Nie uważam, by udowadniały moją winę. To są może dowody przeciw komu innemu.

– Może pani wskaże, kogo pani podejrzewa o morderstwo?

– Nie. Niech panowie się tym martwią.

– Skąd się wziął kilof w basenie?

– Co mnie to obchodzi? Używał go dozorca.

– Skąd pochodzi wybita szyba?

– Stłukłam ją łokciem. Było to po ujawnieniu morderstwa, gdy mąż mój wołał: „Wody, wody!”. Pośpieszyłam na dwór po wodę. Chciałam wrócić przez werandę i stłukłam szybę, by przekreślić klucz tkwiący od wnętrza.

– Skoro pani stłukła szybę łokciem, to skąd ma pani okaleczenia na przegubie dłoni?

– Zraniłam się przy usuwaniu odłamków pozostałych w ramie okna.

– Jak to? Tam leży trup, ktoś wzywa pomocy, pani śpieszy z wodą i nagle zatrzymuje panią taki drobiazg jak usuwanie odłamków z ramy okna?

– No tak. Jestem taka skrupulatna, że z miejsca musiałam to posprzątać.

– Proszę pani – mówi pojednawczo sędzia. – Gdyby pani ze skrucą powiedziała prawdę, byłaby to okoliczność łagodząca. Wzięłaby pani sobie adwokata i obrona byłaby możliwsza!

– Nie potrzebuję adwokata – odpowiada – bo nie poczuwam się do winy, jak pan taki psycholog, to niech pan udowodni przed sądem, że jestem zbrodniarką.

„Zeznając, zaciska szczęki, trwa przy tonie, w jaki uderzyła od pierwszej chwili. Gdy jej przedkładają rzeczowe dowody, pąsowieje na całej twarzy aż po szyję, ale ironicznie się uśmiecha i wszystkiemu przeczy” – zauważa dziennikarz „Słowa Polskiego”.

To nie może być ona

Lwów, niedziela, 7 lutego 1932

Sędzia Zdzisław Kulczycki wydaje naczelnikowi Majewskiemu polecenie wypuszczenia inżyniera Zaremby z więzienia w Brygidkach. Śledztwo w sprawie tego podejrzanego zostało umorzone z braku dowodów.

„Zrozumiano, że padłem ofiarą fatalnej pomyłki” – zanotował Zaremba.

Następnego ranka, 7 lutego 1932 roku, strażnicy zaprowadzili go do kancelarii. Żegnał go tam osobiście inspektor Raczyński, zastępca naczelnika więzienia.

– Poleciałem wyprowadzić pana boczną bramą, bo przy głównej kłębią się od rana ludzie – powiedział Zarembie. Wy tłumaczył mu, że pobyt w więzieniu uczynił go bardzo znaną i popularną osobą w Polsce.

– Na artykułach o panu można grubo zarobić – powiedział.

Dziennikarze nie dali się zwieść. Gdy o dziesiątej, po pięciu tygodniach spędzonych przez Zarembę w areszcie, otwiera się przed nim boczna brama więzienia, stoi już za nią grupka najwytrwalszych pismaków.

– Muszę iść na cmentarz, na grób córki – oznajmia im Zaremba.

– Rozumiemy – odpowiadają życzliwie. – Zawieziemy tam pana.

Redakcyjne auta parkują pod tą samą bramą, której bronili niedawno policjanci. Do grobu Lusi prowadzi wydeptana w śniegu ścieżka. Spod białej czapy sterczą suche kwiaty i przywiedle wieńce. Zaremba klęka.

– Widzisz, Lusi – szepce pod nosem – obcym wolno było ci oddać hołd, tylko Tineczek [tak go nazywała] nie mógł cię pożegnać, bo go trzymano w więzieniu.

„Wystarczył areszt, aby pogrążono mnie w kałuży oszczerstw. Mój ukochany Lwów odbierał mi szacunek na mocy gazeciarskich plotek” – pisał.

Nie czyta więc gazet. Pełne jadu i gróźb listy selekcionuje mu Staś.

Nadawcy wysyłają płynące z serca życzenia: by zasiadł na ławie oskarżonych obok Gorgonowej, by szlag go trafił i zadyndał na stryczku.

Nie może wyjść na ulicę. Gdziekolwiek się pojawi, wytykają go palcami, tworzą się wokół niego zbiegowiska. Wszędzie słyszy za plecami: „To Zaremba, Zaremba, Zaremba”.

„Mam wrażenie, że motorowy, ujrawszy mnie gdzieś na zakręcie ulicy, zapomniał o wozie i zbaczał na niewłaściwą linię, że woźnica wypuszczał z rąk kierownictwo nad końmi, że szofer wjeżdżał na chodnik, żeby mi się przypatrzeć”.

Zaremba bardzo długo nie może uwierzyć w winę konkubiny. Truchleje, gdy podczas pierwszego przesłuchania we Lwowie dowiaduje się, że to zapewne ona zabiła mu córkę.

– To nie może być ona – przekonuje Frankiewicza i Responda.

Oni mu wtedy spokojnie i logicznie tłumaczą, że nie mógł to być nikt inny.

– Tylko ona – mówią. – Bo przecież nie pan zamordował córkę. I nie brat siostrę. A trzecim domownikiem, wokół którego skupiły się poszlaki, zbierające się w łańcuch dowodowy, była Gorgonowa.

– Zważ pan – mówią do niego Frankiewicz z Respondem – morderca obcy uciekłby w strachu, pozostawiając narzędzie zbrodni, a nie trudziłby się jego chowaniem w basenie.

Opowiadają mu o śladach drobnych stóp prowadzących od dużej werandy do małej aż pod próg jej sypialni, o futrze ze śladami kału, o znalezionej w piwnicy chustce i o Stasiu zbudzonym w nocy, któremu ciemna plama w holu nie odpowiedziała na zawołanie: „Lusiu”.

Gdy kończą przesłuchanie, Zaremba ulega pod naciskiem ich sugestii. I prosi, by dopisać do protokołu jeszcze jedno, ostatnie zdanie:

„Na podstawie nagromadzonych przez organa prowadzące dochodzenie dowodów uważam, że sprawcą morderstwa jest Gorgonowa Margarita Emilia, jednak ja w tym ani przed, ani po fakcie nie brałem żadnego udziału i nawet nie przypuszczałem, że coś podobnego mogłoby zaistnieć”.

Pisze w książce:

Pamiętam dobrze, że kiedy w tym momencie to nazwisko padło, jako nazwisko winowajczyni, jakoby piorun padł we mnie. Doznałem przerażenia. Jeszcze nie od razu olśniła mnie jasność. Nie od razu przypomniałem sobie oczy Gorgonowej pałające nieraz dziwnym dla mnie gniewem na to biedactwo. Nie od razu też przypomniałem sobie, z jaką dziwną trwogą od chwili okropnego odkrycia patrzyły na mnie oczy Stasia, które przecież kogoś widziały tej strasznej nocy i mówiły do mnie o jakiejś strasznej prawdzie, której usta młodego chłopca-syna nie chciały zawierzyć ojcu, ojcu Musi, jego siostrzyczki.

Teraz stawało się dla mnie jasnym, że zbudzony ze snu chłopiec, zdziwiony skowytem psa, przerażony, że postać, którą dojrzał w hallu, nie odpowiada – widział właśnie Gorgonową.

Henryk Mikołaj Zaremba herbu Dęboróg, urodzony w Nowym Sączu 10 września 1883 roku, syn Bolesława i Stefanii z domu Strowska. Po śmierci ojca wyrwa się z biedy i z pomocą stryja kończy w 1904 roku Wyższą Szkołę Przemysłową w Krakowie (Wydział Architektury i Budownictwa). Po studiach pracuje we Lwowie. Od roku 1911 prowadzi tu własne biuro architektoniczno-budowlane ZAREMBA i Spółka. Projektuje ważne lwowskie budynki: pawilon Targów Wschodnich, gmachy dwóch klinik, Dom Emigranta Polskiego, budynek izby adwokackiej, Pałac Sportu, kieruje przebudową głównego dworca kolejowego – największego i najpiękniejszego w Polsce, jak uważają Lwowianie.

Jest prezesem Izby Budowniczych i Związku Plastyków, sekretarzem Koła Architektów i Rady Sztuki, dyrektorem Polskiego Towarzystwa Budowlanego, zasiada w radzie nadzorczej Banku Budowlanego.

W 1912 roku żeni się z Elżbietą Stenzel, córką nadinspektora kolei wiedeńskiej. To ona wnosi w posagu willę w Brzuchowicach.

W 1914 roku przychodzi na świat Lusia, w roku 1917 – Staś.

Po ślubie Elżbieta zachowuje się dziwnie. Zapomina o rzeczach ważnych, nie zawsze wie, kim jest, nie rozpoznaje bliskich, czasem nawet własnych dzieci. Budzi się przed świtem, krąży po domu z małą miotełką i zmiata nieistniejące śmieci. W roku 1923 trafia do zakładu zamkniętego dla obłąkanych w Kulparkowie pod Lwowem.

Zaremba pisze: „Byłem czterdziestoletnim wdowcem dla pogrzebanej żywcem w szpitalu żony, ojcem dwojga dzieci, Lusia liczyła lat dziewięć, Staś miał sześć. Dzieciom, które chciałem umieścić na wsi, w Brzuchowicach, bardzo przydać by się mogła bona”.

– Musisz wziąć dla swoich dzieci bonę, która zarazem będzie prowadzić ci gospodarstwo – powiedziała latem roku 1924 majorowa Baltinowa.

I zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dodała:

– Znalazłam właśnie osobę odpowiednią. Miła, żywa, wesoła, energiczna, rządna, sprytna. Przy tym znajduje się w ciężkim położeniu, bardzo zależałoby mi, aby jej dopomóc.

Z Dalmacji do Polski

O tym, jak z dalekiej Dalmacji trafiła do Galicji, opowiadała krakowskim psychiatrom, którzy w marcu 1933 badają jej poczytalność.

Ojca nie pamięta. Urodziła się dwa miesiące po jego śmierci. Matka mówiła, że był lekarzem. W czwartym roku życia matka oddaje ją na wychowanie do wuja, a w szóstym – do sierocińca. W zakładzie sióstr białych w Sarajewie kończy przyklasztorną szkołę powszechną.

W 1914 roku, po wybuchu wojny, zakonnice zamykają klasztor, a dzieci odsyłają do domów. Mała Rita wraca w rodzinne strony. Matka z ojczymem i przyrodnim rodzeństwem mieszkają na wyspie Zlarin, niedaleko Szybeniku.

W mieście tym stacjonuje pułk austro-węgierskiej marynarki wojennej. Erwin Gorgon jest tam telegrafistą. Poznają się, gdy Erwin przyływa łodzią na chrzciny kolejnego dziecka jej matki.

Rita ma piętnaście lat, gdy 2 września 1916 roku w Szybeniku wychodzi za mąż za o dziewięć lat starszego Erwina Gorgona. Mieszkają kilka miesięcy u matki Rity. Potem jego przenoszą do jednostki sygnałowej w Treboconi, o czym kobieta mówi -podczas przeprowadzonego dla sądu badania jej stanu umysłowego.

We wrześniu 1917 roku rodzi się ich jedyne dziecko – Erwinek. Trzy miesiące później mąż przywozi ją z dzieckiem do Lwowa, a sam wraca na front.

Rita mieszka u teściów przy ulicy Wąskiej 21 na Zamarstynowie. Gorgonowie mają tu największą w Galicji fabrykę musztardy.

Lwów jest wtedy miastem niebezpiecznym. Polacy domagają się niepodległości, Austriacy oferują tylko represje i więzienia. Pod koniec 1918 roku rozpoczynają się między Polakami a Ukraińcami krwawe walki o miasto. Nie ma gazu, wody ani elektryczności. Panują głód i drożyzna.

Pod koniec 1918 roku wraca z wojny Erwin Gorgon. Jest zimny i nieprzystępny. I od razu wyjeżdża ze Lwowa do pracy w Urzędzie Wojewódzkim w Kamieńcu Podolskim. Rzadko odwiedza żonę. („Kochaliśmy się bardzo, ale on cierpiał na taką chorobę, że nie mogliśmy utrzymywać stosunków małżeńskich i musieliśmy się rozejść”).

W 1921 roku Gorgon zdradza jej swój największy sekret. Podczas wojny zaraził się syfilisem od żony pewnego admirała. Wyjeżdża więc do Ameryki, ale obiecuje, że jak się trochę podleczy, urządzi, stanie na nogi, to zabierze ją z Erwinkiem do siebie.

Została z jego rodziną.

Dalsze jej losy poznajemy z listów, które wysyła do męża do Ameryki. (Przesłał je do sądu przebywający w Stanach Zjednoczonych Erwin Gorgon. W trakcie lwowskiego procesu dochodzi do przecieku i treść listów trafia na pierwsze strony brukowców).

Najdroższy mój – pisze Rita granatowym atramentem, mocno przyciskając stalówkę. – Gdy ojciec twój wpadł do pokoju z nożem i słowami, bym się wynosiła z jego domu, że nie mam czego tam szukać, odeszłam tak łzami zlana, że ledwie do drzwi trafiłam. Tutaj są bardzo ciężkie warunki życia i ludzie z każdej gałęzi pracy zostali zredukowani. Tysiące poszło na śliską drogę, nie mogąc sobie dać rady. A co ja dopiero, niczego nie umiejac ani nikogo nie mając? W ostatnich czasach miałam zajęcie w sklepie cukierniczym [skład słodczy Mascotte przy ulicy Legionów] jako kasjerka i miałam w przeciągu trzech miesięcy złożyć kaucję w kwocie tysiąca złotych. I skąd je miałam wziąć?

Pokątnie mieszkałam u jednego murarza na ulicy Rzeźbiarskiej, ale z powodu braku

dwudziestu złotych, nie mogąc mu zapłacić, nie tylko się z domu musiałam wynieść, ale mi rzeczy zatrzymali. Wszystko przepadło. Aż mnie taka stara Żydówka z litości przez dwa miesiące trzymała i jeść dawała, póki zajęcia nie dostałam.

Na rodziców twoich, sprawców mego nieszczęścia, liczyć nie mogłam. Dziecka mi nie pozwolili zobaczyć, bom biedna.

Tęsknota serce mi zdierała i chciałam go choć z daleka zobaczyć. I raz w zimie skradłam się jak złoczyńca do uliczki pod okno, nie wiem, kto mnie zobaczył, aż Stary wyleciał i musiałam jak złodziej uciekać, by nie słyszeć wyrazów, którymi mnie zaczął wyzywać. I złamana na duszy i ciele w noc zimową wałęsałam się do rana po parku, tak byłam przygnieciona swoim nieszczęściem, że nie czułam głodu i chłodu.

Niech ten Stary przeklęty będzie za to, że nasze dziecko osierocone. Za krzywdy, które mi wyrządził, za zmarnowane nasze szczęście i życie. Niech Bóg się pomści za nasze cierpienia. Wisi nad grobem. Niech przeklęty będzie.

Akt oskarżenia

Lwów, piątek, 19 lutego 1932

Prokurator Alfred Laniewski wręcza Margaricie Emilii Gorgon akt oskarżenia. (Pod koniec stycznia 1932 roku zastąpił w śledztwie podprokuratora Emila Krynickiego). Czterdziestodwuletni Laniewski to wiceprokurator okręgowy, były sędzia grodzki ze Szczerca pod Lwowem i as lwowskiej prokuratury. Oskarżał w głośnym procesie zamachu bombowego na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego w 1924 roku. Szybko zdał sobie sprawę, że sprawa Gorgonowej rozgłosem przebijie wszystko.

„Przystąpiłem do niej [sprawy] z największym zapałem, z największą przezornością i z całym namaszczeniem. Od razu wyczułem, że sprawa nie potoczy się normalnymi kolejami, że będzie trzeba w niej zwalczać nieprzeciętne przeszkody, że każdy krok, każda decyzja muszą być sto razy rozważone, zanalizowane, zbadane” – napisał we wspomnieniach.

Prokurator Laniewski jest przeciwny trybowi doraźnemu. Wie, że materiał dowodowy wcale nie jest tak bogaty, tak mocny, tak bezsporny, jak pisze prasa. Uważa, że sprawę trzeba wyjaśnić w standardowej procedurze:

Wiedziałem jak na dłoni, jakie koleje psychologiczne przechodzić będzie ten proces. Wiedziałem, że każdy najmniejszy krok poczyniony w śledztwie będzie na wszystkie strony obracany, a nieraz i wywracany. Wiedziałem, że nie wolno pominąć przy badaniu najmniejszej okoliczności *pro* lub *contra*. Szło o to, by wykazać w sposób mocny i już niewątpliwy, jak rzecz naprawdę wygląda.

Gdy wręcza Gorgonowej akt oskarżenia, musi zdawać sobie sprawę, że dowody są słabe, będą kwestionowane w -sądzie i że czeka go ciężka batalia, bo oskarżona nie przyzna się do winy.

Cały akt oskarżenia oparty jest na zeznaniach czternastoletniego chłopca, który ma wrogi stosunek do oskarżonej i jej nie lubi. obrońcy na pewno będą chcieli to wykorzystać i podważyć jego zeznania. I będą do tego podstawy. Chłopiec przecież długo nikomu nie mówił, co zobaczył nocą w holu, potem nie był pewny, a po kilku godzinach ołśniło go, że była to Pani.

Laniewski musiał mieć wątpliwości. Ale nie zadrżała mu ręka. Na podstawie austriackiej Ustawy karnej z 1852 roku (paragrafy 134 i 135), która wciąż obowiązywała na terenie Lwowa, oskarżył Ritę Gorgon o skrytobójcze morderstwo Elżbiety Zarembianki. Oznaczało to jedyną możliwą karę w wypadku udowodnienia winy – karę śmierci.

Napisany przez Laniewskiego akt oskarżenia to kolorowa, ale malowana grubą kreską opowieść o życiu Rity Gorgon, w której zagubiona emigrantka z Jugosławii, szukając ratunku, trafia w ręce dobrego, starszego pana z Brzuchowic. On przygarnia ją do swego domu jako opiekunkę do dzieci, ale jest za słaby, by oprzeć się jej wdziękowi. Ona owija go sobie wokół palca i podporządkowuje. Córka, która chce wyrwać ojca z rąk uzurpatorki, staje się jej największym wrogiem, przyczyną jej nieszczęść, przeszkodą w szczęśliwym pożyciu z panem z Brzuchowic. Dziewczynka jest na tyle skuteczna, że doprowadza do zerwania związku ojca z konkubina, a to dla Rity upadek, pogorszenie sytuacji życiowej i utrata gruntu pod nogami.

Zdaniem Laniewskiego to był główny motyw zabójstwa.

„Szereg niezachwianych dowodów oplótł oskarżoną Gorgonową nierozzerwalnym

logicznym kołem, wskazując na nią jako sprawczynię czynu” – pisał w akcie oskarżenia.

Materiał dowodowy, na który powołuje się prokurator, jest jednak dość mialki.

Pomijając mętne zeznania Stasia Zaremby, akt oskarżenia utkany jest ze szczątkowych poszlak, a nie z mocnych dowodów.

Prokurator Laniewski stara się tego nie zauważać: „Dokonano roboty misternej, koronkowej, bardzo precyzyjnej – zapewnia. – Każda rzecz była rozważana na licznych zejściach, konferencjach w sposób wszechstronny. Wyszukiwało się wszelkie słabsze strony, każdej poszczególnej koncepcji i godzono się na nią dopiero wtedy, gdy te słabe strony dały się usunąć”.

Nowe życie Rity

Rita początkowo żyje z tego, co przysyła Erwin z Ameryki. To jednak na samodzielne utrzymanie nie starcza. Później i to się ucina, a na błagalne listy mąż nie odpowiada.

Nie wiadomo, gdzie jest, co robi, czy w ogóle żyje. Do Lwowa docierają sprzeczne informacje: raz, że jest kapitanem na statku, innym razem – że całymi dniami leży w palarni opium. Raz – że mieszka w Chicago, innym razem – że w Nowym -Jorku. Raz – że żyje, raz – że nie żyje.

Nie jest łatwo znaleźć we Lwowie pracę, zwłaszcza komuś, kto nic nie potrafi. Rita zapisuje się na kurs pielęgniarek u znanego pediatry profesora Franciszka Groëra. Absolwentkom kursu oferuje on dobrze płatną pracę w prowadzonej przez siebie klinice pediatrycznej. Kursu Rita nie jest w stanie ukończyć, bo nie ma pieniędzy. Zamiast do szpitala trafia do ekskluzywnego składu słodczy Mascotte przy ulicy Legionów 1. W kwietniu 1924 roku znajoma, pani Baltinowa, mówi jej, że znany lwowski architekt może pomóc jej znaleźć odpowiednią posadę. Henryk Zaremba przychodzi na spotkanie do składu słodczy przy Legionów i proponuje jej pracę. Mówi, że w biurze chwilowo nie ma posady, ale żeby na nią czekała i w tym czasie zajęła się jego dziećmi.

„Twarz miała miłą, bardzo przystojną, wszelako nie czarującą – tak zapamiętał pierwsze spotkanie Zaremba. – Nie odczuwałem w tej liczącej dwadzieścia trzy lata kobiecie jakiejś demonicznej kusicielki, budzącej wrzenie krwi i szal zmysłów”.

To napisał Zaremba, wtedy łysy, pomarszczony, osiemnaście lat starszy od niej mężczyzna. Ale nie chodziło przecież wtedy o miłość, tylko o opiekę nad Stasiem i Elżbietką. Ich matka niedawno trafiła do kliniki psychiatrycznej w Kulparkowie, a on nie bardzo daje sobie radę z pracą, dziećmi, domem i służbą.

Zaremba tak pisze o Ricie: „Była opuszczona, nie miała nikogo. Wyszła za mąż bardzo dobrze, ale szczęście ją opuściło” – tyle się wtedy o niej dowiedział. Wyciągnął pomocną dłoń, ratując piękną nieznajomą. Bez wymaganych rekomendacji zaproponował jej pracę opiekunki w Brzuchowicach. Rita zamieszka tam z Lusią i Stasiem, a on będzie tylko na niedzielę w odwiedziny przyjeżdżał.

Gorgonowa: „Wahałam się zostać w domu Zaremby. Powiedziałam mu, że wchodząc w jego dom, palę mosty za mężem, do którego nie będę już mogła wrócić. Wtedy on odpowiedział, że będzie się starał rozwieść z żoną, a ja będę matką jego dzieci”.

„Jej śmiechem napełniał się ogród zaraz tej pierwszej niedzieli. Zawojowała serca moich istotek. Przyłgnęły do niej od razu – notował. – Dzieci, zaniedbane przedtem, zaczęły wyglądać czyściej. Dodatkowo wrażenie, jakie sprawiała, rosło z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc”.

Zaczął wtedy przyjeżdżać częściej. Z każdym przyjazdem bardziej mu się podobała. Coraz mniej była boną, coraz więcej Panią.

Pewnego popołudnia, był już sam w swoim biurze architektonicznym, pojawiła się niespodziewanie.

„Patrzyłem na tę twarz jej śmiejącą się. W te oczy, spoglądające jasno, pewnie, spokojnie. [...] Skoro zjawiała się sama, należało docenić jej ofiarę” – pomyślał i zaprosił guwernantkę na noc do swojego lwowskiego mieszkania.

Było mi z Gorgonową wygodnie – pisał we wspomnieniach. – Oddałem się fali, a raczej płynąłem w łodzi, z rąk puściwszy wiosło, ona zaś siedziała przy sterze i nadawała kierunek tej łodzi. Ze skromnej sklepowej wyrastała w swoich marzeniach na właścicielkę willi

brzuchowickiej, z tytułem małżonki człowieka, bądź co bądź, o szanowanym nazwisku i majątnego.

Tajny DETEKTYW

KOBIETA ZA KRATAMI



Wł. Gorgonowa w towarzystwie arch. Zaremby (na lewo) i jego urzędnika na balkonie dawnego biura Zaremby przy ul. Hetmańskiej 6 we Lwowie. Rewelacyjny raport na stronie 8-mej i 9-tej.

[^] Zaremba, Gorgonowa, urzędnik Zaremby na balkonie dawnego biura architektonicznego Zaremby przy ulicy Hetmańskiej we Lwowie

Stosunki nasze stawały się ściślejsze, poufniejsze, czulsze. [...] Odwiedzałem swój wiejski domek nie tylko jako stęskniony ojciec. Był ktoś, kto, jak sądziłem, wyczekuje mnie z otwartymi ramionami. A teraz chciałem już czegoś więcej niż tych czułych objęć, jeszcze dyskretnych w Brzuchowicach. Chciałem, aby jej ramiona rozwierały się i zawierały tylko dla mnie. [...]

Szliśmy w grodzie podwawelskim ulicą Szczepańską. Z dala widać było wieżę kościoła Mariackiego. I nagle błysnęła mi myśl: „A gdyby tak związać ją i siebie przysięgą?” (Nie mogliśmy prawnie należeć do siebie – oboje nierozwiedzeni).

Zaproponowałem:

– Rito, a gdybyśmy tak poszli do kościoła i tam, przed ołtarzem w obliczu Boga, bez świadków, przysięgli sobie wierną miłość – na wieki?

Przystanęła oszołomiona. Potem zakołysała się śmiechem:

– A co będzie, jeżeli potem ktoś inny mi się spodoba? [...]

Poczułem mróz w kościach. [...] Nie miałem do niej o to pretensji, nie chciała wiązać się przysięgami ze mną. [...] Była boną i gospodynią, która w każdej chwili odejść mogła ode mnie. [...]

Przedstawiałem ją znajomym jako „moją panią”, a to wystarczyło, żeby „mojej pani” oddawali należne honory. [...] Na wsi [...] byli przekonani o tym, że Gorgonowa była moją żoną. Nie prostowałem ich błędnego przekonania, bo i po co? [...]

W Pałacu Sprawiedliwości

Lwów, poniedziałek, 25 kwietnia 1932–sobota, 14 maja 1932

U góry: „sygnatura VII 2 K 11/32”. Niżej: „w sprawie karnej Margarity Gorgon o zbr. z paragrafu 134 u.k.”. Na samym dole nabazgrany czerwonym atramentem podpis przewodni-czącego rozprawy sędziego Jana Antoniewicza plus pieczętka sądu.

O każdy z takich biletów wstępu na rozprawę toczy się we Lwowie walka. Chętnych są tysiące, a przewodniczący sądu może każdego dnia wydać tylko dwieście pięćdziesiąt wejściówek. Musi je rozdzielić pomiędzy dziennikarzy, sędziów, prokuratorów, adwokatów i tysiące zwykłych ludzi, którzy chcą zobaczyć Gorgonową z bliska.

„Każdy lwowski sędzia, prokurator, a nawet woźni sądowi nagabywani byli przez znajomych i nieznajomych o bilety. Używano przeróżnych podstępów, protekcji, zabiegów, żeby dostać się na salę. Ludzie, którzy tyle mieli dotychczas wspólnego z prasą, że kupowali albo pożyczali codziennie dzienniki, stawali się »dziennikarzami«, ażeby uzyskać kartę prasową” – pisał prokurator Alfred Laniewski.

Na Batorego, najważniejszej arterii dawnego przedmieścia Halickiego, policja usuwa grupki gapiów próbujących wślizgnąć się do wyglądającego jak antyczna świątynia Pałacu Sprawiedliwości.

Żeby wejść do środka, potrzebny jest bilet wstępu. Ci, którzy go mają, ustawili się w kolejce już o siódmej rano, dwie godziny przed rozprawą, by mieć pewność, że wejdą.



[^] Proces we Lwowie, na drugim planie obrońca Gorgonowej Maurycy Axer

„Inni stawali na ulicy pod szarym murem gmachu, jak gdyby spodziewali się, że te mury odślą im bodaj rąbek tak bardzo przez nich pożądaną tajemnicy, opowiedzą im choćby cząstkę tego wszystkiego, co się tam wkrótce dzieć będzie – pisze Laniewski. – Wszystkich przywiodła żądza sensacji, żądza dreszczów i przeżywania choćby w namiastce owej strasznej przedsylwestrowej nocy, zobaczenia osób, które wówczas znalazły się na miejscu zbrodni”.

„To, czegośmy wczoraj byli świadkami na ulicy Batorego, nie miało dotychczas nic podobnego w dziejach sądownictwa lwowskiego” – pisze „Gazeta Poranna”.

Sala rozpraw numer 1. Największa w Pałacu Sprawiedliwości, na pierwszym piętrze, nad głównym wejściem. Wielkie okna wychodzą na Batorego. Aż do zakończenia rozprawy będzie tu czekał przed wejściem tłum.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to wielkie żelazne łóżko, stojące na lewo od stołu sędziowskiego, tuż przed ławą obrońców. Łóżko jest zaścielone, jakby ktoś zaraz miał się w nim położyć. Tylko pościel jest mocno poplamiona stalowobordowymi krwawymi plamami.

Przy dużym sędziowskim stole – rozstawione drewniane stoliczki, na których leżą najważniejsze dowody rzeczowe: kilof do lodu, lichtarz, koszula nocna, biustonosz, chusteczka do nosa.

Nie ma specjalnych łóż dla dziennikarzy. Siedzą w pierwszych ławach dla publiczności, dopiero za nimi zwykła publika.

„Twarze młode i stare, piękne i brzydkie, mężczyźni i kobiety. (Te ostatnie bezwzględnie przeważały). Na twarzach wypieki częścią z powodu ciepła panującego na sali, częścią z powodu ogólnego podniecenia” – pisze Laniewski.

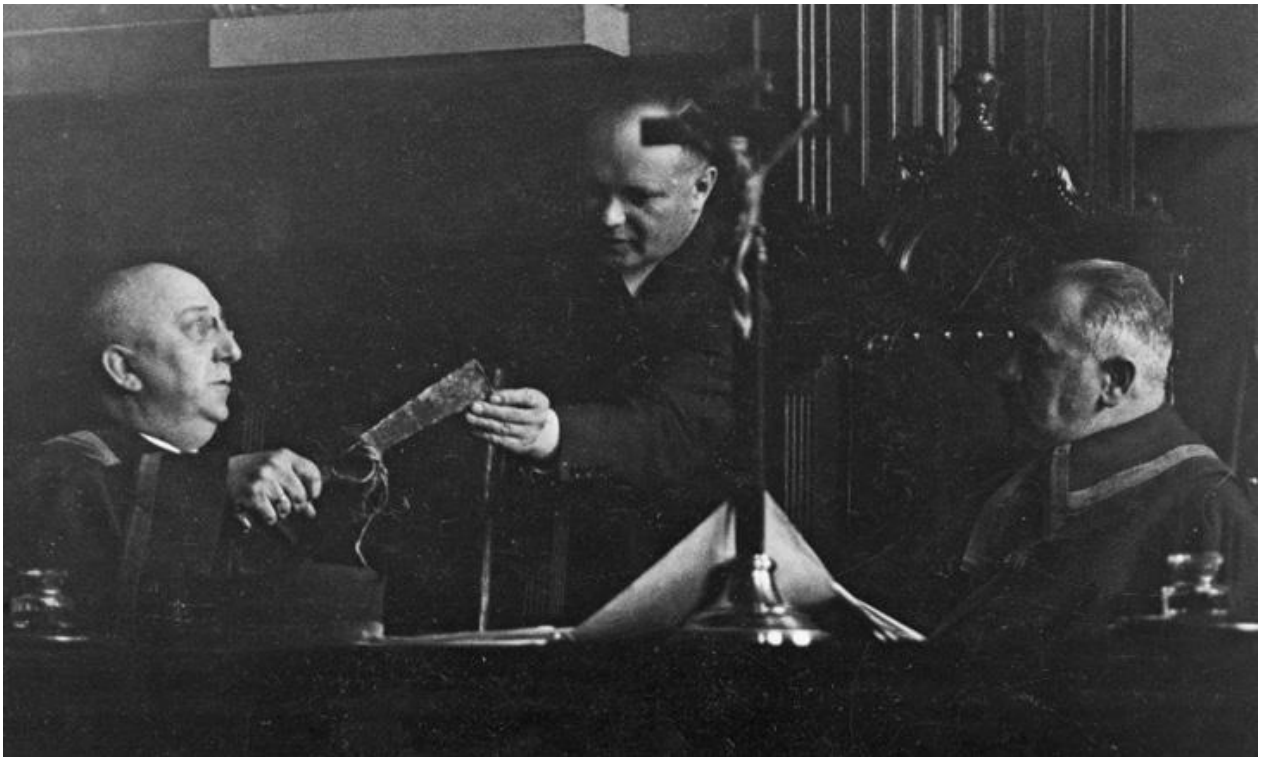
Przed dziewiątą zapełniają się stanowiska dziennikarskie. Są fotoreporterzy i karykaturzyści.

Tuż za barierką dla widzów przy małym stoliku – dwóch stenografów. To pracownicy „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, który na proces wysłał sprawozdawcę sądowego. Mają stenografować na przemian. Gdy jeden będzie przepisywał swoje notatki na maszynie, drugi na sali rozpraw spisywać będzie wszystko tak, by nie zagięło żadne słowo, żaden przecinek, żadna kropka.

Maszynopisy odbierać będą od nich gońcy, którzy telefonicznie przedykują je maszynistkom dyżurującym w krakowskiej centrali gazety na rogu Starowiślniej i Wielopola. To pomysł redaktora naczelnego Mariana Dąbrowskiego na pokonanie konkurencji. Relacje z procesu mają wszystkie gazety, ale tylko „Ilustrowany Kurier Codzienny” publikuje pełny tekst z rozprawy: słowo w słowo. (Relacje są tak dokładne, że Wysoka Ława korzysta z wycinków „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” na równi z protokołami rozpraw).

Od poniedziałku 25 kwietnia 1932 roku przez siedem dni w tygodniu „Ilustrowany Kurier Codzienny” publikuje każdego dnia cztero- lub pięciostronicowe relacje ze Lwowa.

O dziewiętej pięć wchodzi na salę woźny Biłobran, daje znak wszystkim, by wstali.



[^] Sędziowie Sylwester Łyczkowski (pierwszy z lewej) i Jan Antoniewicz (pierwszy z prawej) oglądają dżagan podczas procesu

Tylnymi drzwiami tuż za ławą sędziowską wchodzi na salę trybunał karny: przewodniczący Jan Antoniewicz (wówczas wiceprezes Sądu Okręgowego we Lwowie) i sędziowie Robert Tertil i Sylwester Łyczkowski.

„Wytrawni, doświadczeni sędziowie. Mądrzy i dobrzy ludzie” – pisze o nich Laniewski.

Na ławie obrony siedzi samotnie bardzo wysoki, tęgi i mocno łysawy czterdziestolatek, zaczesujący się na pożyczkę. To adwokat Maurycy Axer, absolwent Wydziału Prawa Wszechnicy Lwowskiej, porucznik artylerii konnej armii cesarsko-królewskiej, w której spędził prawie cztery lata na froncie rosyjskim, włoskim i albańskim, najlepszy mówca lwowskiej

palestry. Od 1919 roku przy ulicy Fredry 4a prowadzi swoją kancelarię specjalizującą się w sprawach karnych i politycznych. Ale dopiero teraz jego nazwisko jest na ustach całej Polski i najważniejsze gazety proszą go o wywiad.

„Jeżeli prowadzę tę sprawę, to chcę, by zatriumfowała prawda – mówi »Expressowi Wieczornemu Ilustrowanemu«. – Wierzę w niewinność swojej klientki. Gdyby było inaczej, już dawno zaniechałbym obrony, która naraziła mnie na poważne koszty i straty”.

(Wie już, że to jego najważniejsza sprawa w karierze. Że będą o nią pytać aż do końca, nawet w ostatniej jego podróży pociągiem towarowym ze Lwowa do Bełżca w 1942 roku).

„Imponował mi – wspomina Laniewski. – Szedł mężnie na straszną walkę. Wiedział, co go czeka. Szedł gotów na każdą ofiarę, a poniósł ich potem tak wiele w tej sprawie. Gotów na każdy wysiłek. (Mówiono, że szło mu tylko o zaspokojenie własnej ambicji. W każdym razie szlachetna to była ambicja)”.

Jeszcze tylko przewodniczący sądu Antoniewicz wylosuje dwunastoosobową ławę przysięgłych i zaraz się zacznie. (Zgodnie z obowiązującą wciąż austriacką procedurą karną to właśnie przysięgli decydują o winie oskarżonego, a sąd tylko wymierza karę).

Dla bezpieczeństwa procesu Gorgonową przeniesiono do stojącego w podwórku sądu ponurego więzienia, mieszczącego się w dawnym klasztorze Karmelitów. Dzięki temu nie trzeba oskarżonej wozić na rozprawę przez całe miasto, narażając ją na niebezpieczeństwo linczu. Wprowadzana na salę rozpraw będzie specjalnym korytarzem łączącym więzienie z sądem.

O dziewiątej piętnaście wchodzi na salę pod strażą.

Ma na sobie czarne, selskinowe futro, zieloną czapeczkę, lakierki i czarne rękawiczki, których nie zdejmie przez całą rozprawę. Będzie w nich kryła twarz przed wścibskimi reporterami, którzy próbują uwiecznić łzy błyszczące w jej oczach.

„Nie ma nic z uroku, któremu kiedyś nie mogli oprzeć się mężczyźni. Twarz zniszczona. Wygląda staro, jest złamana i zdenerwowana. Zapewne wie, że oddycha atmosferą pozbawioną wszelkiej sympatii i współczucia” – relacjonuje „Tajny Detektyw”.

Siada na krześle ustawionym naprzeciw trybunału, tyłem do publiczności, tak że publiczność nie widzi jej twarzy.

Akt oskarżenia odczytuje wyraźnym i donośnym głosem protokolant Janowski. Mógłby robić to szeptem, a i tak byłoby go słychać w każdym zakątku nabitej do ostatniego miejsca sali sądowej, bo panuje tu niezwykle skupienie i cisza. Gorgonowa też słucha. Zastyga w bezruchu, wpatrując się w protokolanta. Pochlipuje, czasem jej łzy stają się obfitsze.

Wstaje zdeprymowana.

– Urodziłam się siódmego marca tysiąc dziewięćset pierwszego roku w Ociestowie, jestem mężatką, mam dwoje dzieci: jedno z Gorgonem, drugie z Zarembą – zaczyna cicho. – Religii jestem greckokatolickiej. Mąż mój nazywa się Erwin, przebywa w Ameryce. Nie wiem, czym się zajmuje, a ja ukończyłam tylko powszechną szkołę.

Mówi niepewnie. Wydaje się, że się nie obroni.

Dalsze zeznania, na wniosek lekarza, będzie składała na siedząco.

Nagle jej głos brzmi pewnie i donośnie. Ręce, które przed momentem nerwowo skubały uda, teraz żywo gestykują. Z każdą chwilą jest mocniejsza.

Do winy się nie przyznaje. Ubolewa nad fatalnym zbiegiem okoliczności. Na każdy zarzut aktu oskarżenia ma gotową odpowiedź.

Szybko dostraja się do oczekiwań sali, do atmosfery. Świetnie czuje publiczność. To daje jej pełne opanowanie i pewność siebie.

Mówi, że do Lusi nigdy nie czuła nienawiści. To kłamstwo, jakoby się dziewczynce odgrażała. Nie potrzebowała nikogo zabijać, bo wiedziała, iż wkrótce zostanie porzucona przez

Zarembę, i pogodziła się z losem. Cień, który Staś Zaremba dostrzegł w holu, nie mógł być jej, bo wtedy jeszcze spała; ślady na śniegu o niczym nie świadczą. Nie wiadomo nawet, czy należą do niej, a gdyby, to przecież wychodziła z domu, by wezwać lekarza. Z dżaganem nie miała nic wspólnego, a zakrwawioną chusteczkę zostawiła w piwnicy kilka dni przed wypadkiem, gdy skaleczyła się tam w palec. Koszuli nie przebierała ani nie paliła. W białej poszła spać i w białej wstała. Świadkom musiało się coś pomylić. Krew na rękawie? Analiza się myli: to na pewno farba.

Broni się zaciekle, wiarygodnie, z ogromną stanowczością, a nawet bezczelnością. Jej opowieść układa się we w miarę logiczną całość.

Przyznaje, że wiele szczegółów przemawia przeciw niej, jednak tym gwałtowniej zapewnia o swojej niewinności.

„Broni się potęgą swego instynktu” – piszą o niej gazety.

„Mało sympatyczna. Jakby przyszła się do sądu kłócić” – notuje prokurator Laniewski. (Musi już wtedy wiedzieć, że sprawa jest bardzo trudna i może zaważyć na całej jego karierze).

Nie ma racji. Wystarczy przeczytać relacje dziennikarzy, którzy po raz pierwszy zobaczyli swoją bohaterkę. Znali ją dotychczas tylko z relacji przypadkowych osób i plotek. Spodziewali się spotkać demona, uosobienie zła, a spotkali inteligentną, zadbaną kobietę, która mimo zdenerwowania kontroluje każdą swoją odpowiedź, każde swoje słowo.

Kobietę bezwzględnie mądrą i sprytną. Nieugiętą i niewzruszoną. Nie bacząc na to, czy jej twierdzenia są logiczne, czy nie, czy znajdują wiarę, czy jej nie znajdują, czy zgodne są, czy sprzeczne z wynikami śledztwa, rzucała je śmiało, bez zająknięcia, z tupetem – pisał po pierwszym dniu procesu „Ilustrowany Kurier Codzienny”. – Głos jej z początku, nie wiedzieć celowo, czy nieświadomie słaby, nabiera w trakcie przesłuchania na sile. Szybko dostraja się do otoczenia, do atmosfery sali sądowej i działa już potem z pełnym opanowaniem i pewnością siebie. Niewygodni jej świadkowie stają się przedmiotem złośliwych i ostrych docinków. Bez wahania zarzuca organom śledczym nieścisłość badań i protokołów.

Tłumaczy to, co się da wytłumaczyć, neguje, czego wytłumaczyć nie może. Są w tych opisach pierwszego dnia procesu podziw i zaskoczenie. Podziw, że się nie załamała. Zaskoczenie, że dzielnie się broni. To czytelnikom się podoba.

Świadek numer jeden

Lwów, wtorek, 26 kwietnia 1932

Ważne jest wszystko: w co jest ubrana, jak uczesana, czy idzie pewnie, czy się uśmiecha, jak siada, gdzie patrzy. Te szczegóły można każdego dnia znaleźć w gazetach.

Stąd wiadomo, że drugiego dnia rozprawy, we wtorek 26 kwietnia 1932 roku, ma znów selskinowe futro, wypieki na policzkach i na salę rozpraw wkracza pewnym, równym krokiem. (Nie patrzy w stronę wrogo nastawionej do niej publiczności).

Rozpoczyna się postępowanie dowodowe. Wysoki, szczupły, wyrosnięty ponad wiek piętnastolatek (uczeń piątej klasy gimnazjum numer XI we Lwowie) Stanisław Zaremba staje przed barierką w sportowym stroju, unosi prawą rękę nad krzyżem i powtarza za przewodniczącym Antoniewiczem drżącym głosem:

– Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu i Wszechwiedzącemu, że będę mówił szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co mi jest wiadome. Tak mi, Panie Boże, dopomóż.

Zaczyna nieśmiało, nerwowo się uśmiechając.

Nie pamięta, kiedy matka została oddana do szpitala dla umysłowo chorych, ale pamięta, że był małym chłopcem, gdy został bez niej, i że wtedy mieszkali przy ulicy Zielonej we Lwowie. Potem przyszła ona. Miała prowadzić gospodarstwo, gotować i sprzątać, a zastąpiła przy ojcu mamę.

Sąd pyta, czy wiedzieli z Lusią, że stosunek ojca do oskarżonej jest inny niż do gospodyni.

– Bolało nas to, że mama chora, jeszcze żyje, że tato może rozwieść się z mamą, aby z nią się ożenić.

– Czy często powstawały niesnaski? – pyta sąd.

– W ostatnich czasach bardzo często – skarży się świadek. – Ona nawet do mnie odnosiła się nieprzychylnie, za lada głupstwo nazywała mnie durnym, głupim.

I drżący głos chłopca zamienia się w szloch. Chlipie, a na sali poruszenie. Panie wyciągają z torebek białe chusteczki i też łkają.

– Stasiu, proszę się uspokoić – apeluje łagodnie sędzia Antoniewicz. – Piętnastoletni chłopiec powinien być mężny.

Opowieść Stasia o cierpieniach, które przeżyły dzieci pozbawione matczynego serca, wzrusza słuchaczy, a lzy chłopca budzą współczucie. Jedna sobie ich sympatię.

Sala jest po jego stronie, gdy dochodzi do najważniejszego momentu procesu, w którym piętnastoletni chłopiec decyduje o życiu i śmierci kobiety, która go wychowywała.

Zeznaje pewnie. Jak obudził go skowyt psa, jak zauważył między fortepianem a choinką jakąś postać, jak zawołał „Lusiu” i jej tam nie było i jak następnie zobaczył cień wymykający się schodkami werandy w lewo.

– Poznałem ją po włosach i po profilu – mówi pewnie, ale asekuracyjnie dodaje: – W pierwszej chwili wskutek wielkiego zdenerwowania nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy, lecz potem dobrze sobie uzmysłowiłem, że to była ona.

Świadka dociska mecenas Axer:

– Czy pan zauważył najpierw rysy, a potem sobie uprzytomnił, że to oskarżona, czy też pan od razu widział, że to ona?

– Rysy widziałem, ale uprzytomniłem sobie, że to ona, dopiero po półtorej godziny.

– Kiedy to pan sobie uprzytomnił, gdzie pan wtedy był?

– Byłem wtedy w jadalni. Nadszedł komendant posterunku. I to było później. Może w dwie godziny!

– Czemu pan zaraz nie powiedział?

– Nie było czasu.

Henryk Zaremba też płacze, gdy zeznaje po przerwie. Z podgolonym wąsem, siwy, w czarnym garniturze, wciąż nosi żałobę po córce.

Łka, relacjonuje, jak wbiegł do pokoju zamordowanej córeczki i dotknął jej jeszcze ciepłej rączki, wciąż miał nadzieję. Ale bardzo szybko zgasła.

Panie na sali znów wyciągają chusteczki, gdy relacjonuje, jak po raz ostatni w życiu trzymał w dłoni rękę swojego dziecka.

Ale do wyjaśnienia sprawy zabójstwa Lusi jego zeznania niewiele wnoszą.

Z zeznań ostatniego dzisiejszego świadka, Marii Lucht (żony jednego z byłych ogrodników Zarembów), warto zapamiętać tylko jedno zdanie: „Pewnego razu Gorgonowa powiedziała mi, że prędzej zastrzeli Zarembę, niż opuści jego dom”.

Zabił ktoś z domowników

Lwów, środa, 27 kwietnia 1932

O świadku, który ma zmienić losy procesu, jest głośno od wielu tygodni.

Jego wystąpienie od dłuższego czasu zapowiada prokurator Laniewski. Mówi, że wspólnie pokażą bezgraniczną nienawiść Gorgonowej do Lusi.

Dziś ów tajemniczy świadek ma ją ostatecznie pogrożyć, rozłożyć na łopatki, przebić osikowym kołkiem, tak by już nie wstała. Sprawić, by nikt nie miał wątpliwości ani co do intencji Gorgonowej, ani co do jej winy. Jest prokuratorским asem w rękawie.

Ale zanim stanie przed sądem, w sali numer 1 pojawia się czterdziestopięcioletni doktor Ludwik Csała, sąsiad Zaremby. To on pierwszy w willi architekta powiedział, że morderstwa Lusi musiał dokonać ktoś z domowników.

Teraz opowiada, jak na to wpadł:

– Zastanawiałem się nad tym, jak napastnik mógł wtargnąć do willi. Zauważyłem, że drzwi wejściowe z werandy do holu mają rygle odsunięte. Zwróciłem wówczas uwagę, że bez naruszenia listwy rygle te można odsunąć tylko od wewnątrz. Wtedy oskarżona zaznaczyła, że bandyta mógł wejść przez okno, i przypomniała Zarembie, że przecież widział otwarte okno w pokoju Lusi. Jednak otwarcie okna z zewnątrz bez naruszenia szyb było też niemożliwe. To wszystko nasunęło mi podejrzenie, że sprawca jest wewnątrz domu.

Po Csałi przy barierce staje trzydziestojednoletni ogrodnik Józef Kamiński. (Jeszcze nie wie, że za chwilę ze świadka stanie się głównym podejrzanym i do końca życia już się z tych podejrzeń nie oczyści. Że przez następne pięćdziesiąt lat będzie bezskutecznie walczył o swoje dobre imię).

Zanim zacznie zeznawać, mecenas Axer prosi sąd o zaprzysiężenie świadka.

– Bo na nim też ciąży podejrzenie o zamordowanie Lusi – tłumaczy zaskoczonemu trybunałowi. Na sali burza, z ławy oskarżyciela zrywa się prokurator.

– Ani jeden przecinek w aktach nie świadczy przeciwko niemu – protestuje Laniewski, jakby nie dostrzegł w tym rysującej się od niedawna linii obrony.

Mecenas Axer chce przekonać sąd, że morderstwa Lusi nie mogła dokonać w żadnym wypadku kobieta, bo żadna nie byłaby w stanie zadać ciosów tak silnych, gruchocących czaszkę.

Sieje zwątpienie na sądowych korytarzach wśród dziennikarzy, którym tłumaczy, że dzieje kryminalistyki nie znają przypadku zdeflorowania kobiety przez kobietę.

– Trudno przypuszczać – mówi – by w umyśle wyrafinowanej nawet zbrodniarki zrodziła się myśl dokonania tak ohydneho czynu tylko po to, by podejrzenie zwrócić w inną stronę i nadać zbrodni charakter seksualnego mordu. Ileż niewzruszonej zimnej krwi musiałaby mieć Gorgonowa, by dopuścić się zhańbienia ciała dogorywającej ofiary?

By linia obrony była spójna, Axer musiał znaleźć innego sprawcę mordu niż Gorgonowa, a ogrodnik Kamiński, gbu-rowaty, niesympatyczny, małomówny, świetnie się do tego nadawał. Zwłaszcza że tuż po zabójstwie wśród wielu plotek, hipotez, pytań pojawiło się również to: „Czy to nie ogrodnik?”. Axer wie, że udowodnić tego w żaden sposób się nie da, ale można podważyć fakty uznane za prawdziwe. To nie zawodowi sędziowie zdecydują o winie, ale dwunastu przypadkowych ludzi wybranych przez sąd w drodze losowania.

Zeznania Kamińskiego, podobnie jak jego żony Rozalii, niewiele wnoszą do sprawy. Poza drobnym szczegółem. Kamiński twierdzi, że już w nocy Staś powiedział im, że tajemniczą zjawą była Pani. (Młody Zaremba sobie tego nie przypomina).

Następny świadek, ten tajemniczy, nazywa się Antoni Halemba, ma trzydzieści jeden lat i jest prywatnym detektywem w Tarnowskich Górach. To na niego dziś wszyscy czekają. Samo jego wejście wywołuje poruszenie na sali, ale zgiełk cichnie, gdy zaczyna zeznawać.

Mówi pewnie, z werwą, z lekkim niemieckim akcentem.

Jesienią dostał tajemniczy list. W kopercie było sto złotych, prośba o przyjazd i instrukcja, by tuż przed wjazdem pociągu na peron we Lwowie zamachał z okna białą chusteczką. Dwie nieznane kobiety podeszły do niego na peronie, zawiozły autem do jakiegoś domu. Dostał tam wódkę i propozycję współpracy. Miał uwieść jakąś dziewczynkę i dostarczyć na to niezbitych dowodów. Nie podjął – jak mówi – współpracy, bo propozycja była niemoralna.

Że wynajęła go Gorgonowa, zorientował się dopiero w styczniu, gdy zobaczył jej zdjęcie w „Tajnym Detektywie”. Napisał wtedy list do sędziego śledczego, bo zdał sobie sprawę, że miał być narzędziem, które pohańbi Zarembiankę i podkopie do niej zaufanie.

Na polecenie sądu świadek podchodzi do ławy oskarżonych, przygląda się z bliska Gorgonowej. Nie ma żadnych wątpliwości. Mówi, że to właśnie ona go wynajęła.

Zeznania Halemba nie wnoszą nic do wyjaśnienia tajemnicy śmierci Zarembianki, ale wywracają całą misternie skonstruowaną linię obrony. Bo skoro oskarżona próbowała w taki sposób zhańbić dziewczynkę, to zdolna jest do wszystkiego.

Mecenas Axer swoimi pytaniami próbuje wzbudzić wątpliwości w biegłych. Nie jest to trudne, bo Halemba nie zapamiętał żadnego szczegółu z wizyty we Lwowie. Nie wie, kiedy przyjechał, przy jakiej ulicy stał dom, w którym się spotykał z kobietami, ani nawet na jakiej sztuce był w teatrze.

Obronca z kamienną twarzą zadaje świadkowi ostatnie pytanie:

– Jak długo – pyta najuprzejmiej, jak umie – przebywał pan w zakładzie dla obłąkanych?

Świadek odpowiada równie uprzejmie:

– Dwa lata. W roku dwudziestym piątym i dwudziestym szóstym – doprecyzowuje.

(Odpowiedź jednak uczyniła zeznania Halemba bezwartościowymi. Wkrótce się też okazało, że detektyw sam jest oskarżony w licznych procesach o oszustwa, wymuszenia i gwałty. Półtora roku później, w październiku 1933 roku, zostanie skazany na trzy lata więzienia za szpiegostwo na rzecz Niemiec).

Zeznaje Józef Nuckowski, komendant posterunku policji w Rzęśnie, którego o morderstwie zawiadomiła policja ze Lwowa. Do willi dotarł o trzeciej dwadzieścia. Był tu pierwszym policjantem. To on znalazł ukrytą w piwnicy mokrą i zakrwawioną chusteczkę Gorgonowej. Jemu też Staś powiedział o kobiecie trochę wyższej od jego siostry, którą zobaczył w nocy. (Chłopiec nie wspominał wtedy, że była podobna do Gorgonowej).

Z kolei trzydziestopięcioletni wachmistrz Stanisław Trela z pobliskiego posterunku żandarmerii był pierwszą urzędową osobą, która pojawiła się na miejscu zbrodni. Szukając mordercy, ruszył po jego śladach w śniegu, ale trop urwał się przy małej werandzie. Nie znalazł żadnych śladów przy murze okalającym willę. On też zaczął podejrzewać, że Lusię zabił ktoś z domowników.

Przegląd domowych służących

Lwów, czwartek, 28 kwietnia 1932

Zainteresowanie procesem nie tylko nie maleje, ale wzrasta się z każdym dniem. Fenomen ten tłumaczy „Tajny Detektyw”:

Tajemnica zainteresowania, jakie budzi proces, leży w jego wyjątkowości. Nie jakieś ważne rzucające się w oczy zdarzenia, ale drobiazgi, małe drobiazgi nabierają w nim znaczenia, które decyduje o życiu i śmierci, o wolności lub więzieniu. Ciężki postać, klucz, zbita szybka, zapach nafty, zaginiona koszula, kilka włosów z futra, krople krwi, skorupy szklanki, nawet ogarek świeczki – łączą się razem w splot szczegółów, intrygujących tajemnicą.

Wyobraźnia ma tu duże pole działania, jak we śnie, jak w powieści, jak w kinie.

Ci, którzy słuchają rozprawy, jak również ci, którzy o niej czytają, są pod wielkim wpływem tej zagadki drobiazgów. Wyjaśnienie ich to wyjaśnienie tajemnicy zbrodni.

Dziennikarze nazywają dzisiejszą rozprawę przeglądem biura służących domowych, bo dominuje personel.



[^] Reportaż z procesu we Lwowie. Na pierwszym planie, obrócony tyłem Staś Zaremba.

U dołu strony świadkowie: od lewej – służąca Bronisława Becker, żona ogrodnika Rozalia Kamińska, służąca Marcelina Tobiasz, sąsiad radiotechnik Kazimierz Matula, ogrodnik Józef Kamiński, artysta Czajkowski

Zaczyna Bronisława Beckerówna (służyła u Zaremby do sierpnia 1931 roku):

– Oskarżona mówiła do Zaremby: „Ty stary maciorniku, zabierz swoje bękartę, bo je zabiję”.

Olga Jezińska (wrzesień–październik 1931):

– Gorgonowa o Lusi mówiła zawsze: „Szelma, małpa, żeby ją krew zalała, żeby ją szlag trafił”. Mówiła, że Lusia wszystkim winna, że stoi jej na drodze i namawia ojca, by z nią zerwał.

Marcelina Tobiasz (w Brzuchowicach do aresztowania Zaremby):

– Gorgonowa miała żal do Lusi, że chciała ją rozdzielić z Zarembą.

Helena Płocka (koleżanka Zarembianki z Gimnazjum Olgi Filippi):

– Macocha groziła Lusi, że ją otruje i zastrzeli.

Piotr Kiszakiewicz (przyjaciół Zaremby):

– Gorgonowa narzekała, że Lusia nie daje jej żyć z Zarembą. Że robi plotki i kradnie listy.

Włodzimierz Bielecki (artysta malarz, przyjaciel Zaremby):

– Zarembianka stale mówiła, że chciałaby, żeby stosunek ojca z oskarżoną uległ zlikwidowaniu. Bała się, że oskarżona ją otruje.

Przez salę przewijają się młodzi i starzy, bogaci i biedni, kobiety i mężczyźni, lekarze, inżynierowie, studenci, panie z towarzystwa i bezrobotni. Wszyscy mówią to samo: była złą macochą i groziła Zarembiance śmiercią.

„Kobiety reagujące sercem wszystkie są przeciw niej” – zauważy „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

Jak odpowiada na te zarzuty Rita?

Zbывa je milczeniem. Albo śmiechem, dając do zrozumienia publiczności, że cały świat jest przeciw niej.

Zachowanie się Gorgonowej na sali sądowej jest istotnie niezwykle – pisze „Tajny Detektyw”. – Ktoś, kto by przez maskę jej twarzy chciał wejrzeć w głąb duszy, rychło musiałby zaniechać zamiaru. Przez siedem godzin dziennie siedzi prawie bez ruchu na krześle, kamiennie spokojna. Zdobywa sobie tym nawet pewną sympatię publiczności. Ale gdy nagle wstanie, gdy zacznie mówić, dość miły jej z natury głos zraża wszystkich jakąś źle ukrywaną nutą pasji. Można przypuszczać, że w pożyciu domowym, gdy coś nie działo się tak, jak chciała, umiała głośną kłótnią postawić zawsze na swoim. obrońca zdaje sobie sprawę z niekorzystnego wrażenia, jakie wywołuje mimo woli głos oskarżonej. Niechętnie pozwala jej -mówić. Jeśli zaś już zacznie, zawsze daje znak ręką, aby skończyła.

O trzynastej pięćdziesiąt pięć przewodniczący Antoniewicz zarządza przerwę. Dalej rozprawa toczyć się będzie w Brzuchowicach.

Spod gmachu sądu przy Batorego korowód aut rusza o siedemnastej. Lotem błyskawicy roznosi się we Lwowie wieść, że sądowa komisja z oskarżoną udaje się do Brzuchowic. Wzdłuż drogi ustawiają się ci, którzy nie mieli szans wejść na salę. Przeważają kobiety w narzuconych na głowy chustkach. Te tłumy widać na zdjęciach z wizji lokalnej. Gdyby Rita mogła -wyjrzeć przez zakratowane okno więźniarki, zobaczyłaby masę ludzi wygrażających pięściami, gwizdzących i ubliżających.

Na Marszałkowskiej w Brzuchowicach przed willą Zaremby robi się tak tłoczno, że porządku pilnować musi policja.

W budynku Wysoka Komisja ogląda ramę okna werandy w pokoju Rity. Wciąż są w niej dziura po wybitej szybie i wystające z niej gwoździe. Sąd siada przy stole w jadalni, gdy Staś Zaremba wskakuje do łóżka pod oknem.

I znów się budzi, zagląda za okno, znów krzyczy „Lusiu” i podchodzi do przeszklonych drzwi, bije ręką w szybę, za którą Wysoka Komisja ustawiła Ritę. (Na polecenie sądu ubrana jest w brązowe futro i kapcie).

A potem chłopiec jeszcze raz ją pogrąża:

– Poznałem ją, gdy wychodziła przez uchylone drzwi na dwór – zapewnia.

W sypialni Zaremba komisja przygląda się, jak zrywał się z łóżka i pędził do pokoju Lusi, w sypialni Rity obserwuje, jak rozbijała szybę, a w ogrodzie wachmistrz Trela pokazuje na zielonej trawie miejsca, w których widział ślady w śniegu.

Komisja ogląda piwnicę, basen z wypompowaną wodą i pękniętą szybę w domu ogrodnika Kamińskiego, na której policja znalazła krwawe odciski ręki.

Fotoreporterów jednak bardziej zajmuje sama oskarżona, która odgania się od nich, zasłaniając twarz rękami.

– Dość macie już zdjęć w magazynach! – krzyczy.

O dwudziestej, gdy robi się ciemno, komisja opuszcza willę w konwoju. I jedzie tak aż do rogatek Lwowa.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” pisze o pięciotysięcznej grupie kobiet, które chciały kijami, pałkami i kamieniami wymierzyć sprawiedliwość dzieciobójczyni. Życie Gorgonowej uratowało to, że ostrzeżony o niebezpieczeństwie dowódca więziennego konwoju rozpędził więźniarkę, próbując sforsować blokadę. Na widok pędzącej karetki tłum się rozstąpił, obrzucając ją tylko kamieniami. Wszystkie szyby w więźniarce zostały rozbite, ale próba ukamienowania Gorgonowej się nie powiodła. Żaden kamień nawet jej nie drasnął.

Ona nie mówi prawdy

Lwów, piątek, 29 kwietnia 1932

„Proces wkroczył w swe końcowe stadium. Przysięgli byli już znakomicie zorientowani w obszernym i skomplikowanym materiale faktycznym. Poznać to można po pytaniach, jakie za pośrednictwem przewodniczącego stawiali poszczególnym świadkom” – pisał we wspomnieniach prokurator Laniewski.

Dziś ostatni dzień przesłuchań świadków. Zeznawać będą dwaj najważniejsi: komendant powiatowy nadkomisarz Józef Frankiewicz i aspirant Bolesław Respond. Pierwszy kierował policyjnym śledztwem, drugi był jednym z najważniejszych śledczych.

Gdy Frankiewicz dotarł do willi, Zaremba powiedział, że dokonano mordu rabunkowego, ale komisarz zaczął powątpiewać, bo przez okno w pokoju Lusi dorosła osoba nie mogła się wcisnąć.

Opowiadał, jak z każdą chwilą rosło w nim przekonanie, że morderstwa dokonał ktoś z domowników. Na trop Gorgonowej naprowadziły go ślady na śniegu i znaleziona w piwnicy zakrwawiona, mokra chusteczka. Poszedł z nią do jej pokoju i zapytał, czy to jej własność. Potwierdziła.

– Pewnie ją tam zgubiłam – odpowiedziała, Frankiewicz uznał jednak, że chusteczka nie mogła zostać zgubiona, tylko celowo ukryta. Była bowiem zwinięta w rulonik i schowana pod pudełkiem grafitu.

Powiedział wtedy Gorgonowej, że wszystkie podejrzenia kierują się przeciw niej, więc powinna pomóc w wykryciu prawdy. Zachnęła się tylko. Nic nie odpowiedziała.

Zaremba siedział przy stole w jadalni. Frankiewicz powiedział mu o swoich podejrzeniach wobec Gorgonowej.

– Czyżby pan podejrzewał po tylu latach pożycia? – pytał zdziwiony. Nie uwierzył.

Bolesław Respond przesłuchiwał młodego Zarembę trzy razy. Był pierwszym policjantem, któremu Staś powiedział, że w tajemniczej postaci rozpoznał Panią. Sąd próbuje teraz ustalić, czy przypadkiem takiej odpowiedzi sam nie zasugerował świadkowi.

– Absolutnie nie – protestuje Respond. – Już przy pierwszym przesłuchaniu odniosłem wrażenie, że Staś chce mi coś więcej powiedzieć, ale nie ma odwagi, tak jakby chciał najpierw porozumieć się z ojcem. Był zdenerwowany, bliski płaczu.

Chłopiec przełamał się podczas drugiego przesłuchania.

– Jeszcze raz zapytałem wtedy Stasia – zeznaje Respond – czy jednak nie poznał owej postaci. Wówczas oznajmił, że rozpoznał w niej Gorgonową, a na pytanie, czemu mi przedtem tego nie powiedział, oświadczył, że był bardzo zdenerwowany i nie wiedział, co mówi.

Staś Zaremba zdradził Respondowi jeszcze jeden ważny szczegół. Gdy szedł spać, widział leżącą w łóżku Ritę w seledynowej koszuli nocnej, a gdy przyjechała policja, była już w białej. (Ta jedna z kluczowych poszlak aktu oskarżenia ma potwierdzać tezę, że to Gorgonowa zabiła Lusię, a potem pozbyła się zakrwawionej koszuli. Seledynowej koszuli policja jednak nigdy nie odnalazła).

Respond zwraca uwagę na kolejną bardzo ważną poszlakę obciążającą Gorgonową: odcisk jej krwawej dłoni na szybie okna domu ogrodnika, w które pukała feralnej nocy, by go

zbudzić. Przypomina, że z zeznań Gorgonowej wynikało, iż nie podchodziła do leżącej we krwi Lusi i gdy weszła do jej pokoju, zaraz została wysłana po doktora Csałę. Dopiero po powrocie poszła do basenu po wodę i wtedy skaleczyła dłoń. Ale gdyby tak było, to nie mogłaby pobrudzić krwią szyby u Kamińskiego, bo zapukała tam, zanim jeszcze poszła po wodę.

– To nam dało do myślenia, że ona nie mówi prawdy – tłumaczy sądowi Respond. – Musiała sobie skaleczyć rękę, zanim poszła po lekarza. Ułożenie kitu i kierunek odprysków szkła wskazywały, że szybę rozbiła od zewnątrz.

– I pan nie zauważył śladów krwi na oknie ogrodnika? – kpił mecenas Axer.

– Nie. To dopiero zauważono ósmego stycznia – odpowiada Respond.

Gdy wobec zeznań świadków Maurycy Axer jest zupełnie bezradny, stara się wyłapywać drobne niekonsekwencje, nieścisłości, uchybienia, absurdy, wątpliwości, śmieszności. Pyta więc aspiranta Responda o krew na szybie w oknie Kamińskiego, bo wie, że to policja zawałiła sprawę. Że odnalazła ślad dopiero po tygodniu, gdy mróz, śnieg i deszcz zrobiły swoje i nie było już większych szans na ustalenie grupy krwi. Mógłby to być koronny dowód, gdyby nie nieudolność policji.

Tak mecenas Axer realizuje założoną koncepcję obrony. Zamierza dowieść niewinności Rity Gorgon dwiema drogami. Na wypadek gdyby wyrok był dla niej skazujący, będzie się starał wykazać, że sąd nie wziął pod uwagę bardzo wielu dowodów. Dlatego na każdej rozprawie zgłasza mnóstwo wniosków: o powoływanie coraz to nowych świadków, o nową wizję lokalną, o badania psychiatryczne oskarżonej i Stasia. Wszystko po to, by mieć podstawy prawne przy kasacji. Ale stanie się to tylko, jeśli główna linia obrony zawiedzie. Realizuje ją mecenas Axer, konsekwentnie chcąc wykazać, że zbrodni bruchowickiej nie mogła dokonać kobieta, bo był to mord seksualny, popełniony w szale lubieżności przez psychopatycznego mordercę męczyznę grasującego w okolicy Lwowa.

Na zdjęciach z rozprawy Maurycy Axer wygląda w czarnej todze jak dobrotliwy proboszcz o twarzy barokowego anioła ze starannie zaczesaną łysiną. Wysoki, dość tęgi, z dumnie uniesioną głową. Patrzy przed siebie ponad wlepionymi w niego oczami niechętniej mu publiczności. Gdy zbyt agresywnie broni oskarżonej, sala daje mu do zrozumienia, że to jej się nie podoba. Szumi, szeleści, trzeszczy. Ale krzyki i tupanie były do tej pory tylko raz, gdy powiedział wprost:

– Tej zbrodni nie mogła popełnić kobieta.

Po wysłuchaniu dzisiejszych zeznań publiczność uważa, że już wszystko przesądzone. Korowód świadków ostatnich dni bezdyskusyjnie potwierdził winę oskarżonej, to znaczy to, że była bardzo złą opiekunką, nie dbała o powierzone jej dzieci, ubliżała im, poniewierała nimi i groziła im śmiercią. Co prawda mocnego, bezpośredniego, przygważdżającego dowodu na razie nie ma, ale poszlaki bardzo mocno ją obciążają. Nie wiadomo, dlaczego nie przyznaje się do winy i wszystkim wciąż zaprzecza.

Bo nawet jeśli nie wszystko do tej pory było do końca jasne, to jutro zeznawać będą biegli-eksperti i wątpliwości rozwieją. Dopowiedzą to, czego nie mogli powiedzieć świadkowie.

„Ostatnie słowo w postępowaniu dowodowym zabierze nauka” – zapowiadają gazety.

Przełomowy moment

Lwów, sobota, 30 kwietnia 1932

Gdy o dziewiątej Rita w jasnym letnim płaszczyku wkracza na salę rozpraw, nic nie zapowiada zbliżającego się trzęsienia ziemi. To właśnie tego dnia nastąpi wielki zwrot w sprawie i narodzi się żywa do dziś legenda Rity Gorgonowej – polskiego Dreyfusa.

Zanim to się stanie, doktor Karol Piro z Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie odczytuje protokoły sekcji zwłok:

– Na czole Lusi były trzy rany poprzeczne, wielkości czterech centymetrów. Kość czaszki odsłonięta, prawa strona głowy zasiniała, na szyi otarcia naskórka, palce lekko zranione, mózg zalany krwią. Śmierć nastąpiła wskutek pęknięcia czaszki. Obrażenia zadane tęnym narzędziem. Nie ma śladów obrony. To znak, że pierwszy cios był skuteczny. U denatki biegli stwierdzili obrażenia wewnętrznych organów rodnych, zadane po śmierci lub w czasie agonii. Powstały przez wciśnięcie jakiegoś przedmiotu twardego, prawdopodobnie palców.

Przewodniczący Antoniewicz odczytuje protokół oględzin ręki oskarżonej:

– Na grzbiecie prawej dłoni cztery ranki linijne, a na przed-ramieniu, tuż pod łokciem również kilka skaleczeń naskórka. Na ciele oskarżonej znaleziono ślady kału.

Doktor Antoni Westfalewicz z uniwersyteckiego Zakładu Chemii Sądowej podaje wyniki badania krwi i śladów krwi znalezionych w willi.

Potwierdza, że krew Rity Gorgon należy do grupy 0, Zarembianki zaś do grupy A. I wyczytuje długą listę przebadanych przez siebie dowodów: pantofle, świeca, koszula Zaremby i Gorgonowej, jego kalesony, jej biustonosz, kawałek zakrwawionej zapalniczki, zeszkrobany ze ścian tynk, poduszki, kołdry, framugi drzwi i okien. Potem mówi, jaką grupę krwi odkryto na poszczególnych przedmiotach.

Najważniejsze jest futro. Biegły Westfalewicz potwierdza to, co od kilku tygodni jest znane z przecieków: na podszewce, po zbadaniu metodą widmową i benzynową, znaleziono ślady barw-nika krwi grupy A. Ekspertyzy Westfalewicza pogrążają Gorgonową bardziej niż zeznania Stasia, bo w żaden inny sposób nie mogła pobrudzić się krwią niż podczas zabójstwa. To rozwiewa wszystkie wątpliwości. Na moment.

Katastrofa zaczyna się zaraz po krótkiej przerwie, gdy sędzia Antoniewicz prosi biegłego Piro, by uważnie obejrzał kilof wyłowiony z basenu i odpowiedział na pytanie, czy można było nim zabić dziewczynkę.

Biegły Karol Piro, który niedawno napisał w opinii, że to prawdo-podobne narzędzie zbrodni, teraz jest ostrożniejszy.

– Jest to możliwe i niewykluczone – odpowiada asekuracyjnie. Ale gdy przyciska go Axer, zmienia zdanie. Mówi, że to mało prawdopodobne, by kilofem zabito Zarembiankę.

Zaskoczona sala szumi, a prokurator Laniewski robi wielkie oczy.

A to dopiero początek, bo już za chwilę doktor Piro mówi, że był to mord z lubieżności dokonany przez mężczyznę.

Zanim zdumiona sala wyjdzie z osłupienia, głos zabiera starzec w rogowych okularach. To biegły chemik, doktor Jan Opieński. Mówi, że co prawda na podszewce futra Gorgonowej znaleziono krew grupy A, która mogła być Lusi, ale z całkowitą pewnością nie można tego

stwierdzić, bo zastosowana metoda badania jest przestarzała i niezbyt dokładna.



[^] Biegli sądowi. Siedzą niżej od lewej: profesor Jan Opieński i profesor Antoni Westfalewicz, siedzą wyżej od lewej: doktor Józef Dadlez i doktor Karol Piro

Przed sądem występuje jeszcze trzydziestosześcioletni profesor Józef Dadlez, biegły z lwowskiego Zakładu Medycyny Sądowej.

– Czy sądzi pan, że defloracji denatki dokonała kobieta? – pyta go Axer.

– Raczej mężczyzna – odpowiada niepewnie.

– Czy uszkodzenia odpowiadają palcom oskarżonej? – pyta obrońca.

Dadlez i Piro podchodzą do oskarżonej. Ta wstaje, wyciąga przed siebie dłonie, a biegli uważnie je oglądają. Krótco się naradzają.

Głos zabiera Dadlez. Mówi, że rana w błonie dziewiczej była większa niż palce oskarżonej.

(Gorgonowa zaczyna spazmatycznie płakać. Dadlez próbuje ratować sytuację, osłabić to, co przed chwilą powiedział, więc mówi, że jednak szczupłe palce Gorgonowej mogły zdeflorować Zarembiankę). Z tym że to niczego już nie zmienia. Po zeznaniach biegłych następuje dezorientacja. Nie wiadomo już, jak potoczą się losy tej bulwersującej sprawy.

Następnego dnia gazety piszą o sensacyjnym zwrocie we Lwowie: „Proces zaczyna się w niesłychany sposób zaciemniać i plątać, albowiem ekspertyza, wbrew oczekiwaniom sądu i opinii publicznej, nie wniosła spodziewanego światła do sprawy. Zarówno trybunał, jak i sędziowie przysięgli kroczyć będą po omacku w rozpatrywaniu tej niezwyklej zagadki kryminalnej”.

Zeznania biegłych są ciosem dla prokuratora. Zamiast ostatecznie pogrożyć Gorgonową, dają jej mocne argumenty do obrony i stawiają cały akt oskarżenia pod znakiem zapytania. Bo według prawa to, co niepewne i niepotwierdzone, liczy się zawsze na korzyść oskarżonego.

Odpadają więc dwa kluczowe dowody: futro i narzędzie zbrodni.

Laniewski musi czuć przełom. Musi czuć, że szala zwycięstwa przechyla się na drugą stronę.

Żeby udowodnić niewinność Gorgonowej, Axer domaga się teraz od sądu dokładnego zbadania akt niewyjaśnionego morderstwa dwunastoletniej Józji Neuwerówny we Lwowie. Zdaniem obrońcy okoliczności i obrażenia obu ofiar są bardzo podobne, więc obu zbrodni dokonał ten sam nieznany sprawca.

A żeby podważyć wiarygodność kluczowych zeznań Stasia Zaremby, żąda, by chłopiec przeszedł badania psychiatryczne.

By udowodnić, że nie można było w nocy odróżnić seledynowej koszuli nocnej Gorgonowej od białej, wnosi o przesłuchanie artysty malarza Andrzeja Pronaszki.

Stwierdza, że kał na miejscu zbrodni oddaje tylko zawodowy przestępca. (Ma to potwierdzić inspektor Piątkiewicz, autor podręcznika dla policji państwowej).

Dowodzi, że służąca Beckerówna często kłamie, więc jej zeznanie o tym, jakoby Gorgonowa mówiła po śmierci Lusi: „Boże, co ja zrobiłam”, jest niewiarygodne. (Ma to potwierdzić Józef Jedwab, u którego Beckerówna ostatnio pracowała).

„Trzeba stwierdzić, że kompletna dezorientacja opanowała nie tylko publiczność, ale i wielu sędziów przysięgłych” – podsumowuje sobotnią rozprawę „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

Zamęt

Lwów, poniedziałek, 2 maja 1932

„Opinia Lwowa podzieliła się na dwa zasadnicze obozy: kobiety i mężczyźni – pisze warszawski dziennik narodowców »Nowiny Codzienne«. – Świat kobiet jest energiczniejszy, gdyż przewodzą w nim przeważnie Żydówki, które masowo obsadziły salę rozpraw, są żywymi dziennikami i wszystko wiedzą »na pewno«. Obóz mężczyzn jest spokojniejszy i nie liczy się z nastrojem, ale z faktami”.

Nawet nieprzychylna dla Gorgonowej lwowska prasa zmienia teraz front, zauważając, że nie wszystko jest jednoznaczne, jak wcześniej jej się zdawało. Cały Lwów plotkuje. Do soboty dowody przeciwko Gorgonowej były mocne i bezsporne, a potem już bezwartościowe. Trudno to zrozumieć. Lwów chce się dowiedzieć czegoś więcej, więc wystaje na Batorego przed zamkniętym w niedzielę sądem. Z plotek wiadomo, że biegły Antoni Westfalewicz dotarł po rozprawie do przewodniczącego trybunału i przekonywał go, że został źle rozumiany. Prosił sąd o możliwość wytłumaczenia się na poniedziałkowej rozprawie.

Poniedziałek zaczyna się od wyjaśnień Westfalewicza.

Tłumaczy zawilości badania krwi metodą Lattes'a, którą zastosował w swoich ekspertyzach. Mówi, że w ten sposób robiono je przez wiele lat na całym świecie i na ich podstawie skazywano winnych. Wie, że jest nowocześniejszy i bardziej precyzyjny sposób, ale zapewnia, że wyniki jego ekspertyz są zupełnie wystarczające.

– Krew z futra należy do grupy A i jest to krew Zarembianki – zapewnia. – To jest moje najświętsze przekonanie – dodaje.

Sąd nie podziela tego optymizmu. Metoda wynaleziona przez Leone Lattes'a jest niedoskonała, przynosi bowiem błędne wyniki, gdy chodzi o krew grupy 0, czyli taką jak u Gorgonowej. Nie może więc uznać tego dowodu.

Trybunał postanawia odroczyć rozprawę i zlecić kolejną ekspertyzę Państwowemu Instytutowi Higieny w Warszawie. Kieruje nim światowej sławy serolog profesor Ludwik Hirszfild, twórca stosowanego do dziś systemu oznaczania grup krwi i odkrywca prawa ich dziedziczenia. Największy przedwojenny autorytet w tej sprawie.

To wielki sukces obrony. Mecenasowi Axerowi udało się zasiać wątpliwość w głowach przysięgłych. Bardzo mu przy tym pomogli biegli sędziowie. Szczególnie profesor Antoni Westfalewicz, który w trakcie śledztwa przygotował bardzo jasną, jednoznaczną ekspertyzę krwi, a podczas rozprawy głównej się z niej wycofał. Sam podważał metodę badawczą, stawiając pod znakiem zapytania wszystkie wyniki swoich badań. Dziś próbował ratować twarz, tłumacząc, że został źle rozumiany.

Ale czy można mu ufać?

Na cito!

Lwów, sobota, 14 maja 1932

W środę, 4 maja, do Państwowego Instytutu Higieny w Warszawie dociera obwiązana sznurkiem, zalakowana pieczęciami Sądu Okręgowego we Lwowie paczka. W środku jest najważniejszy z dowodów – brązowe futro, a także świece, klamki, chusteczki, kawałki muru werandy, drzwi, tynku i szyby.

Do paczki dołączony jest list przewodniczącego trybunału sędziego Antoniewicza. Pisze, że sprawa jest bardzo pilna, że przerwał rozprawę do 14 maja i do tego czasu musi otrzymać od Hirszfelda ekspertyzę, a jeśli nie zdąży, to trzeba będzie rozpocząć proces od początku.

„WOBEC TEGO NALEŻY BEZWARUNKOWO PRZEPROWADZIĆ BADANIA TAK, BY NAJDALEJ 13 MAJA RANO DOWODY RZECZOWE WRAZ Z WYNIKAMI EKSPERTYZY I OPINIĄ ZNAJDOWAŁY SIĘ W LWOWSKIM SĄDZIE” – najważniejszą prośbę sędziego Antoniewicza wystukał na maszynie wielkimi literami.

„Badanie będzie wykończony w terminie wymaganym” – odpisuje czterdziestoosmioletni Hirszfeld.

Na nim skupia się teraz uwaga. Gazety piszą, że losy procesu są w jego rękach, a na wszystkie badania ma tylko osiem dni.

Przeżyłem wówczas popularność diwy operetkowej – pisał we wspomnieniach. – Było to nad wyraz przykre dla mnie. Do telefonu przestałem podchodzić, gdyż redakcje pism zasypywały mnie pytaniami, moja sekretarka w zakładzie, a żona w domu odmawiała wszelkich informacji. Raz jednak zostałem przyłapany. „Panie profesorze, chcielibyśmy pana prosić o fotografię”. „Niestety, muszę odmówić, z zasady nie daję pismom mojej podobizny, ponieważ przykra mi jest ta forma popularności”. W odpowiedzi słyszę: „Rozumiemy to całkowicie i bardzo przepraszamy”. Mówię do żony: „Wreszcie delikatny reporter”. Mój optymizm okazał się niesłuszny. Już następnego dnia ukazała się w piśmie moja fotografia, Bóg wie, przez kogo dana.

Rano 12 maja profesor Hirszfeld nadaje do Lwowa telegram: „Ekspertyza ukończona. Wysłałem dzisiaj wieczorem ekspressem”.

„Ekspertyza z Warszawy jest wprost sensacyjna – piszą »Nowiny Codzienne«. – Lwów cały znów dostał gorączki”.

Na czarnym rynku ceny biletów wstępu na ostatnią rozprawę sięgają już niebotycznej kwoty pięćdziesięciu złotych, a w punktach loteryjnych można stawiać zakłady pieniężne: kara śmierci czy uniewinnienie.

„Niestety – wspominał Hirszfeld – z przewodu sądowego zrobiono coś w rodzaju turnieju, co było sprzeczne z moją wolą i intencją”.

Żadnego dnia rozprawy nie wyczekiwano z takim napięciem – napisał prokurator Laniewski. – Wszak miały być odczytywane wyniki ekspertyzy chemicznej krwi, do czego opinia publiczna wielkie, może nawet przesadne, przywiązywała znaczenie. W tym dniu miał też zabrać głos prokurator i obrońca. W tym wreszcie dniu miał zapaść wyrok, rozwiązujący cały ten skomplikowany wypadek kryminalny. Stąd tłok publiczności był jeszcze większy niż dotychczas.

Już o szóstej rano po ulicy Batorego krążyły grupki ludzi, zastanawiając się nad wynalezieniem jakiegoś podstępu, który by umożliwił dotarcie do wnętrza gmachu sądowego.

Ale kontrola biletów była zaostrzona, posterunki policji wzmocnione. Nawet nie wszyscy posiadacze biletów mogli się dostać do sali.

Po godzinie dziewiątej wśród wielkiego oczekiwania protokół badania serologicznego odczytuje przewodniczący Antoniewicz. Na dwudziestu stronach maszynopisu zespół profesora Hirszfelda przeprowadził hermetyczny, naukowy wykład z dziedziny chemii krwi. Zawily i niezrozumiały dla laików. Najważniejsze jest w nim jedno zdanie:

„Badania za pomocą najczulszej metody stosowanej do wykrycia elementu A na podszewce futra oskarżonej – obecności elementu A, pochodzącego z krwi nie wykazały”.

Nie było ich też na przebadanej chusteczce znalezionej w piwnicy.

„Moja odpowiedź, dyskwalifikująca do pewnego stopnia orzeczenie poprzednich ekspertów, dosłownie wstrząsnęła krajem” – pisał Hirszfeld.

Był to ogromny cios dla Laniewskiego.

– Takich sprzeczności w opiniach fachowców nie spotkałem jeszcze nigdy – skarży się sądowi prokurator.

Próbuje ratować twarz i akt oskarżenia, tłumacząc sędziom przysięgłym, że naukowe ekspertyzy nie mają wielkiego znaczenia dla sprawy, bo inne dowody są miażdżące. Jednocześnie próbuje przekonać sąd, by jeszcze raz zlecił badania, tym razem wydziałowi lekarskiemu lwowskiego uniwersytetu. Tamtejsi medycy mieliby porównać sprawozdania wszystkich biegłych i orzec, które zawierają błędy i czy da się z nich wyciągnąć wspólne wnioski, a jeśli tak, to jakie.

Sąd odrzuca wniosek, zamyka postępowanie dowodowe, ogłasza przerwę obiadową. To znak, że dziś wszystko się zakończy.

Na zdjęciach z procesu Laniewski wygląda jak pilny uczeń pochylony nad notesem, w którym zapisuje ważniejsze fragmenty zeznań. Prowadzone od tygodnia notatki teraz mają pomóc mu przekonać przysięgłych.

Zdawałem sobie sprawę, że mimo zupełnie jasnej już obecnie z mego punktu widzenia sprawy mogły się zrodzić w umysłach przysięgłych wątpliwości – wspominał prokurator. – Rozumiałem też, w jak wielkiej mierze zależy ode mnie w tej chwili, by zwyciężyła prawda, a wraz z nią i sprawiedliwość.

Stanąłem, oparty o framugę drzwi wiodących z sali rozpraw do izby narad. Na sali, wytłoczonej publicznością, nie podniósł się najmniejszy szmer. Nikt nie poruszył się ze swego miejsca.

– Kiedy na moim biurku spoczęły zwoje aktów – przerwał ciszę prokuratorским przemówieniem – w których szeleście mogłaby rozbudzona fantazja dopatrywać się jęku mordowanej ofiary, ogarnęło mnie jedno postanowienie: skrępować sobie ręce, by się nie rwały do pochopnych czynów, związać swe uczucia, by się nie dały porwać, a następnie postanowiłem zachować trzeźwość patrzenia, spokój, wyteńczyć swój mózg, wyostrzyć swój wzrok, by stanąć oko w oko z prawdą.

I małuje obraz oskarżonej, najczarniejszy z czarnych: egoistka bez uczuć, której jedynym celem jest jej własny interes. Zimna, bezwzględna, pełna nienawiści do każdego, kto staje jej na drodze.

Prokurator Laniewski ma wynotowane ważniejsze cytaty z zeznań świadków. Żongluje nimi, by potwierdzić, jaką była złą opiekunką, jakim balastem i źródłem niepotrzebnych wydatków były dla niej dzieci Zaremby. Wszystko złe, co zostało o niej powiedziane na tej sali, teraz jest skrupulatnie przypomniane. Każde zdanie i każde słowo.

O Lusi mówi ciepło. Że cierpiała, gdy obca kobieta zajmowała miejsce jej matki.

– Wątpię, czy Lusja w tym wieku była zdolna do nienawiści. Ale wiem, że była do niej

zdolna Gorgonowa. Zaczynają padać z jej ust słowa o zabiciu Lusi.

Prokurator znów podpira się notatkami, powołuje na fakty, zeznania świadków. Mają przekonać przysięgłych, że między Lusią a Ritą narastał konflikt. Że Rita upatrywała w Lusi przyczynę swoich kłopotów. I gdy zrozumiała, że przez nią drzwi nowego mieszkania Zarembów przy Potockiego będą zamknięte, postanowiła usunąć rywalkę.

Zdaniem prokuratora motywem zabójstwa była nienawiść i chęć zemsty za złamany los. Za to, że Zaremba się od niej odsunął. Gorgonowa wierzyła, że po wyeliminowaniu córki wszystko będzie jak przedtem i znów zamieszka z Henrykiem.

Laniewski po dwóch godzinach mówienia prosi o krótką przerwę.

Po chwili uderza z impetem. Teraz skupia się już na samym morderstwie i licznych – jak twierdzi – dowodach winy. Mówi, że najważniejsze są zeznania młodego Zaremby.

– Gdy stwierdził, że tajemniczą postacią w holu jest Gorgonowa, nie wiedział jeszcze, że jest podejrzana o morderstwo – przypomina prokurator.

Laniewski wskazuje na inne poszlaki obciążające oskarżoną. Ślady na śniegu, skaleczona ręka, wybita szyba, świeczka, chusteczka, seledynowa koszula nocna, której nigdzie nie znaleziono, a która jednak wskazuje na nią. I zakrwawione futro, o którym biegli wydali sprzeczne opinie.

Przypomina o służącej Tobiaszównie, która zeznała pod przysięgą, że gdy Gorgonowa dowiedziała się o odnalezieniu przez policję śladów prowadzących do jej werandy, powiedziała: „Boże, Boże, co ja zrobiłam”.

Los Gorgonowej jest w rękach dwunastu przysięgłych. Znają fakty, muszą teraz poczuć emocje. Na koniec Laniewski przemawia już tylko do nich.

– Kiedy już za kilka chwil mam skończyć swoje słowa, ogarnia mnie lęk wielki: czy podołałem temu wielkiemu zadaniu? Czy byłem tak jasny, że zdołałem przekonać panów [wśród przysięgłych nie ma kobiet] o tej prawdzie, która jest oczywista i w którą wierzę? Więc niech mi wolno będzie powiedzieć jeszcze słów kilka ostatnich. Już nie jako prokuratorowi do sędziów, a jako człowiekowi do ludzi, obywatelowi do obywateli, ojcu do ojców. Wierzcie mi, panowie, że ja tej sprawy nie załatwiałem tak, jak się czyta zwyczajnie akta. Ja tę sprawę przeżywałem. Wszedłem w najgłębsze jej tajniki. Ona rwała moje nerwy, mąciła spokój moich dni i nocy. Szedłem krok w krok za sprawcą, błądziłem wokół basenu, chodziłem po holu, szedłem za sprawcą do piwnicy, patrzyłem na jego rękę, gdy zabijał, szedłem jak widmo, jak zły duch, gnany wielkim bezwzględny nakazem, jednym przeznaczeniem: sprawiedliwość musi zwyciężyć! – Robi krótką pauzę. – Krzyczy do was cała moja istota: to ona zrobiła! – grzmi groźnie. – Wszystko wokoło mnie, drzewa brzuchowickich lasów, cegły nieszczęsnej willi, ściany sali, uliczne bruki krzyczą: „Ona zabiła!”. Niebo i ziemia wołają: „Zabiła!”. – Znów krótka pauza. Po niej dodaje nieco łagodniej: – Kiedy pójdziecie panowie do sali narad, by wydać sąd ostateczny, zaczęła się za wami duch niewinnie zamordowanego dziewczęcia. Nie odwracajcie od niego głowy, patrzcie na nie, choć w miejscach jasnych oczu zwrócą się ku wam puste oczodoły, choć dziecięce ciało zżarte jest przez ziemię. Popatrzcie jednak na nie. Podniesie ku wam piszczele swoich rąk, skieruje bezmięsny palec w waszą stronę i głosem cichym, zza grobu wyszepce: „To ona mnie zabiła”.

Laniewski pisze, że gdy kończył przemawiać, za oknami było już ciemno. Sala zamarła. Nikt nie drgnął. Nie słyhać było najmniejszego szmeru.

„Była to dla mnie wielka chwila w moim życiu, kiedy tak przestałem mówić, a sala mnie dalej słuchała” – zapisał. („Wszyscy ci szczęśliwcy, którym udało się dostać na salę rozpraw, są jeszcze pod wrażeniem wspaniałej mowy prokuratorowskiej, mowy, jaką rzadko się słyszy na sali sądowej” – napisze następnego dnia „Gazeta Wieczorna”).

Pół godziny później odpowiada mu Maurycy Axer. („Ten mądry, doświadczony obrońca wiedział dobrze, gdzie jest prawda. Tym cięższy był jego obowiązek” – zanotował Laniewski).

– Gdy opinia publiczna naszego miasta zwróciła się zwartym frontem przeciw oskarżonej, gdy ze wszystkich stron szły ku niej przekleństwa i wyzwiska, gdy wyciągnięte nad jej głowę pięści tłumu potrząsały bezlitośnie stryczkiem, a osoba kata stała się dla wielu lwowian symbolem prawa i sprawiedliwości, gdy wszyscy, dalsi i bliżsi, odwrócili się od oskarżonej, zostawiając ją samą, z jej bezbrzeżnym nieszczęściem, stanąłem obok niej, by z nią i dla niej walczyć o jej honor, wolność i życie. Nie dorównam swojemu przedmówcy w doborze słów i argumentów. Nie osiągnę tej wyżyny krasomówczej, na jakiej znalazło się jego przemówienie. Przewyższę go w jednym: w sile przekonania, że w tej sprawie szermierzem prawdy nie jest prokurator, lecz ja nim jestem. Prawda jest tylko jedna. Dziś jest ona ze mną i razem ze mną woła głośno i dobitnie, że Rita Gorgonowa jest niewinna! Drzę jednak o los oskarżonej, ogarnia mnie zwątpienie w sprawiedliwość ludzką i rozpaczliwy lęk w przeczuciu tego, co w tej sali nastąpi. Przede mną bowiem stoi przeciwnik, stokroć ode mnie mocniejszy, któremu nie jestem w stanie podoleć. Wróg silny i przemożny, co wszystkich i wszystko ciężarem swym przygniata. Ślepa na jaskrawe światło prawdy, głucha na krzyk duszy ludzkiej, nieprzystępna dla najbardziej rzeczowych argumentów, zimna, zła, okrutna opinia publiczna, znacznie słuszniej głosem ulicy zwana, wydała już swój wyrok nad Ritą Gorgonową, dawno już zatrzasnęła wieko trumny, do której wy, panowie sędziowie, dziś ją złożyć macie. A głos ulicy nie był nigdy głosem Boga.

Axer musi wiedzieć, że podejmuje się misji beznadziejnej. Ma przeciwko sobie nie tylko oskarżyciela, dziennikarzy, publiczność, która pomrukuje podczas jego wystąpień, lecz także tysiące tych, którzy już od świtu wyczekują na Batorego wyroku śmierci. Innej kary sobie nie wyobrażają.

Mecenas Axer próbuje zniweczyć te oczekiwania. Odwraca kota ogonem. Robi z Gorgonowej ofiarę, opowiadając, jak bardzo było jej ciężko, kiedy wraz z małym dzieckiem została porzucona przez męża na pastwę teściów, którzy traktowali ją jak wroga. I jak w obcym kraju musiała walczyć o byt.

Zarzuca prokuratorowi, że nie potrafił znaleźć mordercy Lusi, bo jak zapewnia, nie jest nim Rita Gorgon.

– Zaszedł tu na pewno mord seksualny – tłumaczy przysięg-łym. – Zwierzęcość czynu przemawia przeciw winie oskarżonej – mówi dalej, nie zważając na pojękiwania sali. – Jedynym sprawcą, który mógł tego dokonać, był ogrodnik Kamiński. Wszystkie okoliczności śledztwa przemawiają przeciwko niemu.

Zanim przystąpi do ostatecznego ataku, rozprawia się z niewygodnymi zeznaniami. Nie zarzuca świadkom kłamstwa. Mówi raczej o złej woli i uleganiu zbiorowej psychozie.

Kwestionuje każdy dowód:

– To nie dowody, to poszlaki, a nawet te poszlaki w trakcie procesu zostały obalone.

Przypomina, że fundamentem oskarżenia była ekspertyza krwi.

– Fundament jednak upadł – podkreśla.

Apeluje do przysięg-łych:

– Pamiętajcie o tych wszystkich, którzy trafili na szafot z powodu pomyłki sądów. Nie pozwólcie, by niewinny piętnastoletni syn oskarżonej [Erwin Gorgon] przez całe swoje życie nosił piętno hańby, gdy jego matka zostanie skazana na śmierć.

Rita szlocha przez całe przemówienie Axera. Z jej niebieskich oczu wciąż płyną łzy, gdy sędzia Antoniewicz zachęca ją do wypowiedzenia ostatniego słowa.

– Panie przewodniczący! – mówi, płacząc. – Jestem tak samo ofiarą zbrodniarza jak świętej pamięci Lusia. Wobec Boga i ludzi oświadczam, że jestem niewinna.

Przysięgli udają się na naradę, publika się kłóci: winna, niewinna, śmierć czy uniewinnienie?

Tylko prokurator Laniewski nie ma wątpliwości: „Rzecz zupełnie zrozumiała: Sprawa nie mogła już obecnie dla nikogo jasno myślącego nasuwać najmniejszych wątpliwości” – notuje.

Po dziewiętnastu minutach za plecami Wysokiego Trybunału otwierają się drzwi sali narad. Milkną spory. Dwunastu przysięgłych w zupełnej ciszy przemierza salę, siadają w ławach i tylko przewodniczący doktor Kazimierz Hofmokl podchodzi z kartką w rękę do barierki.

– Na pytanie, czy Emilia Margarita Gorgon jest winna skryto-bójczego morderstwa Elżbiety Zarembianki, odpowiedzieli przysięgli dziewięcioma głosami – tak, a trzema – nie.

Sala jest zaskoczona niejednomyślnym werdyktem, więc wybucha gniewem.

Gorgonowa też jest wstrząśnięta. Jakby się tego nie spodziewała. Osuwa się na krześle, zwiesza bezwładnie głowę. Wspiera się na ramieniu siedzącego obok policjanta, który coś do niej szeptem.

(„Przemawiał do niej jak ojciec pocieszający nieszczęśliwą córkę” – zauważa obserwująca proces niemiecka pisarka Elga Kern).

„Gdy przewodniczący odczytywał wyrok, pojęła wszystko, co się stało. Ta kobieta, która podczas przemówienia obrońcy niemal bez przerwy płakała, po wyroku uspokoiła się zupełnie, a gdy obrońca, pocieszając ją, mówił do niej, że nie wszystko jeszcze stracone, odpowiedziała mu tylko melancholijnym skinieniem głowy” – notuje Kern.

Po werdykcie przysięgłych wyrok sądu jest oczywisty. Sąd zobligowany jest ich orzeczeniem. Teraz musi zastosować tylko odpowiedni zapis Kodeksu karnego. Austriacki Kodeks karny za zabójstwo przewiduje tylko jedną karę – karę śmierci przez powieszenie. (Nowy, bardziej liberalny kodeks wejdzie w życie dopiero za kilka miesięcy. W nim ustawodawca da sądom do wyboru różne wysokości kar).

Skazana na śmierć Rita Gorgon ma wówczas trzydzieści jeden lat, nie ma rodziny, przyjaciół, znajomych, nikogo, kto by jej pomógł. I jest w piątym miesiącu ciąży z człowiekiem, o którego zabicie córki jest oskarżana.

Gdy około dwudziestej trzeciej więzienna karetka odwozi Ritę do Brygidek, pod Sądem Okręgowym na Batorego trwa jeszcze karnawał. Tysiące lwowian przyszły pogratulować sobie zasądzonego przed chwilą wyroku. Teraz będą czekać na wykonanie kary. W przedwojennej Polsce czeka się na to zwykle od kilku do kilkunastu tygodni.

Front obrony Rity

Warszawa, niedziela, 19 czerwca 1932

Ma czterdzieści sześć lat, ciemne włosy, jasne oczy, wąskie usta. Tak wygląda na zdjęciu zrobionym w 1931 roku w rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie, gdzie miała odczyt o potrzebie kulturalnego zbliżenia Niemców i Polaków.

Na rozprawie siedzi gdzieś blisko Gorgonowej, obserwuje ją, bo dokładnie opisuje jej zachowanie, gesty, mimikę. Na pewno jest na którymś ze zdjęć robionych przez fotografów „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, obsługujących lwowski proces, wśród rozentuzjasmowanych kobiet i mężczyzn, którzy przychodzą codziennie do sądu jak do kina.

Jest Niemką. Nazywa się Elga Kern. „Znakomita literatka” – pisze o niej polska prasa.

I niezwykle odważna. W Niemczech, gdzie pod czarnymi sztandarami maszeruje coraz więcej mężczyzn, ona – Żydówka – wciąż walczy o prawa kobiet.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych odbywa dwie długie podróże po Polsce, odwiedzając między innymi Gdynię, Wilno, Łódź, Lwów. Rezultatem fascynacji Polską jest książka wydana w Zurychu w 1931 roku: *Vom alten und neuen Polen* [Ze starej i nowej Polski]. II Rzeczpospolita jawi się w niej jako oaza ludzi szczęśliwych i pracowitych; kraj wielkiej kultury, wielkiej historii, wielkich perspektyw. W Niemczech, gdzie Adolf Hitler zmierza wielkimi krokami po władzę, publikacja Elgi Kern jest prawie niezauważona, ale w Polsce autorka cieszy się wielką popularnością.

„Książka napisana jest z entuzjazmem unikającym niesmacznej przesady pism propagandowych. Lepiej nas Elga Kern zarekomendować nie mogła” – piszą o tej pozycji „Wiadomości Literackie”, najważniejsze pismo kulturalne przedwojennej Polski.

To w nim rok później Kern zamieszcza jeden ze swoich najgłośniejszych tekstów pod tytułem *Prawda o procesie Gorgonowej*. Kwestionuje w nim rzetelność procesu, wiarygodność świadków i dowodów.

Do Lwowa Kern przyjeżdża z Mannheim, spod francuskiej granicy, gdzie od lat mieszka. Nie tylko prasa zauważa jej pojawienie się na procesie, ale nawet prokurator Laniewski: „Kręci się po Lwowie jakaś rzekomo »zagraniczna literatka«, która z pasją wprost miotała na mnie obelgi i złe słowa tak, jakby sprawa Gorgonowej była moją osobistą sprawą, i tak, jakbym ja mógł mieć jakikolwiek inny w tym wszystkim interes, aniżeli interes reprezentowanej przeze mnie sprawiedliwości” – pisze o niej.

– Przyjechałam nie po to, by bronić Rity Gorgonowej, lecz by bronić sprawy Rity Gorgon – tłumaczy polskim dziennikarzom. – Wystąpiłam przeciwko tej wielkiej omyłce sądowej. Stoję na niezmiennym stanowisku, że psychologicznie jest rzeczą niemożliwą, by o taką zbrodnię mogła być oskarżona kobieta.

– Kto według pani mógł dokonać zbrodni, jeżeli wyklucza pani Ritę Gorgon?

– Nie wykluczam zupełnie obcej osoby – odpowiada dziennikarzom. – Dla mnie podejrzaną będzie zarówno Gorgonowa, jak i inni domownicy.

– Ale Staś ją widział w holu.

– Każdy psycholog wie, że chłopiec w wieku dojrzewania podlega wpływom księżycy, a w nocy mordy była pełnia. Jest możliwe, że Staś pod wpływem księżycy wyimaginował sobie

wiele rzeczy, których nie widział – odpowiada pewnie Kern[1].



[^] Elga Kern (Polskie Radio, Rozgłośnia w Wilnie. Elga Kern wygłasza odczyt o potrzebie kulturalnego zbliżenia niemiecko-polskiego, 1931)

To ona pierwsza publicznie broni Rity Gorgon. Staje za nią murem, wspiera ją, agituje na jej rzecz. I stawia odważną hipotezę, że Staś Zaremba wskazał na Gorgonową pod wpływem promieni światła księżycy[2].

To, że słabo mówi po polsku i swoje teksty pisze tylko po niemiecku, nie ma znaczenia. Jest kimś znacznie ważniejszym niż dziesiątki dziennikarzy, którzy codziennie rzetelnie relacjonują proces. Jej głos jest bardziej nośny, bo słyhać go też w Europie.

Swoj reportaż, a w zasadzie manifest feministyczny w obronie Rity Gorgon publikuje w „Wiadomościach Literackich”. Redakcja warszawskiego tygodnika przy ulicy Złotej 8 to grupa le-wicujących autorów, którymi kieruje pisarz Tadeusz Boy-Żeleński.

Elga Kern atakuje wszystkich, którzy przyłożyli rękę do skazania Gorgonowej: policję, prokuraturę, sąd, a nawet Zarembę, który – jak pisze – na podstawie niejasnych poszlak obciążył zeznaniami swoją partnerkę.

Wytyka błędy. Że policja za szybko chciała złapać przestępcę, że nie zbadała wszystkich świadków i wszystkich śladów. Że materiał dowodowy jest „tragikomicznie bezwartościowy”, że wszystko opiera się na hipotezach, na poszlakach i na motywie. I nic nie zostało dowiedzione.

Nie podoba jej się, że dwunastoosobowa ława przysięgłych składa się z samych emerytowanych wojskowych i policjantów i że nie ma tam ani jednej kobiety.

Od samego początku wszystko nastawione jest od razu na winę Gorgonowej i z zadziwiającą zgodnością idą ręką w rękę postępowanie policji, sprawna prasa brukowa oraz tak zwana opinia publiczna. Wszystko tłumaczono na niekorzyść tej kobiety i każdy szczegół

zwrócono przeciwko niej, wszystko zaś, co mogło przemawiać na jej korzyść, zostało przez prasę stłumione i przemilczane i z życia matki dwojga dzieci, która oczekuje trzeciego, zrobiono bezbroną igraszkę spragnionej sensacji ulicy – pisała w swoim tekście. – Każdego, kto przebywał we Lwowie choćby tylko przelotnie, musi uderzyć i wstrząsnąć do głębi, iż właśnie tu, gdzie jest tyle kościołów i tylu służebników Bożych, człowiek zostaje potraktowany jak bezpański pies. Jakże gorąco należałoby pragnąć, aby ten duch, który, jak mówią, jest przesłanką procesji, zainteresował się nieco także procesem Gorgonowej.

Byliśmy świadkami, że dzień w dzień na ulicach Lwowa były rozprzedawane i głośno zachwalane wstrętne pamflety przeciwko oskarżonej i że ani razu nie mógł się odezwać człowiek spokojny, stojący z dala od fatalnych kombinacji i nieulegający nieszczęsnym sugestiom, aby wyrazić swe uzasadnione wątpliwości i zastrzeżenia.

Elga Kern skrupulatnie kwestionuje każdą poszlakę, każdy dowód. Podaje w wątpliwość przebieg wypadków, motyw zbrodni, narzędzie zbrodni i to, że w ogóle morderstwa mogła dokonać Gorgonowa.

Nie o to nam tu chodzi, czy Gorgonowa jest winna, czy niewinna, lecz jedynie o to, że jeśli jest winna, to należało jej tego dowieść, jednak nie przez podsunięcie jej motywu, który może istnieć albo może nie istnieć, ale przez stwierdzone fakty.

Gdy w procesie tym wszystkie poszlaki okazały się niepewne, powstaje pytanie: w jaki to sposób ława przysięgłych mogła się zdobyć na uznanie oskarżonej za winną?

Na koniec Kern pisze, że władze sądowe odmówiły jej zgody na widzenie ze spodziewającą się dziecka Gorgonową.

„Wydało mi się ludzkim, kobiecym obowiązkiem pójść do niej i powiedzieć, że w jej podwójnie ciężkim położeniu nie jest zupełnie osamotniona”.

Tekst Elgi Kern wywołuje burzę.

W narodowym dzienniku „ABC” odpór daje jej znana publicystka Irena Pannenkowa.

„Sposób, w jaki mówi o prokuratorze, funkcjonariuszu państwa polskiego, nie wydaje się właściwy, nawet gdyby nie była cudzoziemką. Ma się wrażenie, jak gdyby pani Kern miała w ogóle żal do prokuratora o to, że oskarża, a nie broni. Ale funkcją prokuratora jest oskarżać. Może się taki obowiązek wydawać niesympatyczny, niemniej jednak to jest obowiązek”.

„Gazeta Wieczorna”: „Pani Elga Kern zapatruje się na sprawę jednostronnie. Wyszukuje wszelkie błędy przewodu sądowego oraz śledztwa, a przymyka dyskretnie oczy na szereg niezbitych faktów, na które nie umie czy też nie chce odpowiedzieć”.

Główny zarzut wobec autorki jest zakamuflowany, ale można go wyczytać między wierszami polemistów. Brzmi on: niech się Niemka nie wtrąca, niech nie mąci i pilnuje swojego, niemieckiego podwórka.

Na to niewypowiedziane oskarżenie pisarka odpowiada w „Wiadomościach Literackich”.

Starałam się wykazać, że poza obrębem poczucia narodowego istnieją zagadnienia, które mogą skłonić do interwencji pisarza, poczuwającego się do odpowiedzialności za swą epokę i przyszłość. Gdyby w sprawie Gorgonowej chodziło o proces polityczny, nigdy bym się tym nie zajmowała zarówno w obcym kraju, jak i we własnej ojczyźnie. Jako Niemka mogłabym się wtrącić do procesu politycznego za granicą jedynie w ściśle określonych okolicznościach.

Jeśli idzie o proces Gorgonowej, sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Chodzi tu o zagadnienie humanitarne, które obchodzi mnie jako europejską pisarkę, obchodzi zasadniczo i zniewala do działania. Zresztą nie można wymagać od nikogo, aby milczał wobec wyroku śmierci wbrew swemu najgłębszemu przekonaniu.

Cóż więc przedsięwzięłam po wyroku śmierci w procesie Gorgonowej we Lwowie? Odbyłam w Warszawie rozmowę z pewnym pisarzem, którego bardzo szanuję, a którego ceni

cała Polska. Do narady wciągnęliśmy pewnego prawnika. Po dojrzałym, wspólnym namyśle oświadczyłam gotowość sformułowania dla tych dwu panów rzeczowego sprawozdania z procesu. Ogłoszono je później w „Wiadomościach Literackich”. Co do mnie – podkreślam to z naciskiem – wolałabym po stokroć, aby sprawozdanie takie ogłosił był wówczas któryś z polskich pisarzy.

Zapewne na całym świecie dzieją się okropne rzeczy, nikt boleśniej ode mnie nie odczuwa tego w tej chwili, a jednak i dziś, gdybym jeszcze raz znalazła się u wstępu procesu, nie mogłabym postąpić inaczej, niż postąpiłam.

Czy naprawdę kraj musi wypaść z posad dlatego, że kobieta stanęła u boku jednej ze swych sióstr, że pisarka niemiecka w Polsce oddała swą wiedzę i poczucie odpowiedzialności na usługi humanitaryzmu, jak to już nieraz czyniła w innych okolicznościach i jak to będzie jeszcze czyniła w przyszłości?

Przed kilku dniami piętnastoletni chłopiec, syn Rity Gorgonowej, złożył dłoń w mojej dłoni i prosił: „Niech pani nie opuszcza mojej matki. Mamusia tego nie zrobiła. Na pewno nie zrobiła”.

Czy to nie wystarczy do zbudzenia poczucia obowiązku? Czy miałam zastanawiać się, czy jestem Polką, czy Niemką?

Nie chodzi tu o Ritę Gorgonową, nie chodzi o tego chłopca, Erwina Gorgona, chodzi o matkę i syna, o nieistniejący dowód winy matki trojga dzieci[3].

Czytelnikom „Wiadomości Literackich” podoba się waleczność Niemki. Za pośrednictwem redakcji wysyłają do niej listy ze wsparciem. Wokół pisma tworzy się ruch obrony Gorgonowej, który każdego dnia staje się silniejszy, głośniejszy i bardziej przekonujący.

Znana ze *Sprawy Dantona* gdańska pisarka Stanisława Przybyszewska pisze do Kern po niemiecku, niebieskim atramentem na wyrwanych z notesu kartkach:

„Nie chcę Pani schlebiać, ale Pani ujęcie się za Gorgonową w samym Lwowie, i to jeszcze z Pani narodowością... Na Pani miejscu nie odważyłabym się na to. Przecież Pani przez długie miesiące ryzykowała utratę życia”.

To list dziękczynny za odwagę głoszenia własnych poglądów, determinację i siłę argumentu. Adresatka nie może mieć żadnych wątpliwości co do tego, że autorka też święcie wierzy w to, że Rita jest ofiarą pomyłki sądowej wymuszonej przez rozhisteryzowany tłum.

Schorowana, przymierająca głodem Przybyszewska mieszka w baraku przy Weißen Turm, gdzie jedyną jej rozrywką jest codzienne czytanie gazet. Sprawą Gorgonowej zaczyna się poważnie interesować dopiero pod koniec kwietnia 1932 roku, tuż przed ogłoszeniem wyroku.

„Dopiero po tygodniu zrozumiałam z zimną grozą, że pani Gorgon nie jest harpią, lecz że jest człowiekiem przede wszystkim normalnym: to znaczy moralnie i umysłowo silnym, spełniającym dobrze macierzyńskie powołanie swego życia. Zarazem pojęłam, że okropna pomyłka nie tylko mogła, lecz mocą praw natury ludzkiej musiała zajść: a to wskutek fatalnej przeciętności tych ludzi, na których spadła odpowiedzialność” – wspominała w swoich tekstach Przybyszewska.

Na podstawie własnej analizy tego, co przeczytała w gazetach, nie ruszając się z Gdańska, dochodzi do mocnego przekonania, że Gorgonowa jest niewinna. W losie zaszczutej, bezdomnej, odrzuconej cudzoziemki wydanej na pastwę lokalnego szowinizmu odnajduje własną historię polskiej obywatelki Wolnego Miasta Gdańska w przededniu zwycięstwa nazizmu. Historia Gorgonowej porusza ją tak bardzo, że w lutym 1933 roku rozpoczyna pracę nad szkicem dramatu poświęconego tej sprawie. *Pijana Themis* miała być sztuką rewolucyjną, atakującą ze sceny bezduszny lwowski sąd i prokuraturę, które wysłały na śmierć niewinną kobietę. Sztuka nigdy nie została skończona.

Z kolei list w obronie Gorgonowej, który pisarka wysłała na ulicę Złotą 8 w Warszawie do redakcji „Wiadomości Literackich”, wydrukowany został w marcu 1933 roku na pierwszej stronie tygodnika.

Artykuł Przybyszewskiej („córki znakomitego pisarza Stanisława Przybyszewskiego”) redakcja zapowiada jako cenne uzupełnienie pamiętnego artykułu Elgi Kern. List Przybyszewskiej jest jeszcze bardziej bojowy, ale mało konkretny. To w zasadzie apel do społeczeństwa, by naprawiło krzywdę, którą biednej kobiecie wyrządził sąd.

Przybyszewska, analizując poszczególne dowody winy, dochodzi do zupełnie innych wniosków niż policja, prokurator, sąd i przysięgli. Wszystkie wydają się jej przemawiać raczej za niewinnością oskarżonej niż jej winą.

Jakże się to stać mogło, że pani Gorgon proces wytoczono, że ją skazano?! – dziwi się. I sama sobie odpowiada: – Niestety. To stać się musiało: wbrew rozumowi, wbrew sprawiedliwości, a w myśl praw natury ludzkiej. Nagła, rozgłośna na całe państwo sensacja zbrodni stanowiła dla władz lwowskich pokusę zbyt ciężką. Ogół, wezbrany oburzeniem, domagał się zbrodniarza: nie schwytać go byłoby dla policji lokalnej klęską. Tymczasem pani Gorgon była pod ręką; co więcej, jako kobieta, cudzoziemka, i przede wszystkim konkubina stanowiła wyjątkowo pożądany przedmiot zarówno dla chcącego się odznaczyć prokuratora, jak i dla chciwego sensacji ogółu.

Wszyscy zatem, sąd i policja – z powodów zawodowych, ogół – z psychologicznych, wszyscy pragnęli, aby to ona była winowajczynią. [...]

Lwów znalazł się, przed procesem i podczas procesu, w stanie psychopatycznym. Ów epidemiczny wir opinii pozbawił nas wszystkich, na szczęście przejściowo, poczytalności, więc i odpowiedzialności, w sprawie pani Gorgon. [...]

Bezpodstawne a namiętne przekonanie o winie pani Gorgon było naturalnym, nieuniknionym następstwem owej epidemii psychicznej. Ulegliśmy prawie wszyscy na pewien czas: lecz im zdrowsi jesteśmy psychicznie, tym prędzej rozum powraca w nas do władzy. Wówczas każdy z nas musi uznać, że podzielał straszliwą omyłkę.

Właśnie teraz [...] jest sposobność do naprawienia fatalnej omyłki; sposobność do przywrócenia życia kobiecie na wskroś normalnej, o wybitnie macierzyńskiej naturze, która bez winy przebyła piekło. Sposobność wreszcie do wspiania rehabilitacji sądownictwa.

Czy zechce, czy potrafi z niej skorzystać?[4]

Apelacja

Warszawa, czwartek, 21 lipca 1932

Mecenas Maurycy Axer przygotowuje się do rozprawy apelacyjnej w Hotelu Europejskim przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, gdzie zajmuje apartament numer 317.

Musi czuć wzbierającą siłę tych, których już przekonał, że jego klientka jest niewinna i stała się ofiarą nieudolności policji oraz kompromitujących się nawzajem biegłych. Że o jej winie nie przesądziły dowody, ale płeć, obce pochodzenie i wroga lwowska ulica.

Siła wąpiących rośnie od czasu brawurowej mowy obrończej Axera w połowie maja. Ta przemiana nastrojów widoczna jest już w tonie gazetowych zapowiedzi rozprawy kasacyjnej.

Największe tytuły piszą raczej o wątpliwościach, które Sąd Najwyższy musi wziąć pod uwagę, a które podniósł w swej skardze kasacyjnej mecenas Axer. Lwowskiemu sądowi zarzucił popełnienie niewybaczalnego błędu: pomijanie zgłaszanych przez niego arcyważnych dowodów obrony. Wskazanych błędów jest dziesięć. (Od zaniechania zbadania sprawy morderstwa na Lewandówce, poprzez odrzucenie wniosków o badania psychiatryczne Stasia i Rity, po niepowołanie na świadka artysty Pronaszki, który twierdzi, że nocą, w -świecie pło-myka, -koloru seledynowego od białego odróżnić się nie da).



[^] Mieczysław Ettinger (z prawej) i Maurycy Axer w trakcie rozprawy apelacyjnej (Warszawa, 21 lipca 1932 roku)

Axer nie jest już sam. Podczas rozprawy pomagać mu będzie warszawska sława adwokatury, czterdziestosześcioletni Mieczysław Ettinger.

W dziennikach przeważa opinia, że Sąd Najwyższy przyjmie skargę kasacyjną i będzie powtórny proces Gorgonowej.

„Stało się rzeczą oczywistą dla wszystkich, którzy nie stracili jeszcze zupełnie wiary w sprawiedliwość jurysdykcyjną, że Sąd Najwyższy w Warszawie zadekretuje unieważnienie wyroku” – pisze w swoich notatkach publicystka Elga Kern. (Na rozprawie kasacyjnej siedzi w pierwszym rzędzie).

Rozprawie przewodniczy prezes Sądu Najwyższego Witold de Michelis. W składzie są sędziowie: Janusz Jamontt i Stanisław Wyrobek. Posiedzenie kasacyjne zaczyna się o dziesiątej, ale punkt kulminacyjny nadejdzie kilka godzin później, po przerwie obiadowej, gdy głos zabiorą obrońcy.

Wszyscy czekają na przemówienie Axera.

– Najwyższy Sądzie – zaczyna podniośle i przypomina, że we Lwowie proces odbywał się w oparach niezdrowej sensacji, a ulica na samym początku wydała wyrok na Gorgonową.

– Potępiono ją, zanim zdołała powiedzieć jedno słowo w swojej obronie, osądzono i orzeczono winę – mówi. – Sąd przysięgłych to głos ludu, a głos ludu to często głos ulicy. Ulica zaś od pierwszego dnia wiedziała, że Gorgonowa jest sprawczynią morderstwa.

Axer nie atakuje. Axer prosi. Axer tłumaczy.

– Nie żałę się na niesłuszność wyroku, ale na krzywdę, jaką popełniono w postępowaniu jeszcze przed wyrokiem. Skoro rozprawa odbywała się w atmosferze zgniętej, dusznej, zatrutej jadem nienawiści do oskarżonej, myślę, że obowiązkiem Wysokiego Trybunału jest wziąć w obronę oskarżoną, ażeby nastąpiło wyrównanie tendencji. W toku postępowania dowodowego odrzucono wszystkie wnioski obrony, grożono mi usunięciem obrońcy – tłumaczy.

Miesza z błotem zeznania świadków, dowody i ekspertyzy.

„Obie mowy obrończe tworzyły doskonale skonstruowaną całość i były świetnym atutem w walce nie tylko o jedno zagrożone życie ludzkie, lecz o sprawiedliwość samą w sobie – notuje Kern. – Albowiem całej tej sprawy nie można oceniać jako losów pewnej jednostki; były tu raczej zagrożone prawa człowieka w ogóle”.

Sąd musi mieć problem z wyrokiem, bowiem narada sędziowska trwa ponad dwie godziny. Dopiero koło północy Sąd Najwyższy przemawia. Uchyla wyrok śmierci na Gorgonową i przekazuje sprawę do ponownego rozpoznania Sądowi Okręgowemu Karnemu w Krakowie.

Według reporterów „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” publika pod pałacem Krasieńskich informację o ponownym procesie Gorgonowej przyjęła entuzjastycznie.

„Co daje gwarancję przeprowadzenia rozprawy w atmosferze spokojnej i opanowanej” – pisze „Ilustrowany Kurier Codzienny”.



[^] Proces Rity Gorgonowej przed Sądem Najwyższym w Warszawie. Widoczni m.in.: sędziowie Stanisław Wyrobek, Konstanty Syromiatnikow, przewodniczący Jan Rzymowski, prokurator Stanisław Błoński, 22 września 1933

Elga Kern w swoim komentarzu w „Wiadomościach Literackich” nie może się nachwalić roztropności przewodniczącego składu orzekającego sędziego de Michelisa.

„Przy osądzaniu sprawy oparł się nie tylko na wiedzy prawniczej, ale i na własnych ludzkich odczuciach” – pisała Kern.

„Mógł postawić granice, zabronić wspomniania o trującej atmosferze lwowskiego procesu, która przełożyła się na wyrok, ale nie zrobił tego. Dzięki temu stał się rzeczywiście najwyższym przedstawicielem sprawiedliwości państwowej” – notuje Kern i upatruje szansy na ostateczne zwycięstwo w Krakowie.

„Tło historyczne i cała atmosfera umysłowa miasta, znajdującego się dziś trochę na uboczu od sensacji dnia, daje najwyższą gwarancję spokojnej i wolnej od wpływów rozprawy” – pisze[5].

Będziemy mieli dziecko

Po przyjeździe w 1924 roku do Brzuchowic Rita pisze ponownie do Ameryki:

Drogi Erwinie, od chwili, gdy się dowiedziała, że żyjesz i jesteś zdrowy, chodzę jak obuchem uderzona. Miejsca sobie znaleźć nie mogę i czuję nieszczęście, które mnie przez całe życie prześladować nie przestanie. Tylekroć pisałam do Ciebie i ogłaszałam do konsulatu polskiego. Tam też o Tobie nic nie wiadomo, a listy, adresowane do Ciebie, przychodziły z powrotem „nieznane”.

I tak przeszło trzy lata. Tyle czasu nie wiedziałam, co o Tobie myśleć, co ze sobą zrobić.

Bo gdybym wiedziała, że żyjesz i myślisz o mnie, nie byłabym zrobiła kroku, którego nigdy w życiu żałować nie przestanę. Nie wiem, może gardzisz mną, albo potępiasz z całej duszy? Innego wyjścia nie miałam. Musiałam zrobić tak, jak zrobiłam. Albo się puścić na ulicę, stać jak tysiące innych nieszczęśliwych. Trudno mi było żyć, nie mając żadnej pomocy ani nikogo, kto by mi był bezinteresownie pomógł.

Po tułaczce dostałam posadę u mego obecnego męża i po siedmiu miesiącach zgodziłam się zostać jego żoną. Nie zważał na plotki ani na anonimy, którymi go obsypywano. Widać, że mnie prawdziwie kocha.

Choć ciało moje należy już do innego, ale Ciebie już nic nie zdoła wyrwać z serca, w którym jesteś na wieki zakorzeniony. Na tym świecie źli ludzie nas rozłączyli i zniszczyli nasze życie, nasze szczęście. Erwinie, gdy już jestem żoną innego, mogę Ci wyznać prawdę. Żadna już istota ludzka nie wypełni pustki mojego życia. Tobie pierwszemu oddałam swoją pierwszą miłość, serce i duszę.

Przysięgam Ci na głowę naszego jedyne go syna, to jedno, co nam zostało z naszej miłości, że Cię nigdy nie zdradziłam w całym słowa tego znaczeniu, aż do chwili, gdy już do innego należałam.

„Pewnego dnia oświadczyła mi wzruszonym głosem, że będziemy mieli dziecko – notuje Zaremba. – Doznałam równocześnie radości i niepokoju. [...] To dziecko musiało utrwalić węzły pomiędzy mną i Gorgonową, a zarazem ujawnić je dla świata, który wprawdzie toleruje takie stosunki, [...] ale natrzęsa się złośliwie, świętoszkowato, gdy miłość nielegalna przynosi owoce. [...] To dziecko utrwalało jej związek z Brzuchowicami bardziej niż jej pierwsza wizyta u mnie we Lwowie”.

„Romusia urodziła się dnia 14 kwietnia 1928 roku. Dziecko nie mogło otrzymać nazwiska Zaremba – pisze w swojej książce. – Ale będąc nielegalne, nie było ono dla mnie intruzem. Było raczej promykiem szczęścia w moim domu, przyjętym jak błogo-sławieństwo od Boga”.

Stał nad jej kołyską w podziwie, Staś z uciechą wpatrywał się w jej oczy niebieskie, a Lusja matkowała jej nader ochoczo.

Zaremba: „Tylko Rita wobec własnego dziecka była niecierpliwa. Dziecko krzyczy, a ona daje maleństwu klapsa.

– Bój się Boga, kobieto, co ty robisz?

– Nie znoszę, kiedy bachor wrzeszczy”.

Przed urodzeniem Romusi zaczęły się psuć stosunki Gorgonowej z Lusią. Gdy Lusja stawała się starsza, były coraz gorsze, aż przeszły w stan otwartej wojny.

Rozpoczęła się w moim domu wojna Gorgonowej z Lusią. Dziwna wojna, bo jedna strona wciąż napastowała, a druga rozpaczliwie i żałośnie broniła swojej pozycji. Nie czyniła wypadów, a raczej ustępowała dumnie i wzgardliwie, zaznaczając więcej spojrzeniem niż słowem, iż nie

czuje się zwyciężona.

Przy wszelakich sprzeczkach, w których głos Gorgonowej dominował, w których ja milkłem pod gradem okrzyków i afrontów, oczy córki patrzyły na mnie żałośnie, mówiły wyraźnie: – Ojczulku, dlaczego ona cię tak krzywdzi? Czego ona chce ta obca tu Pani?

Zawstydziała moją niemęskość, moją bezwolę, moje poddanie się.

Przepaść między nami rosła. Po burzach wiosny i żarze lata nastąpił mróz zimy. Nie wypędziłem jej wtedy – była matką Romusi.

Jeździła sobie naszym powozem do Lwowa, a my bywaliśmy w domu radzi temu, że jej nie było.

Jesienią 1931 roku Rita ma poczucie, że wszystko się kończy. Zaremba nie odzywa się do niej. Unika jej. Przestaje dawać pieniądze na utrzymanie domu.

„Heniu Drogi” – pisze do niego pod koniec 1931 roku rozedrganą ręką na papierze listowym. –Piszę do Ciebie, bo już innej drogi nie mam, żebyś mnie do końca wysłuchał.

Nie mogę uwierzyć, że masz tak nikczemne plany wobec mnie. I jedynym Twoim celem jest to, że chcesz się mnie pozbyć.

Dlaczego więc nie przyjedziesz do Brzuchowic i nie powiesz mi wszystkiego, co i jak mam zrobić? [...]

Nie kochasz mnie – to już wiem. [...] Bo człowiek, który kocha, nie uczyni nigdy tego, co ty ze mną uczyniłeś, Heniu. [...]

Dziś pragniesz mojej zguby i zagłady. [...]

Dlaczego mnie zmuszasz nędzą i chłodem do opuszczenia Twojego domu? Człowiek, który ma ludzkie uczucia, ani zwierząt nie wygania w ten sposób z nory w porę zimową. A tym mnie wygnać pragniesz. [...]

Po spożyciu najpiękniejszej mej młodości odrzucasz mnie jak grat już Ci uprzykrzony i nieużyteczny.

Człowieku, czy już całkiem honor straciłeś? Jeżeli nie masz obowiązku wobec mnie, to miej litość nad biednym swoim dzieckiem, które ledwie żyć zaczęło i biedne swe smutne oczy łzami zalewa z miłości do Ciebie. I gdy jakkolwiek ruch postłyszysz, wylatuje: „Może mój tatuś drogi przyjechał?”. I ciągle mnie męczy pytaniami: „Czemu tatuś do swej Musieńki nie przyjeżdża?”.

Co ja jej mogę powiedzieć?

Po co dziecko na świat sprowadzałeś, jeżeli je teraz jesteś zdolny opuścić?

A jeżeli myślisz, że Ci dziecko zostawię, to się bardzo mylisz. To dziecko to cały mój skarb i moje szczęście. Więc Ty, człeku bez serca, chcesz mnie pozbawić jedynej radości w moim smutnym życiu?

Jak odejdę, to z dzieckiem. Będę się tułała, póki będę miała siły. Bóg mnie nie opuści. Może i matka moja nie będzie miała serca kamiennego tak jak Ty i przytuli mnie i moją biedną sierotę. A ja będę pracowała dzień i noc, żeby jej sieroctwo nie było ciężkie i nie zatrzymało najwcześniej jej młodości i lat dziecięcych. [...] Jedyne nadzieje i jedyne szczęście to moje dziecko, dla którego pragnę żyć i umrzeć. Będę się starała dać jej wszystko to, cośmy oboje winni. Tobie zaś, Heniu, przebaczam wszystkie krzywdy i łzy moje. Niech Ci Bóg przebaczy.

Dalsze ich losy opisuje w swoim reportażu Elga Kern:

Gorgonowa stała się więźniem szpiegowanym na każdym kroku przez służbę i przez dziewczynkę, która dopiero co przestała być dzieckiem, a pan domu nie zatroszczył się o to, aby jej pomóc. Rzecz prosta, że w takiej atmosferze Rita nieraz musiała tracić panowanie nad sobą. Pomimo to ani razu nie uderzyła dzieci, które były oddane pod jej opiekę.

Tak czy owak, w grudniu sytuacja stała się dla wszystkich domowników wprost

nieznośna. Postanowiono tedy rozejść się, a mianowicie od dnia pierwszego stycznia Gorgonowa miała pozostać w willi w Brzuchowicach, podczas gdy Zaremba z dwojgiem małych dzieci przenieść się miał do Lwowa. Powstały opory co do małej Romy, którą zdaje się wszyscy kochali jednakowo. Zarówno matka, która miała do swego dziecka niezaprzeczone prawo, jak i Lusja Zarembianka domagały się dziecka dla siebie. Gorgonowa, która tak długo oddzielona była od swego syna, liczącego obecnie czternaście lat, a niedostępnego dla niej, ponieważ teściowie nie dopuszczali do spotkań matki z synem, pod żadnym warunkiem nie chciała się zgodzić na rozstanie z córeczką. W jednym z listów pisze Gorgonowa, że jak złodziejka skradała się ku domowi teściów w nadziei ujżenia swego syna i jak złodziejka była przez teściów odpędzana. Czym musiała być dla niej sprawa rozstania się z dzieckiem, zdoła zrozumieć tylko ten, komu wiadomo, że ludzie, którzy wychowali się w ciężkich warunkach duchowych, zachowują mimo to wielką wrażliwość duszy, pomimo iż na zewnątrz okazują pewną szorstkość.

W podróży z Kropelką

Lwów / Kraków, sobota, 26 listopada 1932

Wszystko trzymane jest w największej tajemnicy. Wyjazd w nocy więźniarki z Brygidek przy Kazimierzowskiej i jej przyjazd na Dworzec Główny we Lwowie, i to, że podróżuje w niej Margarita Gorgon z Kropelką. Tak dziennikarze nazywają jej córkę Krystynę Ewę, która dwa miesiące temu przyszła na świat w lwowskim więzieniu. Do tej pory zdjęcia dziewczynki nie było w żadnej gazecie.

Pociąg osobowy do Krakowa odjeżdża z Dworca Głównego pięć minut po północy. Gorgonową do wagonu dostarczają strażnik więzienny i dwóch wywiadowców. Eskorta policyjna prowadzi ją do zarezerwowanego przedziału, tak by nie wzbudzać sensacji. Ale jest na to za późno, bo już na dworcu we Lwowie zostaje rozpoznana. Wieść o tym, że jedzie z pasa-żerami Gorgonowa, wszyscy przekazują sobie z wagonu do wagonu.

Gdy tylko pociąg rusza, ludzie wstają z miejsc i przeglądają przedziały.

„Nie pomogły żadne wysiłki eskorty, która stara się uchronić kobietę przed oczyma ciekawych. Pomimo zasłonięcia okien płaszczami, podróżni starali się wszelkimi sposobami, choćby przez moment zajrzeć do środka przedziału” – pisze „Nowy Dziennik”.

Informację o słynnej kobiecie, która podróżuje pociągiem osobowym ze Lwowa, kolejarze podają sobie telegrafem. Wieść o tym, że pojawi się na kolejnych stacjach, mobilizuje gapiów w środku nocy na dworcach w Przemyślu, Rzeszowie, Tarnowie.

Na perony wychodzą wtajemniczeni kolejarze, ich rodziny i znajomi.

„Nowy Dziennik”: „Wieść o pasażerke [...] wywoływała olbrzymie poruszenie wśród sfer kolejowych. Na wszystkich stacjach wychodziły na dworzec tłumy funkcjonariuszy kolejowych, którzy z ciekawością zaglądali w okna pociągu”.

W Krakowie na stacji Kraków Podgórze czeka na nią już tłum fotoreporterów. To samo na następnym przystanku – Kraków Główny – gdzie pociąg wjeżdża o ósmej pięćdziesiąt.

Dopiero gdy wszyscy pasażerowie wysiądą z pociągu, eskorta wyprowadza skazaną.

Ubrana w czarny płaszcz, twarz zakryta woalką, z dzieckiem na ręku. Na Gorgonowej nie znać śladów długiego pobytu w więzieniu – opisują ją dziennikarze.

Policjanci prowadzą ją do kolejowego komisariatu, pod który za moment podjeżdża taksówka. Jadą z Gorgonową na ulicę Senacką do dawnego klasztoru zakonu karmelitów bosych, gdzie jest teraz więzienie Świętego Michała. Trafia do dwuosobowej celi na pierwszym piętrze.

„Ktokolwiek wskutek codziennych zajęć podąża wiodącą od Plant, wznoszącą się w górę ulicą Poselską, ku Śródmieściu Krakowa, musi minąć wielki szary gmach, stanowiący narożnik ulicy Poselskiej i Senackiej. Kilka kroków od ulicy Poselskiej wre już życie wielkomiejskie, pędzą tramwaje i samochody, rozlega się gwar miasta, lecz ulica Poselska tonie w milczeniu”[6].

Tu przez ponad trzy miesiące będzie czekała Gorgonowa na pierwszą rozprawę w krakowskim sądzie.

„Sąd nie nosi już dziś w sercu uczucia odwetu ze strony obrażonego społeczeństwa: opinia publiczna nie żąda więcej krwi za krew. Prawo karne polskie o tyle surowiej pragnie ukarać sprawcę, o ile on na podstawie wyników przeprowadzonej rozprawy przedstawi większe niebezpieczeństwo na przyszłość”[7].

O winie Gorgonowej orzec ma dwunastu sędziów przysięgłych, którzy będą się kierowali wyłącznie swoim sumieniem. O karze orzeknie trybunał.

„Kto zabija człowieka, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat pięciu lub dożywotnio albo karze śmierci” – głosi przepis artykułu 225 polskiego Kodeksu karnego. „Śmierć nie stanowi już dziś jedynej i koniecznej kary za zabójstwo”[8] – tak „Tajny Detektyw” zapowiada proces dziesięciolecia.

Powtórka ze sprawiedliwości

Kraków, wtorek, 7 marca 1933

Drogi prowadzące do średniowiecznego gmachu Sądu Okręgowego przy ulicy Senackiej zostały zamknięte przez policję. Teren patroluje policja konna. Proces toczy się w wielkiej sali na pierwszym piętrze.

Około dziewiątej posterunkowy wprowadza Gorgonową przez małe drzwi, które oddzielają więzienie Świętego Michała od sądu.

Broni jej trzech adwokatów: znany ze Lwowa Maurycy Axel oraz Mieczysław Ettinger z Warszawy i Józef Woźniakowski z Krakowa. Oskarża prokurator Bohdan Szypuła.

Rozprawie przewodniczy Alfred Jendl, któremu towarzyszą dwaj sędziowie trybunału karnego – Leonard Solecki i Jan Ostrenga.

O winie Gorgonowej zdecyduje dwunastu przysięgłych: dwóch dyrektorów browaru (Perans i Krowicki), dwóch właścicieli ziemskich (Ponióski i Kawalec), dwóch emerytowanych wojskowych (kapitan Karwat i porucznik Lubowiecki), przemysłowiec (Otorowski), kupiec (Bielawski) i czterech emerytów: były kierownik szkoły (May), były inspektor szkolny (Karaszkievicz), były urzędnik skarbowy (Dębicki) i były starosta (Kępiński).

Jedno jest pewne: nieuchronna kara śmierci, na którą Gorgonowa została skazana we Lwowie, może teraz nie być orzeczona. Nowy Kodeks karny pozostawia ostateczny wybór sądowni i to on zdecyduje – śmierć czy więzienie.



[^] Oskarżona Rita Gorgonowa rozmawia ze swoimi obrońcami podczas przerwy

w rozprawie przed Sądem Okręgowym w Krakowie. Józef Woźniakowski (siedzi drugi z prawej) i Mieczysław Ettinger (siedzi pierwszy z prawej)

Obserwuję ten proces oczami Ireny Krzywickiej, trzydziestoczteroletniej feministki, pogromczyni kołtuństwa i drobnomieszczaństwa. Pisarki, publicystki „Wiadomości Literackich”, która nawet nie udaje, że chce być obiektywna. Przyjechała z Warszawy do Krakowa, żeby bronić Gorgonowej – jak pisze – zaszcutej przez dziennikarzy i skazanej przez lwowskie dewotki.

Opisuje krakowski proces w 1933 roku w trzech kolejnych tekstach w „Wiadomościach Literackich”: *Wielkie manewry sądowe* (nr 23), *Wizja i upiory* (nr 24), *Dzieje grzechów... jej i cudzych* (nr 25).

Pisze tak:

Nie jestem prawniczką, i zaletą tych studiów może być jedynie właśnie to, że pisał je nie prawnik, ale ktoś z tłumu, ktoś, kto przyszedł z ulicy i spojrział z innej strony. Prasa codzienna chwyta fabułę procesów, pisarz niechże sobie pozwoli na analizę.



[^] Mieszkańcy Krakowa przed budynkiem „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” przy ulicy Wielopole 1. Najświeższe informacje z sali sądowej wywieszane są w gablotach przed redakcją

Dwunastu przysięgłych, trzech sędziów, dwóch prokuratorów, trzech obrońców, biegli, protokolanci, stenografowie. Pośród nich kobieta, zmartwiała i nieruchoma, bez krwi w twarzy, pocierająca czasem nerwowo dwa palce u dłoni. Nie wchodzę w tej chwili w sprawę winy czy niewinności Gorgonowej, ale muszę powiedzieć, że ta gromada tryumfujących mężczyzn,

otaczających koliskiem złamaną kobietę, jest widokiem niezmiernie przykrym, jest optycznie prawie nie do wytrzymania. Przywykliśmy widzieć kobiety wszędzie. Ich nieobecność tutaj, gdzie chodzi o los kobiety, jest niewłaściwa, jest niemal obrażająca.

Tak. Są za to kobiety na galerii. Rozczochrane, siwowłose megery, słodkawe megerki. Zaondulowane, wybrylantowane, chciwe ludzkiego mięsa – megerzyska. Większość z nich omdlewa z żalu, że nie pokażą tutaj, jak się łamie kołem albo wbija na pal.



[^] Ława przysięgłych podczas procesu

Gorgonowa zachowuje się „niedobrze”. Ponura, kamienna, otulona pod brodę futrem, często skulona. Ani uśmiechów, ani kokieterii, ani prezentowania dekoltu. Kiedy słyszałam, jak ludzie obcy z sądem przysięgłych mówili z żalem o tym zachowaniu, drżałam z przerażenia. Jeden ze znanych adwokatów opowiedział mi, jak bronił kobiety, która zabiła męża. „Widoki na wyrok były bardzo złe, ale to była mądra kobieta. Jak wstała, jak się zakręciła, wszyscy przysięgli wyciągnęli szyje. Uniewinnili”.

A Gorgonowej nie można nawet namówić, żeby zdjęła futro.

Powoli pełzną godziny. Twarze wydłużone oczekiwaniem i zmęczeniem, rozdierane raz po raz w nerwowym ziewnięciu. Twarde ławki, zbite z desek, wrzynają się w ciało.

Oczy wlepione bezwiednie w żółtawe czworokąty okien wychodzących na mur wysysają z tego muru leniwy odbłask słońca. Dreszczyki zimna, niepokoju i znużenia. Na suficie otyła Temida trzyma w ręku wagę.

Pierwszy raz w życiu widziałam sąd przysięgłych i miałam pełne wrażenie, że z tym samym powodzeniem można by rzucać pieniądze: orzeł czy reszka. Lęk, co tu w ostatniej chwili przeważą, czy odruch sentymentalny, czy jakiś poboczny wpływ, może jednego z kolegów

o silniejszej indywidualności albo przewodniczącego?

Zwolennicy sądów przysięgłych twierdzą, że w przeciwieństwie do rutynowego i klasowego sądu urzędniczego, ława przysięgłych jest głosem ludu. Tymczasem trudno sobie wyobrazić sąd bardziej klasowy niż ta ława krakowska, której większość stanowili emeryci, albo inni dojrzały panowie na urzędach.

Sąd ludowy, wśród którego nie było ani jednego proletariusza, ani jednej kobiety, nikogo młodego?

Przecież z procesem Gorgonowej łączy się mnóstwo kwestii zawiłych, wymagających znacznego przygotowania. To trudny do opanowania chaos szczegółów.

Jak tu żądać od ludzi nieobytych z prawem, z zagadnieniami naukowymi, pochłoniętych swoimi sprawami, aby rozgryźli wszystkie zawiłości procesu? To zupełny brak odpowiedzialności za wyrok, to anonimowość działania i oddanie sprawiedliwości na odruch, na instynkt, na przypadkowy impuls.

Oczami Krzywickiej

Brzuchowice, sobota–niedziela, 18–19 marca 1933

Krzywicka przyjeżdża do Brzuchowic, gdzie trwa sądowa wizja lokalna. Na luksusową willę inżyniera Zaremby patrzymy oczami nie prowincjuszki, ale wysmakowanej warszawianki.

Wiozący mnie samochód stanął przed „zamożną” bramą wjazdową. Podmurówka, sztachety, niemal przepych jak na podmiejskie osiedle. Imitacja dworu szlacheckiego na pół mordze. W małym ogródku tłum straszliwych gipsowych posągów, lwy, groty, świątynie, w niesłychanym ścisłu. Wszystko rozwalające się, kruszejące.

Rozmiękle ścieżki, czepiające się pantofli, figlarne pierwsze trawki, wyzywający powiew życia, lecący z wiatrem, bezczelnie wyszczerzone słońce. Wesolutko. Czuje tę wesołość pan-Zaremba, chichoczący wraz ze Stasiem w gronie swojej rodziny.

W pustym pokoiku siedzi na krześle skulona kobieta. Ma gorączkę. Dwóch policjantów jej pilnuje – nieszkodliwa. Widać ją przez okno – czarne widmo oddzielone szybą od białych widm z ogródka.

Gęsty tłum obojętnych ciekawych ludzi mrowi się po ścieżkach. Oblepiają okna, przylegają do drzwi.

Biała, kwadratem biegnąca balustrada to basen, w którym znaleziono ów dżagan. (Basen przypomina raczej grobowiec rodzinny – głęboka studnia, do której schodzi się po schodkach). W głębi mur wysoki, nieprzebyty, strzegący pilnie odrobiny wody, ziejący lodowym tchnieniem podziemia. Wymyślić tego rodzaju ozdobę ogrodu mogła tylko wyobraźnia przedsiębiorcy budowlanego, mającego się za „artystę”, upojonego prowincjonalnymi snami o potędze.

Ten grobowiec, te posągi, ta cmentarna dekoracja! Czyż to przypadek, że w takim właśnie miejscu przytuliła się zbrodnia?

Wchodzimy do willi. Tu obraz się zmienia. Zacisznie, „gemütlich”, „ujutno”, „słodko” i absurdalnie, jak w większości wewnątrz mieszczańskich. Pokój młodej panienki bez drzwi, stanowiący wnękę w holu. Czy po to, żeby młoda dziewczyna mieszkała niemal na dworze?

Okna jadalni wychodzą na kuchnię. W maluchnym pokoiku pani domu czworo drzwi. Wszystko idealnie ciasne, niewygodne i niecelowe.

W tym niewygodnym i fałszywie zacisznym wnętrzu jedno tylko zadziwia: że w ogóle mogła tam być popełniona zbrodnia. Jadalnia, gdzie spał Staś, hol, wnęka Lusi, to niemal jeden pokój. Liczyć na to, że się zabije, i to uderzeniami twardego narzędzia, nie obudziwszy Stasia, było szaleństwem. Liczyć na to, że ofiara skona bez jęku – szaleństwo.

Trudno sobie jednak wyobrazić, aby w to szaleństwo wpadła Gorgonowa, bardzo normalna i bardzo trzeźwa kobieta.

Jak to było owej nocy? Czy po tych szczuplutkich pokojach snuła się prowincjonalna lady Makbet ze świecą, ocierająca dłonie ze krwi?

W tym domu straszy nawet w biały dzień, nawet przy ludziach. Straszy nie tylko trup dziewczyny, ale i tragiczna postać kobiety pogrzebanej za życia. Straszą źli ludzie, straszy ponure, skwaśniałe małomieszczańskie życie.

Wizję lokalną Krzywicka obserwuje przez okno w salonie z innymi dziennikarzami, których nie wpuszczono do środka.

Wnętrze willi oświetlone naftowymi lampami. Wzdłuż stołu w jadalni siedzieli panowie w togach, dziwnie wyglądający na tle tego mieszczańskiego wnętrza. Przy oknie tłok, trudno się docisnąć. Widziałam przez szyby Stasia, jak markował wstawanie z łóżka i wszystkie swoje gesty czasu zbrodni. Tłukł pięścią w szklane drzwi, prowadzące z jadalni do holu, przebiegał hol, wpadał do pokoiku siostry. Zawsze w tempie ogromnie przyśpieszonym, nieprawdopodobnym, nierzeczywistym.



[^] Irena Krzywicka



[^] Wizja lokalna w Brzuchowicach. Siedzą od lewej: protokolant Ehrenpreis, sędzia Leonard Solecki, sędzia Alfred Jendl, sędzia Leonard Krupiński i sędzia Jan Ostrega. Brzuchowice, 18–19 marca 1933

Czynności Stasia trwały z pewnością o wiele, ale to o wiele dłużej, niż wyliczono ze stoperem w rękę. Każdy, kto patrzył na tego chłopca, biegającego pędem po pokojach, rozumiał, że tak się nie zachowuje ktoś świeżo zbudzony, zaskoczony, przestraszony, tracący głowę.

Jeżeli zaś działania Stasia trwały nie kilkanaście sekund, co mi się wydaje niemożliwe, ale kilka minut, to co przez ten czas robiła w ogrodzie Gorgonowa? Czemu dopiero po tak znacznym czasie usłyszał Staś brzęk tłuczonej szyby?

Jeżeli Staś ów brzęk, jak sam powiada, usłyszał, biegnąc do ojca, to powinien ją być znaleźć manipulującą przy drzwiach od werandki, a nie przy łóżku.

Nie, to wszystko się nie trzyma kupy, myślałam, wspinając się na palce, patrząc z głębi ciemnego wieczoru w oświetlone okno jadalni. Twarz tego chłopca była spokojna i nieruchoma, na żądanie powtarzał po kilka razy wszystkie swoje gesty. A przecież wzywanie się w treść tej koszmarnej nocy, a przecież ta cała komedyjka aktorska mogła łatwo szarpnąć mu nerwy. On, który rozbeczał się jak rozkapryszone dziecko, kiedy mu powiedział obrońca, że zeznaje tendencyjnie. Tu miał oczy suche, wykonywał wszystko sprawnie i składnie, dziwnie składnie i sprawnie, jeżeli się zważy, że był przed półtora rokiem jeszcze dzieckiem i że odgrywał przed obcymi ludźmi prawdziwe, tragiczne zdarzenie.



[^] Przebieg wizji lokalnej z udziałem oskarżonej Rity Gorgonowej. Widoczni m.in.: sędzia Leonard Solecki (z lewej w meloniku, jasny szalik), adwokat Józef Woźniakowski (z prawej w jasnym garniturze), prokurator Bohdan Szypuła (w jasnym kapeluszu w okularach). Brzuchowice, 18–19 marca 1933

Patrzałam z zewnątrz na jego bladą, ale spokojną twarz przemykającą wzdłuż szyby. Wykonywał gesty, gdy profesor Olbrycht, główny reżyser tego widowiska, wołał stentorowym głosem: „Lusia zabita!”. Nie mieszał się, nie płakał, nie -odmówił koszmarnego pokazu. Mocne nerwy ma ten -chłopiec.

Po chwili na tle szyby druga zjawia. Pan Zaremba z łysą czaszką, najeżoną guzami, z twarzą niezmaterializowaną dostatecznie, niewyłonioną z bryły mięsa i tłuszczu.

O, ten odegrał swoją rolę z precyzją aktora. Na progu sypialni córki pocierał czoło, wykonywał gesty rozpacz, wszystko w równie zawrotnym tempie jak Staś.

Na tle ciemnej wnęki skrwawionego ongiś pokoju postać ta odgrywająca rozpacz pośpieszną i byle jaką.

Najważniejszy eksperyment odbywa się, gdy jest już zupełnie ciemno.

Tłum ludzi w małym domku: władze sądowe, policja, prasa. Gaszą światła na kwadrans, aby wzrok patrzących przywykł do ciemności. Z daleka migoce światełko żarówki elektrycznej na posterunku żandarmerii, które rzekomo miało oświetlić postać widzianą przez Stasia. Będą sprawdzać, czy Staś mógł dojrzeć i rozpoznać tajemniczą postać w holu.

Krzywicka podczas eksperymentu stoi w pokoiku Lusi. Gorgonowa parę kroków od niej w holu.

Na dany znak przesunie się za ustawioną umyślnie choinkę, potem wymknie się za drzwi. Każą jej odgrywać scenę, w której według jej zapewnień nie brała nigdy udziału. Od wyniku tego

seansu zależy może jej życie.

Siedzimy wszyscy nieruchomo i cicho. Ciemność. Milczenie. Chłodny powiew na twarzy. Czyjeś westchnienie.

Jak można było zabić w takiej ciemności? Jak można było trafić tak celnie?

Minuty płyną. Nie widać nic.

Może Gorgonowa nie wytrzyma tego napięcia, może krzyknie, wyzna?

Czy Staś nie czuje lodowatego dreszczu po plecach? Może zapłacze dziecinnie i głośno, może zawoła: „Dajcie mi spokój. Nie chcę”.

Być może, że taka wizja lokalna jest potrzebna i że wyjaśnia wiele szczegółów, ale jest w niej okrucieństwo, przeciwko któremu buntuje się natura ludzka. Ta reżyseria wspomnienia zbrodni, to odgrywanie jej przez bezpośrednio zamieszanych ludzi – straszliwy makabryczny taniec.

Mija kwadrans.

Gorgonowa na rozkaz przesuwa się przez umówioną przestrzeń. Staś cedzi spokojnie: „Zdaje się, że widzę...”.

Nie widać nic. Nic. Nie tylko nie można rozpoznać osoby, ale nie widać nawet zarysu postaci. Ludzie i przedmioty wsiąkają w ciemność – ciemność gęstą i nieprzeniknącą.

Tragicznej nocy podobno był śnieg. Jeżeli nawet było trochę jaśniej, to i tak niepodobna było nic rozpoznać.

Staś nie mógł nic widzieć. Staś nic nie widział.

Naukowiec kontra praktyk

Kraków, piątek, 21 kwietnia 1933

Kluczowym momentem krakowskiego procesu jest pojedynek dwóch profesorów, wybitnego naukowca z wybitnym praktykiem. Warszawy z Krakowem. Państwowego Instytutu Higieny z uniwersyteckim Zakładem Medycyny Sądowej.

Profesor Ludwik Hirszfeld, odkrywca prawa dziedziczenia grup krwi i człowiek, który wprowadził do światowej medycyny oznaczenie czterech grup krwi – 0, A, B i AB – wykorzystywanych w badaniach kryminalnych na całym świecie, wadzi się z profesorem Janem Olbrychtem, który jako pierwszy medyk sądowy stosował odkrycia Hirszfelda w sprawach karnych i do ustalania spornego ojcostwa.

Ich fundamentalny spór sprowadza się w zasadzie do białej, zakrwawionej chusteczki należącej do Gorgonowej i znalezionej w piwnicy domu w Brzuchowicach. Olbrycht twierdził, że są tam ślady krwi Lusi, co przesądza o winie Gorgonowej, a Hirsz-feld – wręcz przeciwnie.

W trakcie procesu Irena Krzywicka zaprzyjaźnia się z profesorem Hirszfoldem, bo podobnie jak ona broni on Gorgonowej. Tę sympatię widać w opublikowanych przez nią tekstach.

Tak opisuje ten pojedynek:

Widzieliśmy naprzeciw siebie: lwią głowę i siwą czuprynę, młodą twarz profesora Hirszfelda i habsburski profil profesora Olbrychta. Starcie tych indywidualności było pasjonujące.



[^] Biegli sądowi profesor Ludwik Hirszfeld (pierwszy z prawej) i profesor Jan Olbrycht (pierwszy z lewej) podczas procesu w Krakowie

Zanim jeszcze profesor Hirszfeld pojawił się na rozprawie, profesor Olbrycht zdołał skupić na sobie uwagę. Każde jego słowo to filar pod akt oskarżenia.

Profesor Olbrycht zachowywał się tak, jakby sam wszystko widział. Mówił ze swadą i pewnością siebie, bez trudu przykuł uwagę sali. Przyniósł ze sobą różne aparaty, demonstrował olśnionym przysięgłym dość zagadkowe eksperymenty.

Pokazywał im fotografie widma krwi, trudne zapewne do zanalizowania nawet dla fachowców.

Obecni na sali może skłonni byłiby sądzić, że tak właśnie, z taką bezapelacyjną pewnością przemawia prawdziwa nauka, dla prestiżu wyposażona w efektowne rekwizytorium laboratoryjnych przyrządów, gdyby nie pojawienie się profesora Hirszfelda, gdyby nie jego przemówienie.

Profesor Hirszfeld jest jednym z najwybitniejszych uczonych świata. (Nie zdziwmy się, jeżeli któregoś dnia przyznają mu Nagrodę Nobla).

Jego pojawienie się na procesie stało się sensacją. (Profesor Olbrycht nie zmieszał się, nie pochylił czoła przed znakomitym kolegą, nie okazał mu kurtuazji).

Był uszczypliwy, ironiczny, dokuczliwy. Udzielał mu dobro-tliwie pouczeń, dawał rady, wskazówki. Uśmiechał się drwiąco.

Hirszfeld patrzył na niego jasnymi, zdziwionymi oczami, nie odpowiadał, nie polemizował. Nie dał się unieść gniewowi.

Rzadko zdarzało mi się słyszeć coś równie pięknego, jak jego przemówienie. Pełne głębokiej skromności, kurtuazji wobec nietaktownego przeciwnika, pełne szlachetnego

sceptycyzmu. Była w tym przemówieniu prostota człowieka, była elegancja, była czuła, serdeczna ostrożność. Tak właśnie powinien przemawiać prawdziwy uczyony.

Indywidualność profesora sprawiła, że pochłonał on uwagę wszystkich. Jego wystąpienie sprawiło, że chusteczka z piwnicy przestała mieć jakąkolwiek wartość dowodową.

Przemówienie profesora Olbrychta po uczonym warszawskim sprawiło wrażenie bolesne: brnął w uczniowskie uszczypliwości, powoływał się na jakieś dyskusje, udzielał rad i pouczeń, niezłomnie stojąc przy swoim akcie oskarżenia, bo inaczej niepodobna nazwać jego ekspertyzy.

Trzy arcydzieła

Kraków, sobota, 29 kwietnia 1933

Ostatni dzień procesu. Po szesnastu dniach rozprawy, przesłuchaniu biegłych, świadków niewiele więcej wiadomo niż po ubiegłorocznym lwowskim procesie. Żaden przełomowy dowód się nie pojawił, a nawet ich ubyło.

Obrona dąży przede wszystkim do wykazania całkowitej niewinności skazanej albo przynajmniej do stwierdzenia, że dokonała ona zbrodni w stanie niepoczytalności, że to skrajne ciężkie okoliczności pchnęły ją do tego zabójstwa. I za te ciężkie okoliczności obrona próbuje zrzucić winę na Zarembę. Kreuje go na bezdusznego potwora, który stara się w chamski sposób pozbyć się pięknej guwernantki, gdy już ją wykorzystał i mu się znudziła.

Przemówienia obrońców Gorgonowej to były trzy arcydzieła – pisze Krzywicka. – Powinny by pozostać jako klasyczne mowy polskiej kryminologii, polskiego prawa. Gdyby istniał u nas istotny kult słowa i talentu, powinno by się je wydrukować, aby nie wsiąkły w głuche mury sali sądowej, odbiwszy się bezradnie od obojętnych postaci panów przysięgłych. Kiedy słuchałam, szkoda mi było każdego zdania, każdego słowa, że mijają. Te wspiane fajerwerki talentu, dowcipu, uczucia, myśli buchnęły i zgasły.

Wszystkie ciosy trafiały w pustkę, w nic, w zero.

GORGONOWA SKAZANA.



Przewodniczący Krakowskiego Trybunału dr Jendl odczytuje wyrok, skazujący Gorgonową na 8 lat więzienia.



Gorgonowa, siedzi słamano na ławie oskarżonych, czekając na wyrok.

Zdjęcia Ag. fot. „Swiatowid”.

Przez osiem tygodni ważyły się losy Gorgonowej, dzieląc tych, którzy śledzili przebieg, tego najbardziej sensacyjnego procesu w Polsce, na dwa obozy. Jedni uważali, że jest ona niewinna i że padła ofiarą fatalnych okoliczności, inni znów, że wina jej jest murowaną i że szereg poszlak tworzy razem nieodparty dowód zbrodni.

Sąd wydał wyrok skazujący. Charakterystycznym jest, że sędziowie przysięgli głosowali jednogłośnie. Poszli jednak na kompromis. Przyjęli, że Gorgonowa mordowała w uniesieniu. Zatwierdzili winę, ale dali do zrozumienia, że proszą o niski wymiar kary.

Obrona zapowiedziała apelację. Niebawem więc rozpocznie się czwarty akt tragedji brzuchowickiej.



KREM CAZIMI
•METAMORPHOSA•

[^] Zakończenie procesu krakowskiego. Gorgonowa skazana na osiem lat więzienia

Zainteresowanie procesem – ogromne. Wielostronicowe stenogramy z każdego posiedzenia drukują wszystkie gazety, od endeckich „Nowin Codziennych”, poprzez centrowy „Ilustrowany Kurier Codzienny”, po brukowce jak łódzki „Express Wieczorny Ilustrowany”. Redakcja „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” zapowiedziała wydanie nadzwyczajne gazety zaraz po ogłoszeniu wyroku. Więc kilka tysięcy osób zainteresowanych procesem już od późnego popołudnia czeka na rogu Starowiślnej i Wielopola pod Pałacem Prasy na wydanie specjalne.

O dziewiętnastej dziesiątej sąd po raz ostatni wchodzi na salę, by odczytać wyrok. Irena Krzywicka przy stoliku prasowym notuje:

Dwupiętrowa ponura sala. Głuchną słowa i martwieje życie. Tłoczno, gorączka, oczekiwanie. Nie słycać już słów, które od dwóch miesięcy powtarzało się aż do ogłupienia: dżagan, chusteczka, szyba, grupa A, grupa 0. Skończyły się zawstydzające badania świadków, tragicomiczne utarczki uczonych, skończyły się jałowe dociekania rzeczy, których nigdy na pewno wiedzieć nie będziemy.

Wśród tych wielkich manewrów sądownictwa zapomniano o oskarżonej i teraz, na chwilę przed ogłoszeniem wyroku, nikt na nią nie patrzy. Teraz chodzi o hazard: oskarża? uniewinnia? Na finiszu obrona zdystansowała prokuratora o trzy okrażenia. Ale to nie wyścigi, gdzie zwycięstwo jest jawne. To gra w kości, to orzeł i reszka.

Dwunastu panów przysięgłych z zastygłymi twarzami. Co myślą? Co czują? I czy w ogóle...?

Panowie przysięgli dostają pytania. Panowie przysięgli wracają z powrotem, prosząc, niesyci, o większą ilość pytań. Panowie przysięgli wracają raz jeszcze, bo nie rozumieją pytań. Panowie przysięgli wracają po raz trzeci i przystępują do ogłoszenia werdyktu.

Oskarżona dygoce w swoim futrze. Adwokaci bledną. Publiczność zamiera.

Wyrok odczytuje przewodniczący Jendl:

Oskarżona Emilja Margarita dwojga imion Gorgonowa winna jest, że w nocy z trzydziestego na trzydziesty pierwszy grudnia 1931 roku w Łączkach zabiła umyślnie pod wpływem silnego wzruszenia świętej pamięci Elżbietę Zarembiankę, ugodziwszy ją kilkakrotnie twardym narzędziem w głowę, i skazuje ją na karę więzienia przez lat osiem.

Krzywicka jest poruszona: „Nie mogę się oprzeć przeświadczeniu o jej niewinności. Wina jej wydaje mi się zbyt absurdalna i nieprawdopodobna” – pisze.

Wyrok to taka przeciętna. Bo przecież bardzo, bardzo jest możliwe, że ta kobieta jest niewinna. Osiem lat to nie rewoltująca jednych kara śmierci. Osiem lat to niewprawiające innych w szal uniewinnienie. Mało to ludzi siedzi po osiem lat w więzieniu?

Pan Jendl jest rad. Panowie przysięgli są radzi. Opinia jest rada. Przystanie się wreszcie mówić o tej Gorgonowej, która już wszystkim zbrzydła.

Ale są ludzie, którzy się z tym wyrokiem tak łatwo nie pogodzą. Opinia publiczna, uspokoiona złagodzeniem kary, niedostatecznie zdaje sobie sprawę, że nadal stoimy przed kwestią: a jeżeli Gorgonowa jest niewinna? Wtedy rozpaczliwość tego wyroku jest nieodmiennie przerażająca. Musimy bronić prawa, że niewinny nie może być skazany, że nawet jeden dzień -odsiedziany przez niewinnego jest groźnym memento dla sądu.

Lepiej puścić wolno dziesięciu winnych, niż skazać jednego niewinnego.

Pół wieku później w swoich wspomnieniach pisała bez ogródek:

Bronienie Gorgonowej tak dla adwokata, jak dla eksperta sądowego czy dziennikarza było rzeczą ryzykowną. Niebawem zbiorowa histeria, podtrzymywana przez część prasy, ciągnącej z tego zyski, i przez całą opinię prawniczą, mogła być groźna. (Szkoda, że nie

zachowały się listy z pogrózkami, które wiernie odbijały klimat tego okresu i atmosferę towarzyszącą sprawie).

Krzyk rozpaczy

Jedyny wywiad z Gorgonową Krzywicką przeprowadza, gdy po jednej z rozpraw przysiadła się do niej na ławie oskarżonych. Pytała, jak znajduje siłę, by wytrzymać to wszystko.

– Mnie to już jest wszystko jedno, byleby się już prędzej skończyło – odpowiada oskarżona. – Myśli pani, że mi jeszcze zależy na życiu po tym wszystkim? Gdyby nie to dziecko... Ale i ono mi zabiorą. Jestem jak suka. Rodzę dzieci, a obcy mi je zabierają. Zaremba nie pozwolił mi się widzieć z Romusią, że niby siedzę w więzieniu. A jak sam siedział, to ją sobie kazał przyprowadzić. Pani słyszała, jak on zeznawał? Sześć lat z nim żyłam, dwoje dzieci, cztery skrobanki... Żeby przynajmniej nie kłamał tak bezczelnie. Inni niech mówią, co chcą. Nie mogłam słuchać tego, co mówi.

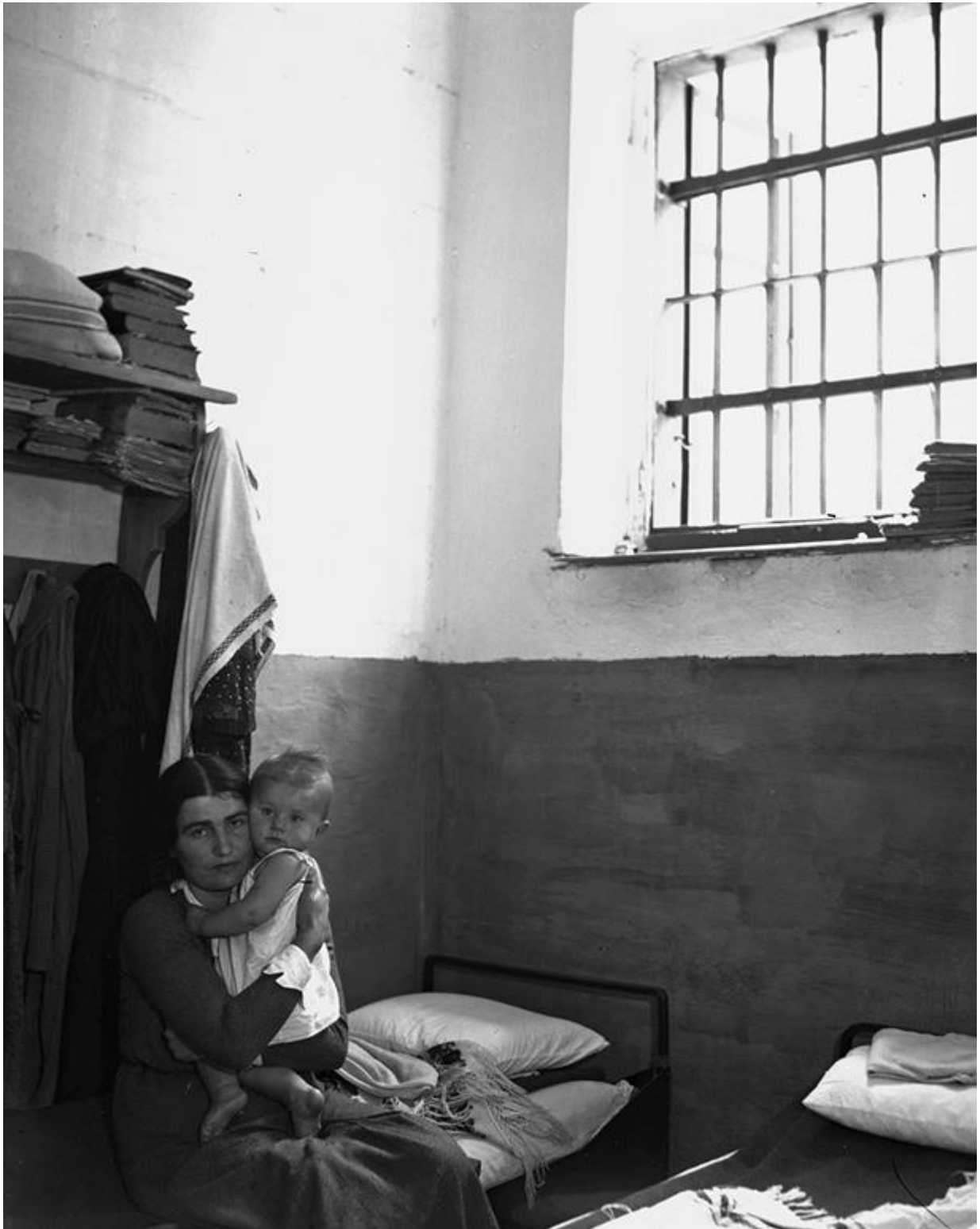
Reporterka pyta:

– Czy pani nikogo nie podejrzewa? Czy nikt pani nie przychodzi na myśl?

– Jakże ja mogę kogo podejrzewać? – odpowiada Gorgonowa. – Przecie ja chyba wiem najlepiej, co to znaczy bez winy podejrzewać. Wiem, że nie ja. Tylko tyle wiem, proszę pani.

„Drzę jeszcze na wspomnienie tych słów i tego tonu, którego niepodobna skłamać – napisała. – Dygocę cała, kiedy widzę przed sobą to spojrzenie i słyszę ten głos, w którym nie przestanę czuć prawdy. Wierzę jej, że nie skłamała, i wierzę sobie, że gdyby to było kłamstwo, tobym je poczuła.

Ten krzyk rozpaczy będzie mnie prześladował całe życie”.



[^] Więzienie Świętego Michała w Krakowie.
Rita Gorgonowa z córką Ewą, 1933

CZĘŚĆ II

2016–2017

Napiętnowana

Wiem o niej wszystko. Że urodziła się we wtorek o drugiej trzydzieści, ważyła trzy kilogramy, miała jasne włosy i zdrowo wyglądała. Gdy zaczął się poród, było wielkie poruszenie. Naczelnik kazał nawet wezwać z miasta ginekologa-położnika, ale przyszedł za późno, gdy już Wagnerowa, odsiadująca wyrok za nielegalne aborcje, odebrała poród.

Wiem, że 20 września 1932 roku z jej narodzin cieszyło się całe więzienie przy Kazimierzowskiej. I tylko jej mamie było smutno. Zapłakała i powiedziała:

– Dziecko urodzone za kratami będzie napiętnowane na całe życie.

Wiem, że swoim pojawieniem się uratowała mamie życie. Tak pisały o jej narodzinach popołudniówki. Ale też poważna prasa poświęciła temu wydarzeniu sporo miejsca. „Ilustrowany Kurier Codzienny”, najważniejsza gazeta II Rzeczypospolitej Polskiej, informację o jej narodzinach zamieścił między notką o budowanym we Friedrichshafen największym sterowcu świata (dwieście czterdzieści osiem metrów długości) a przechwałkami kapitana Karpińskiego, zapewniającego, że samotnie przeleci awionetką gigantyczną trasę z Polski do Afganistanu. I z powrotem.

Pierwsze artykuły o Ewie pojawiają się w kwietniu 1932 roku. Pół roku przed jej urodzeniem do prasy wyciekają szczegóły ginekologicznego badania jej mamy. Wszystkie lwowskie gazety piszą o tej ciąży, uspokajając czytelników, że dziecku nic nie grozi, bo zgodnie z Kodeksem karnym wyrok śmierci na matce wykonuje się w takich przypadkach dopiero po okresie połogu.

Była dzieckiem wyczekiwany i wypatrywany. Na jej przyjście na świat z niecierpliwością czekali najwięksi wydawcy gazet – ze Lwowa, z Warszawy, Krakowa, Łodzi. Przewidywali, że gdy tylko przeminie zainteresowanie matką, to na niej -skupi się uwaga czytelników i to ona będzie pompować nakłady.

Dzięki temu można dziś precyzyjnie odtworzyć pierwsze lata życia Krystyny Ewy Ilić, córki Margarity Gorgon i Henryka Zaremby, który przez całe swoje życie zaprzeczał swojemu ojcostwu.

„Nie wierzę, że mam z tą kobietą zbrodniczą dziecko, poczęte w czasie, kiedy już myślała o zgładzeniu mojego prawnego, pewnego dziecka. To jej dziecko. Nie wiem, z kim je ma. I wiedzieć nie chcę” – pisał o niej w książce.

Sprawa ojcostwa nie jest prosta do rozwiązania. Rita w momencie narodzin Krystyny Ewy jest formalnie żoną przebywającego w USA Erwina Gorgona. Mąż nie mógł być ojcem dziecka, wskazany zaś przez matkę Zaremba zarzekał się, że i on nim nie jest. Przedwojenny Kodeks cywilny takich anormalnych przypadków nie przewidywał. Dlatego dziewczynka ma wpisane do metryki urodzenia panięskie nazwisko matki – Ilić.

By je zmienić, matka musi dowieść przed sądem, że ojcem dziecka jest Zaremba. To długa i kręta droga. W imieniu małoletniej Krystyny Ewy walczy o to mecenas Maurycy Axer.

Wyrok zapada dopiero po pięciu latach. 9 czerwca 1937 roku lwowski sąd uznaje Zarembę za ojca dziewczynki i przyznaje jej alimenty w wysokości osiemdziesięciu złotych miesięcznie (naliczane od maja 1934 roku).

Niewiele to zmienia w jej życiu, bo tata nie chce jej znać. Nigdy nie uznał jej za swoją córkę. Nigdy jej nie przytulił, nigdy nie odwiedził w sierocińcu, nigdy do niej nie przemówił.

Więzienie Brygidek we Lwowie, więzienie Świętego Michała w Krakowie, Zakład Karny dla Kobiet w Fordonie w Bydgoszczy – to jej pierwsze rodzinne domy.

W Fordonie mieszka z mamą na pierwszym piętrze w celi przeznaczonej dla więźniarek z małymi dziećmi.

„Wszystkie dzieci są tu bardzo lubiane. Są jak promyczki przenikające mrok siedzących tu kobiet” – pisze o nich „Tajny Detektyw”.

Ale mama lubiana nie jest. Ma kłótlivy charakter. Nie znoszą jej ani więźniarki, ani klawiszki.

Zgodnie z przepisami Ewa może pozostawać w więzieniu tylko rok. Przez ten czas matka szuka dla niej rodziny zastępczej. Pisze listy do znajomych, przyjaciół, rodziny męża. Prosi, by zaopiekowali się jej ukochaną córką. Gdy nie ma odpowiedzi, mecenas Maurycy Axer bierze sprawę w swoje ręce. Zostaje kuratorem małoletniej Ewy i we wrześniu 1933 roku posyła do więzienia w Fordonie swoją sekretarkę. Ma przejąć dziecko i w największej konspiracji przewieźć je do Lwowa. Ewa trafia do sierocińca na obrzeżach miasta. Budynek przy ulicy Kadetów przylega do Zakładu Abrahamowiczów dla niedorozwiniętych dzieci. W pobliżu są rekreacyjne parki Lwowa i stadiony dwóch lwowskich potęg futbolowych – Pogoni i Sokoła. W sierocińcu mieszka czterysta dzieci, ale tylko pobyt Ewy jest najpilniej strzeżoną tajemnicą.

W obawie przed wścibskimi dziennikarzami zakonnice mają zakaz informowania o najbardziej znanej z podopiecznych. W szczególności zakaz obejmuje wskazywania obcym drogi do sali, w której mieszka dziewczynka.

„Strzeżona jest, jakby na to niewinne dziecko planowano jakiś zamach” – pisze „Tajny Detektyw”, którego reporter już po kilkunastu tygodniach odkrywa kryjówkę Ewy i idzie zobaczyć dziewczynkę.

„Ma piękne czarne oczy, przeważnie się uśmiecha, rzadko płacze” – pisze.

Po latach Ewa będzie pamiętać czekoladowe bombonierki i zabawki, które przynoszą jej do sierocińca nieznajomi. Przychodzą zakonnice i wywołują ją z sali, prowadzą wielkimi schodami w dół do gabinetu przyjęć, gdzie czekają na nią goście. Przynoszą prezenty i niczego od niej nie chcą. Czuje się kimś wyjątkowym. Jednak z czasem pojawia się poczucie zawstydzenia, gdy zdaje sobie sprawę, że patrzą na nią jak na zwierzątko. Dlaczego tak się dzieje, wyjaśnia jej starsze koleżanki, gdy nauczy się już mówić. Zapamięta ten dzień dokładnie. Wchodzi do wielkiej oświetlonej słońcem sali zabaw. Dzieci przerywają zabawę, zaczynają ją okrążyć, stają szczerlnie w kółeczku i wskazując na nią palcem, krzyczą: „Gorgonicha, Gorgonicha, Gorgonicha”.

Jedna z nich pyta:

– Twoja matka zabiła Lusię?

Ewa nie wie, kto to jest Lusie. Nie potrafi odpowiedzieć. Rzuca tylko ze złością klockami w podłogę.

Od tej pory zawsze już będzie bronić matki. Gdy nauczy się zaciskać pięści, będzie rzucać się z nimi na dziewczynki, które nazywają ją Gorgonichą. Zakonnice są bardzo surowe i za każdym razem za karę zamykają ją na noc ze świnią w komórce pod schodami.

(Z czasem zrozumie, że przekleństwo na „G” jest najgorszą z obelg i nie ma przed nim żadnej obrony).

Gdy miała trzy, może cztery lata, przyszły po nią w nocy zakonnice. Zniosły po schodach na dół, wsadziły do dorożki i odwioz-ły na Dworzec Główny we Lwowie. Stąd pierwszy raz wyruszyła koleją w długą drogę do obcego miasta, na którego obrzeżach stał ponury, betonowy gmach. Szła z zakonicami mrocznymi korytarzami, przechodziła przez zakratowane bramy, aż dotarła do stalowych drzwi, które wielkim kluczem otworzył pan w szarym mundurze.

Pamięta, że zobaczyła na pryczy smutną kobietę.

– To twoja mama – powiedziała do niej zakonnica i pchnęła w objęcia tej pani.

„Tak bardzo chciałam, żeby mnie przytuliła. Ale nie umiała. Jakby ktoś ją mrozem ściął, zamienił w żywą rzeźbę. Patrzyła mi w oczy. Długo, z rozdzierającym smutkiem. I na pewno z miłością, bo przecież matka kocha swoje dziecko” – opowiadała potem o tym spotkaniu w wywiadach.

Nie może sobie przypomnieć jej twarzy. Pamięta tylko bijące od niej ciepło. I to, że cela była, chyba, jednoosobowa, bo nie przypomina sobie innych więźniarek.

Po powrocie do Lwowa wysyłać jej będzie swoje dziecięce rysunki: dom, drzewo, słońce.

Mama pisze ołówkiem kopiowym na szarym papierze. Listy od niej zakonnice czytają jej zawsze przed snem. Píše, że bardzo kocha swoją małą Kropelkę, że tęskni i że dziewczynka jest jedyną osłodą w jej nieszczęśliwym życiu.

Ewa żyje wtedy nadzieją, że mama wróci i wyrwie ją z sierocińca. 1 września 1939 roku na Polskę napadają Niemcy, a trzy tygodnie później pod Lwowem są już Rosjanie.

W mieście panika. Krąży plotka, że bolszewicy będą podpalać kościoły i gwałcić zakonnice. Siostry z sierocińca zrzucają wtedy habity, zdejmują ze ścian krzyże i święte medaliki z piersi dzieci. Tak Ewa traci ostatnią pamiątkę po mamie – złoty medalik Matki Boskiej z archaniołami, który dotąd nosiła na szyi.

Dzieci całymi dniami modlą się o ocalenie w piwnicach sierocińca przy Kadeckiej. Zakonnice straszą, że jak ktoś przyzna się do wiary w Boga, to bolszewicy urwą mu język. Ale oni dzieci nie krzywdzą. Przynoszą im nawet do sierocińca smakołyki: ziemniaki i solone ryby. Represje spadają na polską inteligencję i obrońców Lwowa: pierwszych wywożą na Sybir, drugich do Katynia.

Głód nastaje dwa lata później, gdy Niemcy najeżdżają na Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Po wkroczeniu do Lwowa Wehrmacht tworzy w sierocińcu przy Kadeckiej swoje koszary. Nocą podjeżdżają pod budynek wojskowe ciężarówki. Jednymi schodami zakonnice wyprowadzają dzieci, drugimi wprowadzają się niemieccy żołnierze.

Ewa zapamięta ostatni posiłek przy Kadeckiej. Mamałygę z czarnymi wołkami zbożowymi. Potem nawet tego nie było.

Po eksmisji sierocińca dzieci przymierają głodem. Ewa codziennie wkrada się do niemieckich koszar przez dziurę w płocie i czeka pod oknem, aż żołnierze wyrzucą odpadki z garnizonowej kuchni. Można tam znaleźć kości do ogryzienia, trzeba tylko być szybszym od wygłodniałych psów.

Ma dziesięć lat, gdy w 1942 roku zakonnice pakują wszystkie podopieczne do ciężarówki i wywożą do Tarnowa, do klasztoru zakonu służebniczek pańskich.

W Tarnowie wołają na nie „lwowianki”, bo śmiesznie, po lwowsku zaśpiewują końcówki. Lwowianek jest dwadzieścia. To one zarażają miejscowe dziewczynki niechęcią do Gorgonichy.

Dzieci jej dokuczają, a ona je bije. Zakonnice uważają ją za krnąbrne dziecko. Nie chce się modlić. Często trafia do karceru w piwnicy. Każą jej klęczeć i klepać zdrowaški, różańce, godzinki. Nic to nie pomaga. Gdy tylko trafia się ktoś, kto chce ją przygarnąć, szybko się jej pozbywają z sierocińca.

Ewa trafia do dwóch staropanieńskich sióstr. Potrzebna im jest jako tania siła robocza. Do starszej ma mówić „ciociu”. Młodsza jest trochę ułomna. Mieszkają na wsi ze starą, wysuszoną, schorowaną matką, którą ciągle wstrząsają konwulsje.

Dziewczynka orze, kosi, młóci, miele. Sprząta, gotuje, nosi chrust z lasu i wodę ze studni. Zawsze w tej samej starej, podartej sukience, którą ciocia wybrała jej z łachów zostawionych przez Żydów wywiezionych do obozu. Zawsze głodna. (Ciocia jest bardzo skąpa, więc oszczędza na jedzeniu). Jak jest bardzo głodna, to zakrada się do chlewu i wybiera ziemniaki ze świńskiego koryta. Nie ma nawet łóżka. Śpi w snopku siana na strychu.

Ewa nie pamięta ucieczki Niemców. Może dlatego, że nic się nie zmieniło. Do szkoły nie może chodzić, bo ciocia mówi, że to nie dla niej. Książek też jej nie wolno czytać. Ma być parobkiem.

Na szczęście kierownik miejscowej szkoły każe jej rozpocząć naukę. Kupił jej nawet sukienkę, zimowy płaszcz i buty. Ma trzynaście lat i trafia od razu do trzeciej klasy.

Uczy się dobrze i to ją ratuje. Gdy kończy podstawówkę, wyjeżdża do Częstochowy do szkoły przysposobienia zawodowego. Mieszka tam w internacie z innymi sierotami. Trzy dni nauki w szkole, trzy dni pracy w fabryce włókienniczej. Zostaje prądką i sama się już utrzymuje.

Pod koniec lat czterdziestych zaczyna bezskutecznie szukać matki.

Ojca szukać nie zamierza. („Po tym, co nam z mamą zrobił, jest dla mnie nikim” – tak o nim mówi).

Dyrektorka szkoły pielęgniarskiej we Wrocławiu, w której rozpoczyna naukę w 1954 roku, namawia ją, by jednak odnalazła ojca i wystąpiła do sądu o alimenty.

Chce nawet to zrobić, stanąć przed nim, spojrzeć mu w oczy i zapytać: „Dlaczegoś się mnie wyparł?”.

Tylko jest za późno. Dowiaduje się, że Zaremba leży w jednym z warszawskich szpitali. Jest ciężko chory. Umiera na zawał serca 26 czerwca 1954 roku.

Śledztwo. W poszukiwaniu alternatywnej wersji wydarzeń

Już w styczniu 1932 roku zagadkę zabójstwa Lusi próbują rozwiązać reporterzy krakowskiego tygodnika „Tajny Detektyw”. Przyjeżdżają do Brzuchowic, rozmawiają z sąsiadami i ze świadkami. Rekonstruują przebieg wypadków. Szukają alternatywnej wersji. W odróżnieniu od śledczych przyjmują roboczą hipotezę, że to nie Gorgonowa zabiła, że zrobił to ktoś obcy, kto wtargnął nocą do ogrodu, wdarł się do domu, zamordował Lusię i uciekł.

A dlaczego nie zostawił śladów na świeżym śniegu? Na to też znajdują wytłumaczenie: bo zasypała je śnieżna zamieć, która tej tragicznej nocy przeszła nad Brzuchowicami. Tygodnik podaje nawet dokładny czas śnieżycy: między dwudziestą drugą a pierwszą w nocy.

„Jeżeli ktoś przedostał się na posesję podczas tej zamieci, ślady pozostawione przez tego człowieka musiały ulec pełnemu zasypaniu przez gęsto padający śnieg i nie mogły być później zauważone przez poszukującą trójkę: Stasia, ogrodnika i sierżanta Trełę” – pisze „Tajny Detektyw”.

Tygodnik przyjął, że morderca wtargnął do willi po zaśnieciu domowników, czyli po dwudziestej drugiej czterdzieści pięć. Zamordował Lusię około dwudziestej trzeciej piętnaście i uciekł przez ogród najpóźniej o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Dlatego godzinę później domownicy, poszukując mordercy, nie znaleźli już jego śladów na śniegu.

Tylko że wtedy śmierć Lusi musiałaby nastąpić nie, jak przyjęto w śledztwie, tuż przed przebudzeniem Stasia, tylko godzinę wcześniej. „Tajny Detektyw” twierdzi, że to możliwe: „Skoro nie udowodniono, kiedy zbrodniarz dokonał swego strasznego czynu, nie możemy twierdzić, iż miało to miejsce bezpośrednio przed obudzeniem się Stasia”.

Teoretycznie tak mogło być, bo lwowscy patomorfologowie podczas sekcji zwłok w ogóle nie zajmowali się tą sprawą. Przyjęli za pewnik ustalenie wezwanego do domu Zarembów doktora Csali, który około pierwszej w nocy stwierdził, że zgon nastąpił bardzo niedawno.

(W roku 1933 krakowski biegły, profesor Jan Olbrycht, na podstawie zgromadzonych dokumentów próbował precyzyjnie ustalić czas zgonu. Nie było to już możliwe. Przyjął, że śmierć dziewczynki mogła nastąpić nawet tuż po dwudziestej pierwszej trzydzieści, gdy wszyscy zasnęli).

W „Tajnym Detektywie” napisano, że zbrodni mógł dokonać psychopata i maniak seksualny, a nie Gorgonowa. Reporterzy odkrywają, że ktoś taki grasował na terenie gminy Hołosko tuż po Wielkiej Wojnie. W promieniu zaledwie kilkuset metrów od willi Zaremby dokonał czterech zabójstw nastolatek. Ostatnią była córka sierżanta Juśkiewicza ze Lwowa, którą znaleziono martwą w 1922 roku tylko sto metrów od dworca kolejowego Hołosko, w połowie drogi do willi inżyniera. Te wszystkie zabójstwa łączył jeden ważny szczegół: dziewczynki zostały przed śmiercią zdeflorowane. Stąd reporterom nasunął się wniosek, że piątą ofiarą tego samego psychopatycznego zbrodnieńca mogła być Lusja.

Wątek psychopatycznego zbrodnieńca powraca podczas procesu lwowskiego w 1932 roku, gdy na przedmieściach miasta zostaje zamordowana i zgwałcona przez nieznanego sprawcę dwunastoletnia Józefa Neuwerówna. Obrońca Gorgonowej, Maurycy Axer, twierdzi, że obie dziewczynki zginęły w podobny sposób, co jego zdaniem świadczy o udziale maniaka seksualnego w brzuchowickiej zbrodni. Trzech biegłych podczas procesu porównuje jednak oba morderstwa i nie znajduje wielu podobieństw. Główna różnica polega na tym, że Neuwerówna została zgwałcona za życia, a na Zarembiance upozorowano gwałt już po jej śmierci.

– Sprawcą nie mogła być ta sama osoba – uznają biegli.

Hipoteza o wtargnięciu obcego do domu ma poważną wadę. Gdyby nawet ktoś uporał się z lodem i śniegiem, sforsował wysoki płot, uniknął zębów pilnującego obejścia groźnego wilczura Luxa i skutecznie zatarł za sobą ślady, to nadal pozostanie zagadką, w jaki sposób miałby się dostać do zamkniętej willi.

Przez otwarty trzydziestośmiocentymetrowy lufcik w pokoju Lusi? Był zbyt mały, by ktokolwiek zdołał się przez niego precyzyjnie przesuwać.

Przez zaryglowane drzwi od werandy? Nie można było ich otworzyć z zewnątrz, a nie znaleziono na nich żadnych śladów włamania.

Od podwórza? Przez kuchenne drzwi? Też były zamknięte na klucz i spała przy nich służąca Marcelina Tobiaszówna. Obok jej łóżka przez całą noc paliła się lampa naftowa.

Czy włamywacz mógł sforsować drzwi tak cicho, by jej nie zbudzić? Czy ryzykowałby, widząc światło w oknie?

Musiałby znać rozkład mieszkania, przejść obok łóżka służącej, potem wąskim, ciemnym korytarzem do jadalni, przemknąć w odległości dwóch metrów obok śpiącego Stasia, otworzyć przeszklone drzwi do holu i wejść do pokoju Lusi. Czy psychopatyczny maniak seksualny byłby do tego zdolny? Czy potrafiłby w ciemnym holu odnaleźć rygle w drzwiach wyjściowych, otworzyć je i przez ogród uciec niepostrzeżenie obok groźnego psa?

Zakładając nawet, że włamywacz dysponował nadprzyrodzoną wiedzą, szaleńczą odwagą, niespotykanym sprytem, który pozwolił mu niepostrzeżenie uciec przez płot, to pozostaje wątpliwość, czy naprawdę opady śniegu były tak duże, że mogły w półtorej godziny zatrzeć wszystkie ślady jego pobytu.

Natężenie opadów śniegu w Brzuchowicach bada w 1933 roku krakowski sąd na podstawie danych z dwóch stacji meteorologicznych z okolic Lwowa. Żadna nie odnotowała gwałtownych śnieżyc. Wojskowi meteorolodzy z pułku lotniczego we Lwowie zarejestrowali jedynie opady drobnego śniegu. Podobnych danych dostarczyło obserwatorium meteorologiczne Politechniki Lwowskiej. (Oba punkty znajdowały się około dziesięciu kilometrów od Brzuchowic).

Jeśli przyjmiemy, że to włamywacz zamordował Lusię, to kogo godzinę później, po przebudzeniu widział Staś Zaremba? Przecież dość dokładnie opisywał kobietę w futrze, którą dostrzegł w ciemnym holu.

„Tajny Detektyw” uważa, podobnie jak Elga Kern, że była to halucynacja.

Fakt, że Staś po obudzeniu się zauważył jakąś postać, nie dowodzi jeszcze, że było to zjawisko realne. Osoby, szczególnie młodociane, nie uzyskują zaraz po obudzeniu się pełnej świadomości rzeczywistości. Wrażenia docierające w tym stanie umysłu do ich jaźni są często wyolbrzymione lub powstają nawet abstrakcyjnie. Dlatego twierdzenie, że Staś widział konkretnie taką a taką realną postać, jest ryzykowne. W holu stała choinka, panował mrok, rozprószony odrobiną refleksu białej płaszczyzny śniegu. W tych warunkach świetlnych nietrudno było o złudzenie!

Ale jak na senne złudzenie postać była bardzo realna, bo gdy wyslizgnęła się przez uchylone drzwi, zostawiła w śniegu na tyle wyraźne ślady, że godzinę później doprowadziły one wachmistrza Trelę do werandy pokoju Rity. Halucynacje takich śladów nie zostawiają.

Jeszcze jedną hipotezę podsuwa Elga Kern. Chodzi o piwnicę naprzeciwko basenu. Podczas pobytu Zarembów w Brzuchowicach nie była nigdy zamknięta na klucz. Kern przypuszcza, że napastnik mógł ukryć się w niej znacznie wcześniej, zanim domownicy poszli spać, i wyczekiwać tam na odpowiedni moment do ataku. Gdy zgasło światło, ucichły rozmowy, wyszedł z kryjówki i zabił Lusię. Nie musiał się włamywać do domu, bo z piwnicy na strych prowadzi wewnętrzna klatka schodowa. Można przez nią wejść do pokoju Lusi. Drzwi znajdują

się tuż przy łóżku dziewczynki.

Teoretycznie jest taka możliwość. Śledczy zbadali i te przypuszczenia. Wewnętrzna klatka schodowa w dniu zabójstwa była zastawiona rupieciami i bez robienia wielkiego hałasu nie można było się przez nią przedrzeć. A nawet jeśliby się to komuś udało, to kolejną barierę stanowiły właśnie drzwi do pokoju Lusi. Zamknięte na klucz, zasłonięte kilimem, zabarykadowane bieliźniarką. Nie było szans, by je otworzyć bez budzenia domowników.

Dlatego śledczy od samego początku przyjmują za główną hipotezę, że Zarembiankę zamordował ktoś z domowników. Wątek wtargnięcia zabójcy z zewnątrz jest tak nieprawdopodobny, że nawet obrońcy Gorgonowej nie próbują go dalej eksploatować. Wolą drążyć tezę, że zabójstwa dokonał ktoś z domowników. Z tym że wykluczają, by była to ich klientka.

Ale jeśli nie Gorgonowa, to kto?

Gorgonicha

„Miła, przyjemna dziewczyna, ale żyje w cieniu nie swojej sławy i usiłuje wyjść z jej kręgu” – pisze redaktor Czesław Ostańkiewicz z wrocławskiego tygodnika „Sygnały”. W roku 1957 odnalazł córkę Gorgonowej w niewielkiej wsi Kamionki na Dolnym Śląsku. Ewa ma dwadzieścia pięć lat. Pracuje w domu wypoczynkowym Funduszu Wczasów Pracowniczych. Jest podkuchenną.

Niech pan pomyśli, redaktorze, być ciągle samą. Zawsze bez nikogo. Z takim życiorysem jak mój – tłumaczy dziennikarzowi. – Chcę jak wszystkie inne dziewczęta mieć matkę. Czy to takie dziwne? Przecież ona mnie kochała. Jak przez mgłę przypomina mi się jej zapłakana twarz. Wysyłałam jej do więzienia malowane w ochronce rysunki.

Muszę odnaleźć matkę! Chociażby dlatego, że tylko ona może mi powiedzieć prawdę o tragedii brzuchowickiej. Ja nigdy nie wierzyłam w to, że ona zamordowała.

Reportaż Ostańkowicza to przypowieść o bezgranicznej miłości córki do nieznannej matki. Ewa, która nie pamięta nawet, jak matka wygląda, szuka jej po całym świecie i bierze na siebie wszelkie cierpienia i poniżenia, które z powodu czarnej legendy matki na nią spadają.

Historia piętna, które nosi na sobie córka morderczyni, zaczyna się pod koniec lat czterdziestych XX wieku w częstochowskiej fabryce włókienniczej. Przyjaciółka z zakładu przynosi siedemnastoletniej Ewie przedwojenną broszurę o sprawie Gorgonowej. Z niej dziewczyna po raz pierwszy dowiaduje się, co stało się w Brzuchowicach. Jest wstrząśnięta. Boi się, że zostanie rozpoznana. Rzuca więc pracę w fabryce, ucieka do Wrocławia. Uczy się w szkole pielęgniarskiej, praktyki odbywa w szpitalu w Dzierżoniowie. Tutaj podczas jednego z dyżurów zdarza się bardzo nieprzyjemny incydent.

Gdy podchodzi do chorego chłopca z kieliszkiem lekarstw w ręce, podbiega do niej nieznana kobieta i krzyczy:

– Nie pozwolę, by mojemu dziecku podawała leki córka morderczyni.

Więcej do szpitala Ewa nie wraca. Ucieka do Pieszyc.

Pracuje jako asystentka stomatologiczna w ośrodku zdrowia. Poznaje miłego chłopca, zakochują się w sobie. Narzeczony jest postępowy, więc gdy Ewa zwierza się ze swojej największej tajemnicy, macha tylko ręką. „W żaden sposób zbrodnia matki nie może obciążać córki” – odpowiada. Prosi tylko, żeby nie wspominać o tym jego matce, bo ona jest mniej postępową. Narzeczeni utrzymują tajemnicę aż do odwilży 1956 roku. Wtedy to najpoczytniejszy w Polsce tygodnik „Po Prostu” znów opisuje historię morderstwa w Brzuchowicach. I na nowo cała Polska interesuje się Kropelką. W końcu Ewa zostaje zdemaskowana.

Postępowy narzeczony przestaje ją odwiedzać. W Pieszycach mówią, że jest dziedziczką złej sławy i nawet bez premedytacji własne dziecko może zadusić, bo to ma we krwi.

Gdy Ostańkiewicz odnajduje ją w Kamionkach, mówi mu z żalem:

– Tu jest cicho. Ludzie rozjeżdżają się stąd po dwutygodniowym turnusie i nie mają czasu interesować się, kim była pod-kuchenna, którą tutaj spotkali. Oni na pewno nie przypomną mi sprawy Gorgonowej. Chyba że po pańskim reportażu wszystko się zmieni. Może znów będę sławna jak wtedy, kiedy koleżanki czytały na głos rewelacje o Kropelce? Może znów szeptać będą, że to ja – córka morderczyni Lusi?

Reportaż Czesława Ostańkowicza zmienia życie Ewy.

W listopadzie 1957 roku przedrukowuje go bardzo popularny w kraju miesięcznik „Magazyn Polski”. O Ewie, która zaszła się w Kamionkach, dowiaduje się wtedy cała Polska,

a nawet świat. „Magazyn Polski” trafia również do dużych skupisk Polonii w Afryce, Europie, Australii i w obu Amerykach. Poruszony losem córki Gorgonowej jest polski emigrant w Stanach Zjednoczonych Józef K., który wysłał do niej list ze słowami wsparcia i dolary.

Wkrótce się w Ewie zakocha i zaprosi ją do Ameryki. Ale zanim się to stanie, do Kamionek przychodzi telegram z Warszawy: „Ciebie odnalazłam. Matki bezskutecznie szukam. Twoja siostra Roma”.

Ewa wpada w euforię po odnalezieniu starszej siostry. Pakuje tobołek, jedzie do Warszawy. Romusia ma dwadzieścia dziewięć lat. Mieszka z mężem inżynierem i siedmioletnią Grażynką niedaleko dworca w nowo wybudowanym bloku przy ulicy Nowolipki.

Po raz pierwszy Ewa widzi siostrę w uchylonych drzwiach mieszkania. Jest do niej trochę podobna, ale niższa. Ma ciemne włosy i jasne oczy po ojcu.

Mieszkanie jest ciasne. Rodzina Romusi gnieździ się w jednym malutkim pokoju. Drugi – większy – zajmuje współwłaściciel mieszkania.

Wieczorem Romusia rozkłada siostrze łóżko polowe we wspólnym pokoju i prosi ją, żeby została na dłużej. Na początku jest jak w bajce. Siostry lgną do siebie, poznają się, odkrywają i kochają, żyjąc razem w dwunastometrowym pomieszczeniu.

Im bardziej się kochają, tym więcej rozmawiają o rodzicach. Ewa broni matki, Romusia – ojca. Kto bardziej winny, kto kogo zdradził? Kłótnie są coraz głośniejsze, brutalniejsze. Rośnie wzajemna niechęć. Ewy do Romy, Romy do Rity, Ewy do ojca. W końcu przestają ze sobą rozmawiać.

Józef z Ameryki też traci zainteresowanie Ewą. Odwołuje swoje zaproszenie do USA. Na pożegnanie pisze, że wszystkiego, co najgorsze, dowiedział się o niej z listu z Polski. Ewa podejrzewa o donos Romusię i wyprowadza się z Nowolipek. Zamiast do Ameryki jedzie do Trzebiatowa nad morzem. Tu w 1966 roku rodzi się jej jedyna córka – Margarita. Imię dostaje po babci. Ewa jako samotna matka dostaje od miasta kłitkę na strychu w poniemieckiej kamienicy. Małą, obskurną i bez okien. To jej pierwsze własne mieszkanie.

W 1977 roku na ekrany polskich kin wchodzi film Janusza Majewskiego *Sprawa Gorgonowej*. Reżyser precyzyjnie odtwarza w nim noc z 30 na 31 grudnia 1931 roku i dwa procesy – lwowski i krakowski – ale o winie nie przesądza. Skupia się raczej na wątpliwościach i pokazaniu, że niezbitych dowodów w tej sprawie nie było. A skoro nie ma dowodów, nikogo nie można skazać. To najważniejsze przesłanie tego filmu. *Sprawę Gorgonowej* Ewa po raz pierwszy ogląda w kinie „Morskie oko” w Trzebiatowie. Na ekranie pojawia się jej najbliższa rodzina. Matka ma twarz Ewy Dałkowskiej, a ojciec – rysy Romana Wilhelmiego. Staś w filmie jest delikatny, Lusia – rezolutna.

Gdy Ewa widzi na ekranie, jak traktowali matkę po aresztowaniu, łzy cieką jej po policzkach. W trzebiatowskim kinie nikt nie wie dlaczego.

I znów interesują się nią dziennikarze. Szukają jej, by dowiedzieć się, co myśli.

Do mieszkania na strychu z bukietem kwiatów przychodzi reporter czasopisma „Prawo i Życie” Edmund Żurek.

Urodziłam się w więzieniu, żyłam bez matki i ojca, bez bliskich i krewnych, bez domu, ze straszliwym piętnem córki morderczyni – opowiada mu swoją historię. – Przez całe lata czułam się jak zwierzę, przepędzana, bita, głodna. Urodzona w więzieniu, córka skazanej za morderstwo, powinnam umrzeć w kryminale lub na śmietniku. Człowiek potrafi jednak dźwigać ciężar życia, chociaż przekracza on jego siły.

„Ewa nie wierzy w winę matki – notuje Żurek i przytacza jej najważniejszy argument: – Rita Gorgonowa nigdy nie uderzyła dziecka, więc czy mogła zabić siedemnastoletnią Lusie, którą się opiekowała, i to w tak okrutny, podstępny, haniebny sposób?”

Śledztwo. We Lwowie

Cmentarz Łyczakowski, kwatery numer 53, obok grobowca rodziny Kubajewiczów-Szczerbów z czerwonego piaskowca. Grób Elżbiety Zarembianki leży po prawej stronie w drodze na cmentarz Orłąt Lwowskich. Skromny. Bez ozdób. To mogiła otoczona betonowym fundamentem z wbitym w nią krzyżem zespawany z rurek. Na krzyżu ta sama przedwojenna biała tabliczka informująca o niewinnej ofierze mordu. Wygasłe znicze, sztuczne kwiaty przewiązane biało-czerwoną wstążką. Znak, że ktoś tu bywa.

W administracji cmentarza nie wiedzą, kto odwiedza grób Lusi, kto składa kwiaty i pali znicze. Na pewno nikt go nie zlikwiduje, bo cmentarz jest już zabytkiem.

Pierwsze wrażenie ze Lwowa: wszystko jest blisko siebie. Żeby przejść spod kościoła Bernardynów, z którego wyruszył kondukt z trumną Zarembianki, do Pałacu Sprawiedliwości, w którym sąd skazał Gorgonową na śmierć, wystarczy przeciąć plac Halicki, skrócić w lewo i już jest ulica Kniazia Romanowa (dawniej Batorego). Pod trzema wielkimi oknami na pierwszym piętrze, pod frontonem z alegoryczną rzeźbą sprawiedliwości, w maju 1932 roku stał tłum lwowian, domagając się śmierci Gorgonowej.

Teraz jest tu Państwowy Uniwersytet Politechnika Lwowska. Korytarz na pierwszym piętrze wygląda jak wnętrze klasztoru. Suną po nim tabuny ukraińskich studentów. Przed dawną salą rozpraw numer 1, w której ważyły się losy Gorgonowej, stoi figurka Matki Boskiej z wiankiem kwiatów we włosach. Drzwi do sali zamknięte są na kłódkę. Przez szparę widać, że trwa tam remont generalny i że z dawnego wystroju sądu została już tylko ciemnobrązowa boazeria na ścianach.

Dawny klasztor Karmelitów, w którym było więzienie, znajduje się w podwórzu. Oprócz Gorgonowej przebywało w nim kilku późniejszych ministrów II Rzeczypospolitej Polskiej. „Ponury gmach” – pisali o nim dziennikarze relacjonujący proces. Teraz stoją tu blaszane garaże, a dawne więzienie przerobiono na korporacyjny biurowiec.

Do Brygidek przy Horodockiej (dawniej Kazimierzowskiej) też nie jest daleko. Trzeba przejść aleją Wolności, obok dawnego Teatru Wielkiego. Więzienie wygląda jak na starych fotografiach w „Tajnym Detektywie”. Od frontu nadal może uchodzić za klasztor, ale gdy ogląda się je od strony dawnej ulicy Karnej (dziś Dymitra Daniliszyna), to widać już druty kolczaste, kraty, blendy i tabliczkę informacyjną Państwowej Penitencjarnej Służby Ukrainy.

Przed dawną bramą główną, gdzie zatrzymywały się kiedyś więźniarki, można przeczytać na blaszanej tablicy, że NKWD zamordowało tu ponad tysiąc Ukraińców, Polaków, Żydów i Austriaków. Ale o Gorgonowej ani słowa. We Lwowie to nazwisko z niczym szczególnym się nie kojarzy.

Nie może być pan tym zaskoczony – pisze Irina Pokazanowa, Rosjanka ze Lwowa, która interesuje się sprawą Gorgonowej. – Po wojnie ludność Lwowa uległa wymianie: wielu Polaków opuściło Polskę, a Żydzi – zginęli. Ich miejsce zajęli Rosjanie, którzy przyjechali ze wschodu, i Ukraińcy z okolicznych wiosek. W szkołach nie uczono historii Lwowa, a to, co się tu działo w 1939 roku, gdy wybuchła II wojna światowa, nazywano w naszych podręcznikach „zjednoczeniem Ukrainy”. O tym, co było wcześniej, rzadko wspominało. To skąd ludzie mieli się dowiedzieć o Gorgonowej?

Znalazłem ją przez internet, bo na swoim blogu bardzo szczegółowo opisywała historię guwernantki z Brzuchowic.

Na pytanie, dlaczego odpisuje ze Lwowa po rosyjsku:

„Nic osobistego. Niezwykła, tragiczna historia i film o niej, który obejrzałam. To była konieczność. Musiałam się tym zająć”.

Od niej wiem, że we Lwowie nie ma żadnych dokumentów, zapisków, akt ani świadków, którzy by cokolwiek mogli pamiętać. („Trzeba ich było szukać dawniej, a teraz nie ma już kogo pytać”). Ona sama zaś od wielu miesięcy prowadzi prywatne śledztwo w sprawie ulicy Marszałkowskiej, przy której stała willa Zaremby.

To nie takie łatwe, bo podczas wojny budynek został zdewastowany (nie wiadomo, czy podczas bombardowania, czy wizyt złodziei), po wojnie rozebrany i rozkradzony. Tak jak wiele innych budynków w Brzuchowicach. W miejsce starych domów stawiano nowe, zmieniała się sieć i nazwy ulic. A ostatni Polacy, którzy mogliby pamiętać zdarzenia związane z historią Gorgonowej, wyjechali stąd w latach siedemdziesiątych. Porównywanie starych map z nowymi też nic nie daje – nie mają punktów wspólnych i nie współgrają ze sobą. Pokazanova szukała dalej.

Jeśli uważnie spojrzysz na zdjęcia willi z czasów dochodzenia, to widać tam w tle miejsce, gdzie później będą biwakowali radzieccy pionierzy – pisze do mnie w kolejnym mailu. – Czyli dom Zaremby stał w pobliżu obozu pionierskiego. A gdzie stał ten obóz, powiedział mi dawny mieszkaniec Brzuchowic. Opowiadał, jak chodził na gruzы willi Zaremby. Zostały po niej tylko fundamenty. Przetrzywały za to basen i fontanna.

Wysłała zdjęcie pokrytego papą pomarańczowego, betonowego baraku.

„To posterunek żandarmerii przy ulicy Marszałkowskiej 47. Według mapy z 1914 roku stał w pobliżu domu Zaremby – pisze Pokazanova, która rozgryzła właśnie całą tajemnicę: – Polska ulica Marszałkowska to ukraińska Zapaszna, a dawny numer 50 to teraz 8. Tu stał dom Zaremby”. Odnalazła go i wysłała współczesną fotografię.

„Na starych fotografiach willa ma charakterystyczne półokrągłe ściany przy oknach i ten dom na zdjęciu również. Widać został odbudowany na tych samych fundamentach. To nie może być inny adres: tylko Zapaszna 8” – zapewnia.

Do Brzuchowic można dojechać już tylko marszrutką, przerobionym rozklekotanym mercedesem ciężarowym, który jest skrzyżowaniem polskiego pekaesu z prywatną taksówką. Przystanek linii numer 8 spod cerkwi Świętej Anny we Lwowie. Do centrum Brzuchowic jedzie się kwadrans.

Na miejscu nie ma wiejskich domków, zagród, prowizorki. Tu nie siedzą na gankach otulone w chusty kobiety. Wszędzie bije w oczy bogactwo. Lakierowane dachówki, kute bramy, mansardy, otwierane pilotem garaże i zamontowane przy furtkach kamery. Budowane na wzór średniowiecznych zamków, rezydencji amerykańskich, szlacheckich dworów. Dużo szkła, marmuru, chromowanej stali. Taki lwowski Konstancin, tylko z nowo-bogackim przepychem.

Nic tu nie przypomina ulic i domów ze starych fotografii. Nie ma żadnego punktu odniesienia.

Nikt tu nie słyszał też o Gorgonowej, inżynierze Zarembie, Lusi ani o najgłośniejszym procesie w II Rzeczypospolitej Polskiej. Nikogo nie interesuje, kto mieszkał tu wcześniej, jak nazywały się ulice, dokąd prowadziły. Nikt tu nie wie nawet, że był tu kiedyś posterunek żandarmerii.

Idę zgodnie z instrukcją Iriny ulicą Zapaszną. Za radzieckim betonowym płotem stoi nowoczesny piętrowy dom z czerwoną blachodachówką. Ogromna działka, na której rosną sosny. To właśnie tu stała willa Zaremby. Przez dziurę w płocie nikogo nie widać. Nikt nie odpowiada na dzwonek domofonu.

====aF05DD5aOQ9pWGBZb1s+DDtdalk7D2wJOVhgBDcBZVY=

Ja, córka Rity

Zanim pojechałem do Trzebiatowa, małego nadmorskiego miasteczka, znalazłem w internecie zdjęcia Ewy. W 1933 roku jest jasnowłosym aniołkiem w białej sukience na rękach mamy. Wygląda jak duża lalka. Matka stoi w cieniu wielkiego drzewa obok eleganckiego mężczyzny w staroświeckim garniturze. To warszawski adwokat Mieczysław Ettinger, jej obrońca. Uśmiecha się do dziewczynki, trzymając ją za rączkę. (Zdjęcie zrobiono w słoneczny dzień na dziedzińcu więzienia).

Na drugiej fotografii są szare ściany, żelazne więzienne prycze i matka pochylająca się nad blaszaną wanienką, z której śmieje się do fotografa malutka dziewczynka. To Ewa.

Osiemdziesiąt trzy lata później wspinam się na drugie piętro ponemieckiej kamienicy, otwiera mi drzwi i patrzy na mnie przez grube szkła okularów.

Siedzimy przy bożonarodzeniowej choince, bo właśnie skończyły się święta. Czarno-biała fotografia matki z bukietem kwiatów wisi nad telewizorem. To jedyna pamiątka po niej. Ten portret przysłał jej czytelnik, który przeczytał gdzieś, że matki w ogóle nie pamięta.

W gazetach piszą o niej wciąż „Kropelka”, choć nikt do niej już tak nie mówi. Denerwuje ją, że dziennikarze wszystko przekręcają i ciągle pytają o to samo:



[^] Więzienie Świętego Michała w Krakowie. Gorgonowa z córką Ewą na dziedzińcu więziennym, 1933

– Skąd pewność, że to nie matka zabiła?

„Ja po prostu wiem” („Wprost”) – mówi, odpowiadając pytaniem na pytanie: „Czy gdybym była dzieckiem zbrodniarki, wyszłabym na ludzi? Miałam tysiąc okazji, by się stoczyć na dno i jakoś poradziłam sobie” („Gazeta Wyborcza”).

Osiemdziesięcioletnie życie Ewy Ilić można podzielić na dwa okresy – w pierwszym szukała matki, w drugim – jej grobu. Zamknęła dziś swój kiosk z galanterią skórzaną na rynku, by mi o tym opowiedzieć.

– Zależy mi, by jak najwięcej pisać o tym, że była niewinna i że ją tym wyrokiem bardzo skrzywdzono. Od najmłodszych lat to wiedziałam – wyjaśnia.

Przenosimy się do roku 1931. Orowadza mnie po willi, którą oboje znamy z tych samych książek, artykułów, wspomnień. Snujemy się po obejściu, po zakamarkach domu, przez hol, w którym stoi choinka, przez szklane drzwi, przez jadalnię, do pokoju mamy, a potem dalej do pokoju Zaremby. Poznajemy domowników i odprowadzamy Elżunię do snu. Gasimy światło i zasypiamy z jej matką. Budzi nas krzyk Stasia. Podchodzimy z nim do szklanych drzwi. Do jadalni wbiega Zaremba. I wszystko rozpoczyna się od początku.

Mieszkająca w Szczecinie córka Ewy Margarita, do której zatelefonowałam przed przyjazdem do Trzebiatowa, prosi, żeby mamy zbytnio nie męczyć. Mówi, że źle znosi rozdrapywanie ran:

– Wy wyjeżdżacie, a ona potem z tym zostaje.

Więc nie męczę jej pytaniami. Siedzę na wersalce i słucham.

O jej bezwarunkowej miłości do matki, której nawet nie pamięta. O wielkiej do niej tęsknocie i niezwykłym przywiązaniu.

Podziwiam, jak ze strzępków tka jej wyidealizowany portret, bez rys i skaz. Jak o wszystko obwinia Zarembę. I wciąż ma do niego żal, że ją zostawił i nigdy nie wyciągnął do niej ręki. Że przez niego była poniewierana, poniżana, cierpiała głód i nigdy nie zaznała ciepła prawdziwego domu.

– To bardzo zły i podły człowiek – stwierdza.

Opowiada o poszukiwaniach matki i o życiu, które na to poświęciła. I o największym jej marzeniu, które się nigdy nie spełniło – żeby kiedyś się do niej przytulić.

Szukała jej od zawsze, od kiedy pamięta, od czasu gdy w końcu lat czterdziestych ubiegłego wieku przeczytała w gazecie, że być może matka uciekła do Jugosławii. Poszła wtedy zapytać o to na komisariat milicji i tam ją zaaresztowali, podejrzewając, że jest szpiegiem marszałka Tity.

Pisała do prokuratury, do sądów, do ambasady jugosłowiańskiej, do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Znalazła paryski adres pisarki Ireny Krzywickiej, która w latach trzydziestych broniła matki na łamach „Wiadomości Literackich”.

„Przez wiele lat poszukiwałam Panią, tak jak swoją matkę. Matki do dzisiaj nie odnalazłam. Czy wie Pani coś o niej?” – pytała w liście.



[^] Ewa Ilić z córką Margaritą Ilić-Lisowską

„Walczyliśmy wspólnie o uniewinnienie Pani Matki wraz z profesorem Hirszfeldem (biegłym) oraz adwokatami: Axerem, Ettingerem i Woźniakowskim, niestety na próżno, głos kołtuństwa był silniejszy, a potem wojna – pisała z Paryża Krzywicka. Ale bez żadnych konkretów. – Co się stało z Pani Matką, nie mam pojęcia”.

Ewa zaprzestaje poszukiwań w latach siedemdziesiątych.

– Bo wszędzie, gdzie piszę, nic o niej nie wiedzą. Widać, że mama już wtedy nie żyje.

– Skąd ta pewność?

– Gdyby żyła, na pewno by mnie znalazła.

Teraz zostało jej już ostatnie marzenie – przed śmiercią oczyścić matkę ze wszystkich zarzutów.

– Po tym, czego dowiedziałam się przez całe swoje życie, wiem, że matka była niewinna. Wiem to na sto procent. Nie było przeciwko niej żadnych dowodów i nie można mówić, że jest morderczynią – denerwuje się.



[^] Archiwum Ewy Ilić. Zdjęcie ojca Henryka Zaremby, Ewa Ilić w młodości i jej matka Rita Gorgonowa

Nie przyjmuje do wiadomości, że to zeznania Stasia pogrążyły jej matkę.

– Staś sam był mordercą – mówi. – Zrozumiałam to, gdy odtwarzałam sobie to, co tam się stało. Przez całe życie o tym myślę. Wiem, że rozpęta się z tego burza, ale tak właśnie było. To musiał być on. I na pewno wiedział o tym Zaremba. Ale co mu zależało pogrążyć mamę, żeby ratować własną rodzinę? Dlatego potrzebny jest teraz proces, by oczyścić mamę i ją zrehabilitować. Moja córka z początku nie chciała się tym zająć, potem nie mogła znaleźć adwokata. Rok temu zapaliło się dla mnie światełko w tunelu, bo znalazł się prawnik, obiecał pomoc. Podpisałam pełnomocnictwo i czekam, aż zbierze dowody i wystąpi do sądu o uniewinnienie mamy. Chciałabym tego doczekać.

Śledztwo. Czy mógł to być Staś?

Na fotografiach z pierwszego lwowskiego procesu młody Zaremba w ciut za dużym garniturze wygląda jeszcze jak wyrosnięte dziecko. Sprawia wrażenie raczej prymusa niż chuligana. Ma wtedy czternaście lat. Czy mógł zabić starszą siostrę? Takie pytanie nigdy nie padło na sali sądowej.

Dlaczego miałyby to zrobić? Byli przecież ze sobą niezmiernie zżyci. On był w nią wpatrzony. Ona mu matkowała. Była jego opiekunką i przewodniczką. Chłopak nie miał żadnego motywu.

No i jak taki kruchy chłopiec, który w sądzie łkał jak małe dziecko, miałyby znaleźć siły, by dokonać tak strasznej zbrodni, zatrzeć ślady, udawać obojętność i kłamać przez wiele miesięcy? Czy gdyby zabił, stawiałby cały dom na nogi? Po co miałyby zwracać na siebie uwagę? Zależałoby mu przecież, żeby nikogo nie obudzić, wślizgnąć się cicho do łóżka i czekać do rana, aż ktoś inny odnajdzie martwe ciało.

Czy śledczy przed osiemdziesięciu pięciu laty rozważali możliwość, że mógł to być on? Jeśli byli profesjonalistami, na pewno tak. W aktach nie ma po tym żadnego śladu. Nawet ówczesne brukowce, snujące najbardziej fantastyczne spekulacje, nigdy nie posunęły się tak daleko, by publicznie stawiać pytanie: czy brat z siostrą mogli żyć w kazirodczym związku?

Gdyby tak było, można by przyjąć, że feralnej nocy w pokoju Lusi doszło do czegoś między rodzeństwem i wydarzyło się coś, co wymknęło się im spod kontroli, doprowadzając do tej tragedii. (Nawet wtedy trudno byłoby jednak wyjaśnić, dlaczego Staś swoim krzykiem wszystkich obudził).

„Sprawy seksualne dotąd go nie obchodziły” – pisze w przygotowanej na zlecenie sądu opinii psychologicznej doktor Marcin Zieliński. Wynika z niej, że Staś lubi dom, prace techniczne, zna się na konstrukcji radia. Po przyjściu ze szkoły bawi się robotami mechanicznymi, które sam konstruuje.

Modli się często w kościele („Modlitwa jest podziękowaniem i prośbą do Boga”). Spowiada się systematycznie („Grzech jest przekroczeniem praw boskich”; „spowiedź jest oczyszczeniem z grzechów”).

Nieśmiały, wstydlivy, flegmatyczny, roztargniony, płaczliwy – charakteryzuje go doktor Zieliński.

Czy ktoś taki mógłby zabić z zimną krwią własną siostrę?

Opinia biegłego Zielińskiego jest bardzo ważna, bo uwiarygodnia zeznania głównego świadka oskarżenia i potwierdza jego znakomitą pamięć.

Doktor Zieliński kazał zapamiętywać młodemu Zarembie ciągi cyfr, a potem na żądanie je powtarzać. W owym teście Staś wypadł rewelacyjnie. Sześciocyfrową kombinację był w stanie bezbłędnie powtórzyć nawet po ośmiu minutach. „Świadczy to o bardzo dobrej pamięci chłopca” – pisał Zieliński.

I jeszcze jedno: biegły nie stwierdził, by badany miał omamy. Co więcej, podkreślił, że szczególnie dokładnie zapamiętał to, co wydarzyło się zaraz po przebudzeniu, bo i to sprawdzano.

Zacierając ślady?

Ostatni urzędowy ślad pochodzi z niedzieli 3 września 1939 roku. To wpięta do akt sucha, sądowa notatka, że przed odbyciem całości kary skazana opuściła poznańskie więzienie przy ulicy Młyńskiej 1. Jest jednym z tysięcy więźniów kryminalnych, którzy po napaści Niemców na Polskę skorzystali z amnestii ogłoszonej przez prezydenta Ignacego Mościckiego.

Gdy otwierają się przed nią więzienne bramy, ma trzydzieści osiem lat i troje dzieci: dwudziestodwuletniego Erwina odebranego jej przez rodzinę Gorgonów, jedenastoletnią Romusię odebraną jej przez Zarembę i siedmioletnią Krystynę Ewę odebraną jej przez państwo. Z listów docierających do więzienia wie, że Erwin jest ciężko chory i leży w szpitalu w Bystrej na Śląsku. Losów dwóch córek nie zna. Nie ma pieniędzy, domu, rodziny, przyjaciół. Zostało jej tylko nazwisko, które wszędzie, gdziekolwiek się pojawi, budzi niechęć.

Nie może wyjechać z Poznania, bo miasto jest na linii frontu, a potem wkraczają do niego Niemcy. Wielkopolska staje się Krajem Warty w wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Terror, prześladowania, deportacje. Tak zaczyna się szeroko zakrojona akcja wysiedlania ćwierci miliona Polaków do Generalnego Gubernatorstwa.

W styczniu 1940 roku rozpoznaje ją przez więzienny wizjer strażnik poznańskiego sądu Jan Jakubowski. Siedzi w celi na taborecie ze spuszczoną głową („Czarne włosy, czarny pulower, spódnica z pepity, buty na małym obcasie”). Gdy Jakubowski proponuje jej ucieczkę, zdecydowanie odmawia:

– Dla mnie nie ma ratunku. Jestem Gorgonowa – odpowiada i cofa się w głąb celi.

„Z całego zdarzenia i biegu sprawy trudno wywnioskować, czy Gorgonowa została przy życiu” – pisze w liście do redakcji „Prawa i Życia” Jan Jakubowski.

Dowodem na to, że jednak przeżyła, jest notka *Gorgonowa – ofiarą oszusta* na przedostatniej stronie „Kuriera Częstochowskiego” z piątku 18 października 1940 roku.

Gazeta pisze o wizycie Gorgonowej w komisariacie policji na warszawskim Powiślu. Zgłasza kradzież złotego pierścionka wartości stu złotych. Jako miejsce zamieszkania podaje schronisko dla bezdomnych przy ulicy Czerniakowskiej.

Nie wiadomo, jak dotarła do Warszawy, z czego się utrzymuje i czy próbowała się przedrzeć do znajdującego się pod radziecką okupacją Lwowa, by szukać tam Ewy.

W 1941 lub 1942 roku widział ją w sądzie w warszawskim Lesznie Michał Horoszewicz. O kradzież torebki oskarżyły ją pensjonariuszki przytułku przy Czerniakowskiej. Proces też był poszlakowy. Żadna z tych kobiet nie widziała kradzieży, ale przypuszczały, że musiała to zrobić Gorgonowa. Zgodnie zeznały, że obciąża ją zbyt długie przebywanie w toalecie, szum spuszczonej wody i szelest papieru. Sąd Gorgonową uniewinnił.

Trzydzieści lat później swoimi wrażeniami z procesu Horoszewicz podzielił się z czytelnikami „Prawa i Życia”: „Odnosiłem wrażenie, że po stwierdzeniu kradzieży podejrzenia wszystkich lokatorek schroniska automatycznie skierowały się na tę, która nosiła zbyt głośne nazwisko, by roztopić się w tłumie”.

Nie wiadomo, kiedy i dlaczego wyjeżdża z Warszawy. Czy powodem jest upokorzenie procesem o kradzież torebki?

Śledztwo. W archiwach

Znajdujące się do 1941 roku w Sądzie Okręgowym w Krakowie akta procesowe zaginęły w czasie wojny. Ostatni ślad prowadził do Warszawy, gdzie ściągnęły je niemieckie władze okupacyjne, gdy Gorgonowa stanęła przed sądem oskarżona o kradzież. Z powrotem już nie wróciły. Ukrył je przed Niemcami jeden z lekarzy pracujący w krakowskim Zakładzie Medycyny Sądowej. Nie znam jego imienia ani nazwiska, ale to dzięki niemu mogę teraz w krakowskim archiwum państwowym zamówić zespół archiwalny sprawy karnej IV 1K. 258/32.

To tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt numerowanych kart w siedmiu tomach. Wśród nich fotografie krwawych plam na ścianach, spracowanych kobiecych dłoni z wyszczerbionymi paznokciami, wybitej z ramy szyby, kotłowni, która była w piwnicy koło basenu, pokoju z wyjściem na werandę i martwej nagiej dziewczyny na wielkim, żelaznym łóżku. Wycięte z gazet artykuły i pusta koperta z napisem „włosy Gorgonowej”. Listy pisane przez córkę do ojca i jej paszport z wizą do Szwajcarii. Tysiące stron zeznań świadków zapisanych ołówkiem i atramentem. Przepisane na maszynie protokoły rozpraw w Krakowie i we Lwowie.

Sam sposób przesłuchiwania świadków, protokółowania rozpraw, prowadzenia sporów między obroną a oskarżeniem nie odbiega od dzisiejszych standardów sądowych. Zdziwiał co innego. Wielka pieczołowitość sądu, z jaką docieka najdrobniejszych szczegółów i bada najdziwniejsze hipotezy. Stąd te tabuny świadków, zupełnie dla sprawy nieistotnych, jak koleżanki Lusi z gimnazjum, które pamiętają jedynie, że była miłą dziewczynką, albo sąsiadek Zarembów z Brzuchowic, które widziały Lusię w letnim płaszczyku zimą (co miało świadczyć o złym traktowaniu dzieci przez Gorgonową).

Widać, że sąd się z niczym nie śpieszy. Pozwala świadkom się wygadać. Oskarżona też korzysta z tego przywileju, opowiadając sądowi szczegółowo o swoim życiu, od wczesnego dzieciństwa po służbę u Zarembów w Brzuchowicach. Z akt można dowiedzieć się o niej znacznie więcej, niż wiedzieli czytelnicy ówczesnych gazet. Są tam jej listy, zeznania świadków ze śledztwa, opinie biegłych psychiatrów.

Układają się one raz w melodramat, raz w thriller psycho-logiczny – o wiejskiej dziewczynce zwabionej do wielkiego, bogatego, obcojęzycznego miasta, w którym zostaje wyrzucona na ulicę i musi przetrwać. Udaje jej się nie stoczyć na dno. Wychodzi na prostą, gdy poznaje znacznie starszego, statecznego, opiekuńczego pana, który zakochuje się w niej bez pamięci. Zostaje jego życiową partnerką. Żyją w miarę szczęśliwie w domku pod lasem, ale z czasem obojętnieją. Wtedy wkracza do akcji dorastająca córka partnera i zaczyna zwalczać konkurentkę. Ukochana córeczka tatusia nakręca w nim niechęć do przybłądy. Skutecznie. Bo ojciec w końcu odprawia z domu bonę--kochankę. I kiedy już ma się to zdarzyć, Lusie zostaje zamordowana.

Zanim to nastąpi, Gorgonowa przypomina osaczonego szczura. Im bardziej nie ma wyjścia, tym bardziej staje się agresywna. Można przewidzieć, że gdy nie będzie miała dokąd się wycofać, zaatakuje. To jej jedyna szansa na przetrwanie.

– Nieszczęście wisiało w powietrzu – powtarza na sali sądowej wielu świadków. Lektura akt nie odkrywa jednak nowych dowodów. Nie ma w nich niczego, o czym nie napisali wcześniej dziennikarze relacjonujący procesy w latach trzydziestych.

Są setki stron skomplikowanych ekspertyz krwi i kontreksperytz. Opinie biegłych. Wnioski obrońców. I opis ich ciągłej walki o unieważnienie kolejnych dowodów winy, zdyskredytowanie świadków oskarżenia, przerzucenie winy na Zarembę i uczynienie z Rity

Gorgon ofiary.

Mieszają się karty z zeznaniami tych, którzy mówią, że była dla dzieci okrutną i złą macochą, z tymi, którzy twierdzą, że dbała o dzieci i nie pozwoliłaby zrobić im krzywdy.

Jedni opowiadają, że była rozwiązła i mściwa, drudzy – że miała dobre serce. Jedni, że pracowita, drudzy – że leniwa.

Kto wypowiada się pewnie, a kto się nerwowo jąka? Kto się poci, komu trzęsą się ręce, a komu drży głos? Tego nie zapisuje się w protokole sądowym. A bez tego trudno poczuć atmosferę sali wśród uczestników rozprawy i rozstrzygnąć, który ze świadków mówi prawdę, a który kłamie.

Śledztwo. Gazetowe tropy

Sześćdziesiąt lat po wyroku publicystka Irena Krzywicka, która relacjonowała krakowski proces w 1933 roku, nadal stoi murem za Gorgonową.

„W sprawie Gorgonowej odegrała rolę presja obyczajowa, nie polityczna, nacisk rozszalałej kołtunerii. Przewodniczący sądu prowadził sprawę tak, by skazać domniemaną morderczynię” – pisze w wydanych w 1992 roku wspomnieniach[9]. Krzywicka ma wówczas pięćdziesiąt trzy lata i wciąż jest przekonana o niewinności Rity. Podejrzewa, że Lusię Zarembiankę mógł zamordować ogrodnik, Józef Kamiński.

„Ta możliwość wydawała mi się zawsze najbardziej prawdo-podobna”[10] – notuje. I przypomina czytelnikom, że podczas procesu w Krakowie Kamiński dziwnie się zachowywał. Niespodziewanie zemdlał, gdy sędzia zadał mu pierwsze pytanie. I gdy wyniesiono go z sali rozpraw, sąd już w ogóle odstąpił od jego przesłuchania.

Miało to być dowodem na nieczyste sumienie Kamińskiego i stronniczość sądu. Tylko że nic takiego się nie zdarzyło. Kamiński stanął przed krakowskim sądem 12 marca 1933 i złożył bardzo szczegółowe, istotne dla sprawy zeznania, obciążające Gorgonową. Ale zanim jeszcze zaczął zeznawać, obrońca Gorgonowej mecenas Axer przeprowadził na niego atak, oskarżył go o zamordowanie Lusi Zarembianki. Kamiński znosił to ze spokojem. Krzywicką zawodzi pamięć. To nie on tego dnia mdleje, ale jego zmęczona żona Rozalia, która zeznawała wieczorem.

O ogrodniku zamieszonym w morderstwo publicystka nie wspomina jednak w swoich tekstach z 1933 roku w „Wiadomościach Literackich”. Raczej skupia się tam na wytykaniu błędów policji i śledczych oraz kwestionowaniu wszystkich dowodów obciążających Gorgonową.

„Poszlaki i podejrzenia nie są jeszcze dowodami winy, a zeznania Stasia są nic niewarte”[11]– pisze.

Jej zdaniem to policjanci zasugerowali młodemu Zarembie koncepcję Gorgonowej, a on w nią uwierzył i bezwiednie ją powtarzał. („Zamrożono wąską roślinkę jego przeżyć w martwy kształt jego gotowych słów, które będzie bezmyślnie powtarzał przez całe życie”[12]).

Czy można jej wierzyć?

Teza o manipulowaniu młodym Zarembą jest mocno naciągana i niezgodna z zeznaniami wielu innych świadków. Zanim bowiem Staś opowiedział policjantom o kobiecie w futrze, którą widział w holu, podzielił się swoim odkryciem z Rozalią i Józefem Kamińskimi. Nie mógł więc zostać przez policjantów zmanipulowany.

Krzywicka pisze wprost, że nie wierzy w winę oskarżonej i że nie ma dostatecznych dowodów, by ją skazać. A jedynym sposobem na obronę Gorgonowej jest pogrzebanie wiarygodności głównego świadka – Stanisława Zaremby. Naciąga więc fakty, rozdmuchuje zeznania korzystne dla oskarżonej i podaje w wątpliwość wszystko, co Gorgonowej może zaszkodzić. I to, że Staś tak szybko wstał z łóżka, i to, że mógł cokolwiek widzieć w ciemności, i to, że w tak krótkim czasie Rita mogła przebiec wokół domu, rozbić szybę w drzwiach werandy i wejść do swojego pokoju, udając, że nic się nie stało.

A przecież wie, że wszystko zostało wyliczone ze stoperem w dłoni.

Że od chwili skowytu psa, który wyrwał ze snu Stasia, do momentu, gdy podszedł do szklanych drzwi i zobaczył wysuwającą się do ogrodu postać, minęło 22,5 sekundy; że 28,6 sekundy przebywał w pokoju Lusi i że od wybiegnięcia z pokoju siostry do usłyszenia brzdęku

rozbijanej szyby w oknie werandy upłynęło 8,1 sekundy. Teoretycznie Gorgonowa mogła zdążyć wrócić z holu wielkiej werandy, gdzie widział ją Staś, do swojego pokoju. Jak obliczyli biegli, droga wzdłuż domu z przystankami zajmuje 32,5 sekundy.

Krzywicka nie przyjmuje jednak tego do wiadomości.

Niemiecka pisarka Elga Kern też nie godzi się z wyrokiem skazującym. Pisze o omyłce sądowej. Sama zresztą prowadzi własny eksperyment procesowy. By udowodnić, że bez trudu można okiełznać groźnego psa Luxa Zarembów, każe swojemu sekretarzowi przeskoczyć przez płot w Brzuchowicach i przekupić zwierzę jedzeniem. Ogłasza potem, że tak samo mógł zrobić włamywacz w noc zabójstwa. Tylko jak miałby przemknąć po śniegu bez pozostawiania śladów? Jak miałby się wkraść do domu? I jak z niego uciec po zabójstwie? Tego już nie wyjaśnia.

Tekst Elgi Kern w „Wiadomościach Literackich”[13] to -płomienny manifest w obronie Gorgonowej, ale twardych dowodów jej niewinności w nim nie ma. To raczej publicystyka prawna, -opinia zaangażowanej osoby, własny sąd nad sprawą, a nie zimna analiza dowodów.

Bo trudno się zgodzić z opinią Niemki, gdy pisze, że lwowski proces był „długim łańcuchem stwierdzeń przemawiających na korzyść Gorgonowej”, a ekspertyzy lekarzy i chemików „obnażyły punkt za punktem poszlaki, na których zbudowane było oskarżenie”.

Kern w swoim tekście w ogóle nie odnosi się do obciążających Gorgonową zeznań młodego Zaremby. Kwituje je tylko stwierdzeniem, że były mętne. Jej zdaniem z psychologicznego punktu widzenia to zupełnie niemożliwe, by kobieta dokonała tak strasznej zbrodni. I stawia fantastyczną hipotezę, że Staś wskazał na Gorgonową, ponieważ był pod wpływem promieniowania księżycowego.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego teksty Kern są mało wiarygodnym źródłem wiedzy. Po prostu – nie zna ona polskiego. Posługuje się zaledwie kilkoma najprostszymi słowami. Nawet korespondencję z redakcją „Wiadomości Literackich” prowadzi w języku niemieckim. Swoje artykuły też pisze po niemiecku, potem są tłumaczone.

Trudno więc przypuszczać, że jest w stanie analizować proces, zwłaszcza że oprócz świadków występują tam liczni biegli, którzy zeznają o skomplikowanych badaniach medycznych, ekspertyzach narzędzia zbrodni i poszukiwaniach grupy krwi. O tym, co zeznają, Elga Kern może dowiedzieć się co najwyżej z drugiej ręki, za pośrednictwem tłumaczy.

Śledztwo. Światelko w tunelu

Gdy klientka zapytała o rehabilitację, pomyślał o żołnierzach wyklętych, a potem o głośnym na Pomorzu procesie kelnerów. Ona wtedy doprecyzowuje, że chodzi o babcię, która trochę przed wojną narozrabiała. Gdy Margarita, córka Ewy Ilić, wymienia nazwisko babci, wszystko staje się jasne.

Informacja o trzydziestopięcioletnim wówczas adwokacie ze Szczecina, który podejmuje się prowadzenia legendarnej sprawy, obiega Polskę. Pod kancelarią ustawia się długa kolejka dziennikarzy, by dopytać o każdy szczegół sprzed osiemdziesięciu lat.

– Co najbardziej pana zastanawia? – pyta „Rzeczpospolita”.

– Nie ma wcale pewności, że śmiertelne ciosy zadała kobieta. Dżagan był ciężki, więc zabójca musiał być wyjątkowo silny. [...] Można sądzić, że napastnik jednocześnie przytrzymał dziewczynę i zadawał jej uderzenia powodujące głębokie rany. Mam wątpliwości, czy kobieta miałaby taką siłę.

– Wierzy pan, że uda się zdjąć z Gorgonowej piętno zabójcy?

– Trzeba próbować – odpowiada. – Dzisiaj mamy większą wiedzę, psychiatria, psychologia są na wyższym poziomie, może tamte ustalenia czy opinie zawierają błędy. [...] Może uda się podważyć opinię dotyczącą umiejętności poznawczych brata Lusi, jego wiarygodność kiedyś próbowali zakwestionować słynni adwokaci broniący Gorgonowej.

„To, że proces się odbywał 82 lata temu, nie ma żadnego znaczenia. Jeśli uda nam się znaleźć nowe dowody, będzie to podstawa do wznowienia sprawy. [...] Uważam, że po latach mamy szansę znaleźć dowody, które pozwolą ją uniewinnić” („Wprost”).

„Już w 1932 i 1933 roku nie brakowało głosów, że był to nie tyle proces poszlakowy, co skazanie niewinnej osoby na podstawie wybiórczo przyjmowanych faktów i interpretacji. Dzisiaj bezstronna analiza tych akt musi nasunąć czytelnikowi wniosek, że tak w istocie było” („Gazeta Wyborcza”).

Z okien kancelarii mecenas Michała Olechnowicza w centrum Szczecina widać wysoki mur aresztu śledczego, za którego drutem kolczastym czekają na niego codzienni klienci. Proces Gorgonowej to coś zupełnie innego. Legenda i zapisanie się w historii sprawy, o czym marzą studenci prawa.

Kiedy w jego gabinecie pojawia się właścicielka firmy ogrodniczej Ecoogród, a prywatnie wnuczka Gorgonowej, i pyta, czy nie poprowadziłby sprawy babci, nie zastanawia się długo. (Choć słyszał, że kilku jego starszych kolegów odmówiło, bo uznało, że sprawa jest beznadziejna).

– Kiedy wpływa do sądu akt oskarżenia, każda sprawa wydaje się podobnie beznadziejna, a jednak zdarzają się uniewinnienia. Warto próbować – mówi.

Ale żeby wznowić proces, musiałby stanąć na głowie, znaleźć nowe, mocne dowody, o których istnieniu nie wiedział sąd w latach trzydziestych ubiegłego wieku. A potem musiałby jeszcze przekonać Sąd Najwyższy w Warszawie, że Gorgonowa naprawdę była niewinna. To otwierałoby drogę do wznowienia po latach procesu Rity Gorgon. Tylko kto miałby w tym procesie zeznawać, skoro wszyscy świadkowie zdarzenia oraz biegli powołani w śledztwie już nie żyją? Jak sąd miałby weryfikować dowody i wzajemnie wykluczające się zeznania świadków?

Że to niemożliwe, przekonują w mediach prawne autorytety.

„Na tej zasadzie można by sięgać do procesów średniowiecznych, bo zapewne

czarownice palone na stosie nie były sprawcami przestępstwa” – drwi były minister sprawiedliwości Zbigniew Cwiakalski.

Olechnowicz jest wtedy jeszcze umiarkowanym optymistą. Zapowiada przeprowadzenie kilku eksperymentów kryminalistycznych. Zamierza zrekonstruować przebieg wypadków sprzed osiemdziesięciu lat.

– Nawet gdybym je przeprowadził, to w opinii ekspertów, z którymi rozmawiałem, nie można by tego traktować jako odnalezienia nieznanego sądowi nowego dowodu, co jest wymagane, by wznowić proces – mówi dziś adwokat. – I to jest kłopot, bo z upływem czasu pewne ważne dowody nie są już możliwe do przeprowadzenia, inne zaś uległy samozniszczeniu.

Szukanie dokumentów na Ukrainie również okazało się ślepym zaułkiem. (W czasie wojny Rosjanie wywieźli lwowskie archiwa do Moskwy).

Dziś mówi, że musi liczyć się z prawomocnym wyrokiem skazującym Gorgonową. („Jeśli spojrzeć na to obiektywnie, więcej przemawia za jej winą niż niewinnością”). Szuka więc czegoś, co ten wyrok podważy. Może być to jeden koronny dowód albo mocna kompilacja poszlak, które rozbiłyby cały akt oskarżenia.

Tylko że na razie nic nie znalazł.

– Szukam punktu zaczepienia – przyznaje.

Na pewno nie ma go w cienkiej papierowej teczce akt adwokackich sprawy, którą wyciągnął z szafy. Są tam tylko listy od nadawców z całej Polski, w których piszą, gdzie Gorgonowa mogła się ukryć po wyjściu z więzienia.

– Skoro nie ma dowodów jej niewinności, to może jest winna? – pytam.

– Jako adwokat nie mogę powiedzieć, że to zrobiła. Nie składam broni. Czekam. Ale bardziej prawdopodobne jest ustalenie losów Gorgonowej po II wojnie światowej niż odnalezienie tego jednego, nowego dowodu w sprawie, który pozwoliłby wznowić proces.

Śledztwo. Filmowy ślad

W 1977 roku reżyser Janusz Majewski wraca do zdarzeń w swoim filmie *Sprawa Gorgonowej*. Brzuchowicką willę gra dom Lilpopów w Komorowie pod Warszawą, lwowski sąd – carskie kasyno w podwarszawskiej twierdzy Modlin, a krakowski – sala rozpraw w warszawskim sądzie na Lesznie.

To do dziś jeden z najlepszych polskich filmów sądowych. Majewski odtwarza w nim drobiazgowo proces i atmosferę wokół niego. Nie chodzi mu o rozwiązanie zagadki kryminalnej sprzed lat, ale o pokazanie maszyny sądowej, odhumanizowanej i bezwzględnej.

Gorgonowa, grana przez Ewę Dąbkowską, budzi współczucie. Nie ma w niej arogancji i pretensji, które budziły do niej niechęć w Krakowie i we Lwowie. Są za to szlachetne cierpienie i niepewność. Bo reżyser igra sobie z odbiorcą. Gdy już widz powoli się domyśla, że to na pewno Gorgonowa zabiła, Majewski wodzi go za nos i wzbudza wątpliwości.

Film do końca trzyma w napięciu. Z tym że nie daje odpowiedzi na najważniejsze pytanie: kto zabił?

„Niestety, *Sprawa Gorgonowej* niczego nie wyjaśnia” – ubolewał w 1977 roku tuż po premierze „Tygodnik Powszechny”.

Mimo mało entuzjastycznej recenzji do kin w całej Polsce wałą na film tłumy. Znow rośnie zainteresowanie Gorgonową, znow odżywiają legenda i dyskusja: winna – niewinna. Na nowo szuka jej cała Polska. Gdyby żyła, miałaby siedemdziesiąt sześć lat. Nie tak wiele. Czy poszłaby zobaczyć siebie na wielkim ekranie? Czy podziękowałaby reżyserowi, że jej nie ukrzyżował? Że odkrył w niej człowieka i sprawił, że sympatia widzów była po jej stronie? (Przed wojną gazety pisały, że Hollywood zamierza przenieść na wielki ekran jej historię, ale stracił zainteresowanie, gdy Sąd Okręgowy w Krakowie potwierdził zarzuty i skazał Gorgonową za zabójstwo. Bez happy endu jej historia traciła sprzedażowy potencjał).

Reżyser pochodzi ze Lwowa. Z historią Gorgonowej po raz pierwszy zetknął się przed II wojną. Był jeszcze dzieckiem karmionym przez służącą i gdy odmawiał posiłków, straszyla go czymś gorszym od wiedźmy. „Jak nie zjesz kaszki, to przyjdzie tu Gorgonowa i cię zabije” – mówiła.

Kim jest ta strasznie zła pani, dowiedział się już po wojnie, w latach czterdziestych, gdy przeczytał o brzuchowickiej -zbrodni w starych rocznikach „Tajnego Detektywa”.

– Ta historia zapadła mi w pamięć, bo nic tam nie było do końca wyjaśnione – mówi osiemdziesięciosześcioletni reżyser, popijając kawę w kawiarni przy placu Unii Lubelskiej w Warszawie. 21 maja 1976 roku przeczytał akta sądowe w Archiwum Państwowym w Krakowie i w rubryce „cel wykorzystania” wpisał: „praca nad scenariuszem filmowym”. Przyznaje, że po ich lekturze miał duże wątpliwości, czy to na pewno Gorgonowa zabiła.

Zapytał o to znajomego reżysera teatralnego Erwina Axera, syna mecenasa Maurycyego Axera (gra go w filmie Aleksander Bardini), a ten zaprowadził go do swojej matki. „Czy pani mąż wierzył w jej niewinność?” – zapytał wprost.

„Miewał chwile zwątpienia, ale gdy rozmawiał z panią Gorgonową, wracała mu wiara. Bronił jej z przekonaniem” – odpowiedziała Ernestyna Axer.

– To była pasjonująca historia, a ja chciałem ją opowiedzieć językiem filmu – mówi dziś reżyser. – Wertowałem akta, wspomnienia i stare gazety, żeby znaleźć jak najwięcej szczegółów, odtworzyć lata trzydzieste i tamtą atmosferę.

Mówi, że udało się mu zrealizować zamierzenie dzięki trafnie obsadzonej roli Ewy

Dałkowskiej. Była przekonująca. Sędziego Kulczyckiego grał Andrzej Łapicki, prokuratora Laniewskiego – Stanisław Zaczyk, mecenasa Woźniakowskiego – Andrzej Szczepkowski.

Dialogi, które Majewski pisał ze scenarzystą Bolesławem Michałkiem, były mieszaniną prawdy i fikcji, bo nie chodziło im o dokumentalne odtworzenie procesu. Raczej o wzbudzenie w widzach wątpliwości.

– Nie zależało mi na znalezieniu odpowiedzi na pytanie: kto zabił? Chciałem, żeby widz sam sobie na nie odpowiedział. Chciałem pokazać aurę wokół procesu. Czy mógł zamordować ogrodnik? Tego nie jestem pewien. Nie postawiono mu żadnych zarzutów, nie oskarżono, ale pewne poszlaki wskazywały na niego. Na przykład dżagan, którym zabito Zarembiankę. To było przecież narzędzie jego pracy. Wątpliwości było więcej. Liczyliśmy, że film wywoła dyskusję i po premierze zjawi się ktoś, kto powie: „tak, to była Gorgonowa”, albo: „to nie była ona i to wyglądało zupełnie inaczej”.

– Nikt taki się nie zjawił – dopowiada Majewski.

Z Londynu napisał właściciel wydawnictwa Orbis Books Jerzy Kulczycki. Jego ojciec, sędzia śledczy Zdzisław Kulczycki, prowadził we Lwowie śledztwo przeciwko Gorgonowej. Gdy Jerzy miał osiem lat, ojciec został aresztowany i w 1940 roku rozstrzelany przez NKWD. W liście dziękował reżyserowi za trafne obsadzenie w roli ojca Andrzeja Łapickiego. „Ciągle mam nadzieję być w Warszawie wystarczająco długo, aby pana i pana Łapickiego poznać i osobiście podziękować” – pisał.

Richard, syn zmarłego w 2013 roku Jerzego i wnuk zamordowanego przez NKWD Zdzisława, jest informatykiem w Londynie. Odpowiada mejlem:

„Niestety, żadne rodzinne dokumenty nie przetrwały, a dziadek był bardzo dyskretny. Pamiętam, że ojciec kiedyś powiedział, że nie było podstaw, by Gorgonową skazać na śmierć. Miał to wiedzieć od dziadka. Ale skąd by o tym wiedział? Od dziadka nie, bo ostatni raz widział go, gdy miał osiem lat, a babcia Marysia o tym nigdy nie mówiła”.

Józef K. w matni

W środę 20 kwietnia 1949 roku po południu Józef Kamiński przeczytał w „Expressie Wieczornym Ilustrowanym”, że nie żyje. Było o tym na pierwszej stronie wielkimi, rozstrzelonymi li-terami: „SENSACYJNE ZEZNANIA UMIERAJĄCEGO OGRODNIKA!”.

To o nim. Autorka Stefania Szatkowska pisała, że w Krakowie szykuje się proces stulecia, bo zmarły niedawno ogrodnik Józef Kamiński tuż przed śmiercią przyznał się do zamordowania Lusi Zarembianki. To podstawa do zrehabilitowania Margarity Gorgonowej, która w głośnych przedwojennych procesach została skazana za morderstwo.

(Tę trudną, odpowiedzialną i bezprecedensową sprawę ma prowadzić znany krakowski adwokat Józef Różański).

Kamiński przeczytał w gazecie, że na łożu śmierci dręczyły go wyrzuty sumienia. To opowiedział gazecie Józef Keller, którego Kamiński nie znał, a który zapewniał „Express”, że był obecny przy zgonie. Mówił o zmarłym: „Był człowiekiem nieprzyjemnym, nerwowym i ponurym”.

Dwa dni później Kamiński przeczytał jeszcze, że przyznał się do zamordowania Lusi również własnej żonie. W kolejnym tekście Stefania Szatkowska skupiła się na historii Rozalii Kamińskiej, która po poznaniu sekretu męża toczy ze sobą wewnętrzną walkę, aż w końcu popada w chorobę psychiczną.

Artykuł Stefanii Szatkowskiej przedrukowują dziesiątki polskich gazet. Sensacja przekazywana jest z ust do ust, z miasta do miasta, ze wsi do wsi. Informacja o tym, że to ogrodnik Kamiński mógł zamordować Lusię, jest bardzo wiarygodna. I niezwyk-le nośna, bo odwołuje się do powszechnej pamięci. Siedem-naście lat wcześniej obrońca Gorgonowej Maurycy Axer wprost przeciw oskarżył Kamińskiego o zamordowanie Zarembianki. („Skoro mord był na tle seksualnym, to nie mogła go popełnić kobieta” – argumentował wtedy). Wykluczył Stasia, Zarembę, został mu tylko Kamiński. I bez żadnego dowodu rzucił na niego straszne podejrzenia.

Przedwojenne gazety podchwyting w tedy temat.

Przypominają, że Kamiński mieszkał z żoną w osobnym budynku. Według zeznań spał w kuchni. Przed zaśnięciem czytał książkę. Obudziła go żona, która usłyszała pukanie do okna i głos Gorgonowej: „Panie ogrodniku. Niestety”. Myśleli, że chodzi o rozsadzony przez mróz kaloryfer.

W prasie II Rzeczypospolitej Polskiej trwała ogólnonarodowa dyskusja, czy ogrodnik mógł zabić Elżunię. (Są jego fotografie. Szczupły, łysy, gładko ogolony). Kamiński przez te pomówienia przymiera głodem. Ma na utrzymaniu żonę z małym dzieckiem, ale nigdzie nie może znaleźć pracy. Gdziekolwiek się zjawi, mówią mu, że się go boją.

– Przez niesprawiedliwą i krzywdzącą nagonkę jestem ze swoją rodziną w skrajnej nędzy – skarży się lwowskiej redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. I zapowiada proces: – Chcę się raz nareszcie oczyścić i sprzedam ostatnią koszulę, a zaskarżę obrońców Gorgonowej za oszczerstwo.

Kamiński podejmuje walkę dopiero w roku 1950. Po naradzie z bratem księdzem kieruje do prokuratury skargę na redaktor Stefanię Szatkowską.

Rok później sprawa trafia na wokandę krakowskiego sądu. Na ławie oskarżonych: autorka Stefania Szatkowska, redaktor naczelny Ryszard Wojna i główny informator, adwokat Józef Różański.

Sprawa jest dość prosta, bo Kamiński żyje i ma liczne dowody na to, że się do niczego nie przyznał na łożu śmierci.

Zdaniem sądu padł ofiarą krążącej od dawna po Polsce plotki. Dotarła ona nawet do Ameryki, do Erwina Gorgona. Wynajął wtedy adwokata w Krakowie, by odnalazł świadków śmierci Kamińskiego i oficjalnie potwierdził, że to on zamordował. Adwokat Józef Różański o liście Erwina Gorgona i krążących pogłoskach opowiedział redaktor Szatkowskiej. Zapewnił sąd, że nie miał żadnego wpływu na jej publikację.

Sąd przyznaje Kamińskiemu dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych odszkodowania i nakazuje opublikowanie przeprosin w gazecie.

Przeprosiny nigdy się nie ukazują.

W 1957 roku Kamińskiego odnajduje w Kluczborku reporter „Po Prostu” Wiesław Naumowski. Ogrodnik ma wtedy pięćdziesiąt sześć lat. Jest rozżalony. („Ma łzy w oczach” – pisze dziennikarz).

– Nie chodzi o mnie – tłumaczy. – Mam dwie dorosłe córki i syna, chcę im zostawić czyste nazwisko. Nie chcę, aby ciążyło na nim piętno zbrodni. To bardzo przykre, ale do tej pory nikt nie pomógł mi w odzyskaniu dobrego imienia. Błagam pana, redaktorze, niech mnie oczyszczą z tego zarzutu.

Naumowski nie może wtedy wiedzieć, że i on nie jest w stanie w tej sprawie pomóc.

W 1968 roku Kamiński wygra w Łodzi kolejny proces o pomówienie z „Dziennikiem Łódzkim”. Niczego to nie zmieni. Z posądzeniami Kamiński będzie walczył do końca życia. Na tekst Szatkowskiej powoływać się będą kolejni dziennikarze, badacze dziejów, naukowcy.

W marcu 1973 roku do Kluczborka dociera Edmund Żurek z „Prawa i Życia”. Kamiński jest już starym, znękanym człowiekiem, który wciąż walczy z oszczerstwami. Niechętnie opowiada o procesach Gorgonowej i o własnych, w których wraz z żoną walczyli o swoje dobre imię.

„Wciąż żyje z piętnem mordercy” – napisał Żurek po spotkaniu z ogrodnikiem.

(I do dziś nic się nie zmieniło. W internecie można znaleźć czterysta sześćdziesiąt dwie strony, na których piszą, że to Kamiński zabił Lusię).

Śledztwo. Szukając haka

Jest nieco młodszy od Maurycego Axera, gdy ten podejmował się obrony Gorgonowej. I tak jak on udziela bezpłatnych porad biednym, potrzebującym, poszkodowanym przez państwo. Bezpłatnie bronił bezdomnego Huberta H., który został oskarżony o obrazę prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Bronił też internautki, która o ważnym ministrze PiS napisała, że ma krew na rękach. Uważał, że miała prawo do krytyki.

Podobnie jak Axer broni też w sprawach beznadziejnych. Takich jak proces Zenona Kwietnia, oskarżonego o próbę wysadzenia w powietrze polskiego Sejmu. (Przekonuje sąd, że Kwiecień to żaden terrorysta, tylko ofiara prowokacji tajnych służb).

Na spotkanie przyjeżdża rowerem, zdejmuje plecak i wyjmuje z niego akta. Wygląda na frontmana punkowego zespołu, który urwał się z garażowej próby, a nie na członka krakowskiej palestry. Drażni ją, bo do sądu przybywa na tym samym rowerze. Wchodzi na salę rozpraw rozczochrany, bez krawata. Ale budzi też respekt, bo broni z pasją, ma ogromną wiedzę i precyzję języka.

– Mój nikczemny wygląd nie ma znaczenia dla moich klientów, którzy utracili wszelką nadzieję i potrzebują cudotwórcy – odpowiada swoim krytykom Maciej Burda, czterdziestodwuletni adwokat.

Wysłałem mu zeskanowane akta Gorgonowej z prośbą, by znalazł tam coś, czego mógłby się chwycić, gdyby był obrońcą Gorgonowej i musiałby ją uratować.

Zadzwoił po kilku dniach. Nie miał dobrych wieści. Powiedział, że sprawa była wzorowo prowadzona. Widać to po sposobie weryfikacji dowodów i powoływania wszelkich możliwych biegłych, nawet tych drugorzędnych, którzy mieli wyjaśnić tak marginalne dla sprawy zjawisko jak poziom wód gruntowych pod willą w Brzuchowicach.

– Sąd przyłożył się solidnie do wyjaśnienia sprawy i trudno znaleźć tu błędy – mówi. – Ten materiał dowodowy został rzetelnie przez sąd oceniony i prowadzi do wniosku, że to Gorgonowa zabiła. Szanuję ten wyrok i gdybym to ja był sędzią, mógłbym się pod nim podpisać.

Czy podjąłby się obrony oskarżonej?

– To byłaby bardzo ciekawa praca. Zamknięty krąg podejrzanych, ograniczone możliwości dowodowe. To zagadka jak z kryminału Agaty Christie. Wykorzystano wszelkie możliwości jej wyjaśnienia, wszystkie dowody zostały przeprowadzone, wszyscy biegli i świadkowie przesłuchani. Sprawdzone wszystko, co tylko się dało.

Obroncy w takiej sytuacji zostają już tylko praca interpretacyjna i próba narzucenia swoich wniosków, by przekonać sąd do własnej wersji wydarzeń i podważyć wersję prokuratora.

W czym upatrywałby szansy?

– Podobnie jak Maurycy Axer kwestionowałbym wiarygodność świadków i dowodów. Nie miałbym innego wyjścia.

Jak zamierzałby to zrobić?

– Świadkiem najbardziej dla obrony kłopotliwym był Staś. Trzeba by było osłabić jego wiarygodność, a potem ukierunkować podejrzenia na niego lub jego ojca. Zaremba był aresztowany i postawiono mu początkowo zarzut współudziału w morderstwie, ale trudno byłoby przekonać sąd, że to on zabił córkę. Łatwiej uderzyć w Stasia. Współcześnie można by zlecić jego badania psycho-logiczne, co dawałoby szansę na eksploatację tego wątku.

Czy widzi możliwość wznowienia procesu?

– Przy obecnej procedurze nie. Bo musiałyby się pojawić nowe fakty lub dowody. Nie

dostrzegam takiej możliwości.

Na pytanie, co dziś można by zrobić, by wyjaśnić podobną sprawę, odpowiada:

– Domownicy zostaliby przebadani wariografem, Staś byłby przesłuchiwany w obecności psychologa, biegli musieliby precyzyjniej odnieść się do możliwości zadania ciosów dżaganem. Przeprowadzono by dodatkowo ekspertyzy: daktyloskopijne, traseologiczne, mechanoskopijne, genetyczne. Każdy obrońca zacząłby od genetyki i wyznaczenia profili DNA. Znacznie łatwiej byłoby ustalić, które plamy krwi pozostały po Lusi, a które po Gorgonowej.

Ostatni świadek

Jest jeszcze ktoś, kto był świadkiem wypadków w willi w nocy z 30 na 31 grudnia 1931 roku. To córka Rity Gorgon i Henryka Zaremby Romusia. Tylko że niełatwo ją odnaleźć, bo inżynier Zaremba, wiedząc, że tacy jak ja będą ją nękać jeszcze przed wojną, zatarł za nią wszystkie ślady, ukrywając przed światem.

– Romusia zastępuje mi Lusię. Nie kochała nigdy matki i nigdy o niej nie wspomina[14] – mówił o niej Zaremba.

Nie tylko zmienił jej urzędowo imię, ale też datę urodzenia z 1928 na 1929 rok, by nie można jej było zbyt łatwo odnaleźć po metryce. Nazwisko Zaremba, ostatni atrybut łączący ją z tą tragiczną historią z Brzuchowic, straciła w latach czterdziestych, gdy wyszła za mąż. Stała się anonimowa.

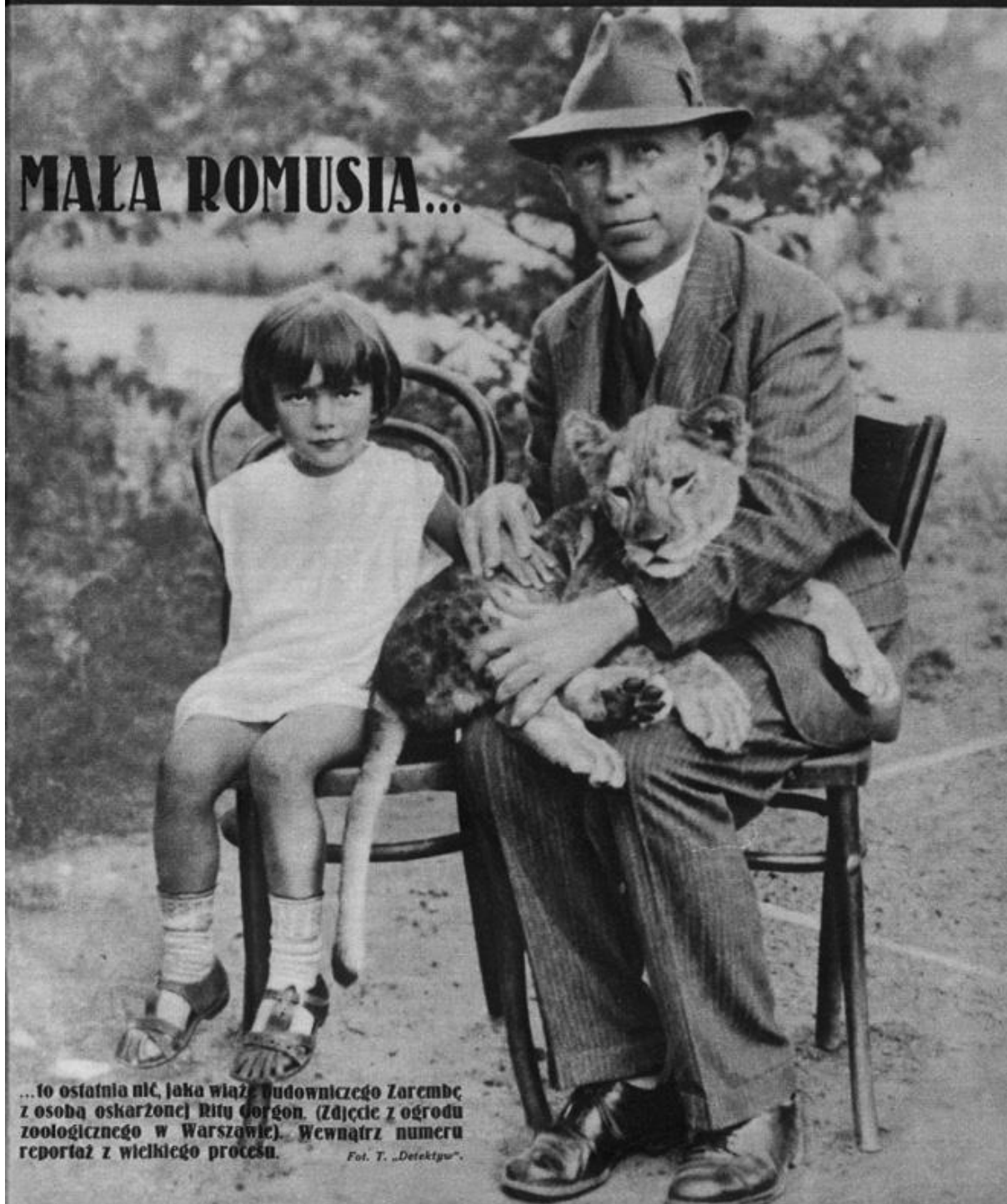
W latach siedemdziesiątych po premierze filmu Majewskiego odnalazła ją w Warszawie reporterka sądowa Wanda Falkowska.

„Siedzi przede mną pani, wciąż jeszcze bardzo przystojna, choć nie pierwszej młodości. Krótko przystrzyżone szpakowate włosy, duże, czarne oczy, łagodnie spoglądające na świat, nieśmiały uśmiech, który dodaje jej wdzięku” – pisała o tym spotkaniu.

Rok III. Nr. 10 (116) Cena 30 gr., w Czechosłowacji Kč. 1'20 Wychodzi w każdą niedzielę. 16 str. druku. 16 kwietnia 19

KOJNY DETEKTYW

MAŁA ROMUSIA...



...to ostatnia nić, jaka wiąże budowniczego Zarembe z osobą oskarżoną Rity Gorgon. (Zdjęcie z ogrodu zoologicznego w Warszawie). Wewnątrz numeru reportaż z wielkiego procesu.

Fot. T. „Detektyw”.

[^] Romusia z ojcem Henrykiem Zarembą

Romusia miała wtedy czterdzieści dziewięć lat i pierwszy raz opowiadała dziennikarzom o swoim dzieciństwie, Brzuchowicach, utracie ojca, miłości do Lusi, strachu przed matką. Fal-kowskiej mówi o wrażeniach z obejrzanego dzień wcześniej filmu.

„Wszystko wydaje mi się zupełnie inne od moich wspomnień: i willa w Brzuchowicach, i ojciec, i matka, i Lusia. Wiem, że w moich wspomnieniach jest wiele wyobraźni, że na pewno nie są wierne. Ale ciągle wracam do dzieciństwa. Tamta sprawa, taka odległa, taka już teraz nierealna, przewija się przez moje życie jak refren w piosence”.

Trzydzieści lat później nakłonił ją jeszcze do rozmowy Jakub Kowalski z „Rzeczpospolitej”, którego poprosiłem, by skontaktował mnie z Romusią. Nie dawał żadnych szans.

– Córka chroni starszą panią od tamtych dramatycznych wspomnień – powiedział.

Zaproponował, żebym napisał do niej list. Nie napisałem, że chcę wiedzieć, kto zabił Lusię, ale że zamierzam wyprowadzić z zapomnienia jej ojca – Henryka Zarembę, niesłusznie pomówionego o współudział w zbrodni.

Tydzień później stałem przed drzwiami mieszkania w bloku na Żoliborzu (tuż obok stacji metra Dworzec Gdański).

Przyjęła mnie w zacienionym pokoju. Nazywa się teraz -Aldona K.

Szpakowate włosy stały się platynowe, czarne oczy zmętniały. Został ten lekki, nieśmiały uśmiech, o którym czytałem u Falkowskiej.

Pamięta wszystko.

Do domu w Brzuchowicach wchodziło się przez główną werandę do holu. Po prawej był pokój Lusi, z którego ojciec potem zrobił dla siebie gabinet. Na wprost pokój dzienny. Tu jadali. Stół i dwadzieścia cztery rzeźbione krzesła, które ojciec przywiózł z Zakopanego.

Jak przyjeżdżało się pociągiem ze Lwowa, to szło się do domu od tyłu, przez małą bramę, przy której stała stróżówka. Naprzeciw był ogród warzywny. Tam domek ogrodnika, stajnia i garaż, w którym ojciec trzymał swojego fiata.

Cały dom był otoczony murem, tylko od Marszałkowskiej, przy głównej bramie były sztachety. W pobliżu ustawiały się przyjeżdżające ze Lwowa wycieczki i pokazywały sobie okna w pokoju Lusi i sypialni Gorgonowej. Wychodził do nich ogrodnik i polewał ich wodą.

Miała wtedy trzy i pół roku. Pamięta Lusię, którą nazywała Musią. Tej nocy w domu zabrakło prądu, więc kolację jedli przy świecach. Wtedy Lusia zapytała jej matkę, czy może zabrać Musię na noc do swojego łóżka.

– Kto to widział, żeby taka duża dziewczyna spała z dzieckiem – ostro zaprotestowała Rita.

Po kolacji ktoś wziął ją w ramiona i ułożył do snu w łóżeczku. Dlaczego spała w pokoju ojca, a nie matki – nie pamięta.

Zbudził ją nienaturalny zwierzęcy krzyk Stasia. Otworzyła oczy, stanęła w łóżeczku, wpatrywała się w ciemność. Wtedy usłyszała niski, spokojny głos ojca pochylającego się nad nią:

– Tineczek zobaczy, co tam się stało, i zaraz wróci do Musi.

Zniknął w mroku i bardzo, bardzo długo go nie było. Z dobiegających z ciemności szeptów, szlochów, stuków, chrobotów próbowała odgadnąć, co się dzieje za ścianą. I wyczuwała, że stało się coś bardzo złego. Paraliżował ją strach. Drżała, łkała, krzyczała, ale nikt do niej nie przychodził. Ani ojciec, ani matka, ani Lusia. Dopiero nad ranem, gdy było już jasno, nad łóżeczkiem otwierają się czyjeś ramiona i wynoszą ją z domu pełnego obcych ludzi. Matka z ojcem siedzą przy długim drewnianym stole w jadalni. Ona w brązowym futrze, on w zimowej

kurtce. Dziwnie nieobecni, obcy, odmienieni.

Romusię zapakowano do samochodu i wywieziono do Lwowa. Przez pięć tygodni mieszkała u przyjaciół ojca, małżeństwa Kiszakiewiczów.

Nie wiedziała ani o łożku pełnym krwi, ani o morderstwie. Że już więcej nie zobaczy Lusi, zdała sobie pierwszy raz sprawę w kościele Bernardynów przy białej trumnie i otaczających ją nieprzebranych tłumach.



[^] Po przyjeździe do Warszawy Henryk Zaremba zmienił córce urzędowo imię i datę urodzenia, by trudniej ją było odnaleźć. Przestała być Romusią. Od osiemdziesięciu lat nosi imię Aldona, od sześćdziesięciu – nazwisko K.

Pamięta swoją radość, gdy po pięciu tygodniach ojciec wrócił z aresztu, a także jego upadek po bankructwie firmy. To on powiedział jej, że mama już nigdy do nich nie wróci. Wtedy się rozplakała. „Nie mam już mamy” – powiedziała. I szybko o niej zapomniała.

W 1937 roku ojciec sprzedał dom w Brzuchowicach i przyjechali do Warszawy. Nigdy już do Brzuchowic nie wróciła. Zostało jej stamtąd tylko siedem fotografii. Reszta spaliła się w powstaniu warszawskim.

Najpierw mieszkali przy Wiejskiej 14. Potem, aż do wybuchu powstania, w willi przy Rohatyńskiej 24. Przed domem stała przywieziona z Brzuchowic rzeźba kwiaciarki, a wewnątrz brzuchowickie krzesła. Dom nie był tak duży jak ten w Brzuchowicach.

Z jadalni wchodziło się do gabinetu ojca. Stało tam wielkie biurko. Na ścianie przywiezione z Brzuchowic *Wskrzeszenie Łazarza* Stanisława Wyspiańskiego. (Ojciec wspierał artystów i przyjaźnił się z nimi).

Kiedyś weszła do gabinetu i zobaczyła ojca siedzącego pod obrazem. Wtulał głowę w dłoń, drżał i łzy ciekły mu po policzkach. Był czwartkowy wieczór, 5 stycznia 1939 roku. Na biurku leżała depesza z Zakopanego, że Staś zaginął w górach. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata.

Następnego dnia gazety napisały o trzech narciarzach z Politechniki Gdańskiej, których przy stoku Skrajnej Turni porwała lawina i zmiotła aż do Doliny Cichej.

Ojciec natychmiast pojechał do Zakopanego, bo miał nadzieję, że Staś przeżył. Ale nie. Ratownicy TOPR szukali jego ciała przez wiele miesięcy. I dopiero w maju, gdy stopniały śniegi, znaleźli go wsuniętego w skalną szczelinę.

Śledztwo. Tropem Żurka

Szedłem wydeptanymi przez niego ścieżkami, ocierałem się o ludzi, których przed laty spotykał. Pytał ich wtedy o szczegóły, prosił o fotografie, dokumenty, pamiątki. I każdą rozmowę nagrywał na magnetofon. Ma czterdzieści lat przewagi nade mną. Dziś już nie żyją świadkowie zdarzeń.

Nazywa się Edmund Żurek – trzydziestopięcioletni wtedy, osiemdziesięcioletni dziś, reporter sądowy czasopisma „Prawo i Życie”, autor zbiorów reportaży i tej najważniejszej dla niego książki *Gorgonowa i inni...*

Redaktorem naczelnym niskonakładowego wówczas „Prawa i Życia” był Kazimierz Kąkol, późniejszy minister Urzędu do Spraw Wyznań. To on ogłosił wśród dziennikarzy konkurs na tekst, który zwiększy sprzedaż gazety. Żurek zaproponował cykl artykułów o najgłośniejszym przedwojennym procesie karnym.

Skąd wiedział, że chwyci?

Ze spotkań autorskich. Czytelnikom opowiada o kulisach najgłośniejszych procesów ostatnich lat (warszawskiego profesora Kazimierza Tarwida oskarżonego o otrucie żony; krakowskiego instruktora jazdy Władysława Mazurkiewicza, który strzelał ofiarom w tył głowy; rolnika Józefa Zakrzewskiego i dwóch jego synów ze wsi Rzepin pod Starachowicami, którzy nie lubili pięcioosobowej rodziny sołtysa Lipy i całą wymordowali nocą siekierami), a na koniec wszyscy pytają tylko o proces sprzed czterdziestu lat.

Pamiętają nazwiska obrońców, świadków, znają dowody, poszlaki, przewód sądowy i prywatne życie oskarżonej i jej rodziny.

Chcą wiedzieć, czy to Gorgonowa naprawdę zabiła.

– Biorę sprawę Gorgonowej na własną odpowiedzialność – opowiada Żurek. – Czuję, że to będzie bestseller, bo ta sprawa wciąż żyje. Pytają o nią nauczyciele, inżynierowie, szwaczki i portierzy.

Był pierwszym dziennikarzem, który przeczytał w całości, kartka po kartce, akta sprawy IV 1 K 258/32. Było to 8 marca 1973 roku. Wiem, bo przy tej dacie zostawił swój podpis w karcie wypożyczeń. Przez sześć tygodni studiował je w czytelni Ministerstwa Sprawiedliwości przy Alejach Ujazdowskich. Powstał z tego pięcioczęściowy cykl reportaży o sprawie Gorgonowej publikowany w „Prawie i Życiu” od kwietnia do połowy maja 1973 roku. Zawsze na ostatniej stronie gazety, zawsze na całą kolumnę.

W tekstach wiernie opisuje proces, ale go nie komentuje i nie rozstrzyga. Niczego nie przesądza, ale wytyka wszystkie mielizny dowodowe.

Pochyla się nad twardym życiem Rity Gorgonowej, o której pisze z sympatią. Ogrodnika Kamińskiego też broni przed absurdalnymi zarzutami o morderstwo.

Sprawie Gorgonowej Żurek poświęcił życie. Najpierw odnalazł akta, potem „Kropelkę” – Ewę Ilić, później Józefa Kamińskiego i jego żonę Rozalię. Miał jeszcze szansę wysłuchać opowieści naocznych świadków. Posiada ogromną wiedzę, zna mnóstwo dokumentów i najdrobniejsze szczegóły.

– Została oskarżona o morderstwo piękna kobieta, a jej ofiarą była brutalnie zamordowana siedemnastolatka: harcerka, córka wybitnego architekta, którą przed śmiercią haniebnie zdeflorowano. Ta sprawa będzie poruszała do końca świata – mówi.

Żurek zaprzyjaźnił się z Kamińskimi i odwiedzał ich, gdy pojawiał się w okolicach Kluczborka. Siadał z nimi przy stole, przy herbacie, a oni opowiadali mu o swoim życiu. Raz

o tym, jak po przyjeździe do Kluczborka pilnowali, by nikt nie zjadł jedyne go w powiecie konia, a raz o tamtej nocy, gdy zginęła Lusja. Co mówiła Pani, jak wyglądała, jak się zachowywała. I że wciąż chowała ręce w futrze.

– Widziałem krew na rękach Gorgonowej – powiedział kiedyś Kamiński Żurkowi.

– I ja mu wierzę – mówi dziś reporter.

W latach siedemdziesiątych żył jeszcze jeden aktywny uczestnik krakowskiego procesu Gorgonowej z 1933 roku. To prokurator Bogdan Szypuła, który opierając się na aktach, krok po kroku wyjaśniał Żurkowi wszystkie wątpliwości.

– Nie mam cienia wątpliwości – powtarzał dziennikarzowi.

Edmund Żurek też już ich nie ma. Ewę Ilić w Trzebiatowie odwiedza przy każdej nadarzającej się okazji. Z sympatii, a nie z dziennikarskiego obowiązku. Za każdym razem spacerują po mieście, jedzą wspólnie obiad i rozmawiają. Ewa mówi mu, że nie wierzy w winę matki, ale nigdy nie pyta, co on o tym sądzi. Gdyby zapytała, zawsze był gotowy odpowiedzieć szczerze i wprost na to najważniejsze dla niej pytanie: „Uważam, że to Rita Gorgonowa zabiła Lusię Zarembiankę”.

– Wiem, że naraziłbym się tym pani Ewie, jej córce i wnuczce, ale innego wytłumaczenia nie ma – mówi Żurek.

Gdzie jest Gorgonowa?

Szukam jej po omacku. Sprawdzam plotki, pogłoski, wpisy na forach internetowych. W starych książkach, gazetach, portalach gminnych i powiatowych.

O tym, że mieszkała w czasie wojny w Turobinie na Roztoczu, przeczytałem w gazecie parafialnej „Dominik Turobiński”. Wtedy Turobin był miastem, teraz jest wsią, ale władze gminy urzędują w tym samym budynku co dotychczas. Tam powinny być księgi meldunkowe. Każdy, kto dłużej mieszkał w Turobinie, musiał być tam zapisany.

Urząd stoi na skwerku w środku wsi, a księgi meldunkowe są na parterze w drewnianej szafie Urzędu Stanu Cywilnego. Podzielone są na tomy. Najgrubszy jest z 1943 roku, gdy w wielkich miastach zaczął się terror. Dla uciekinierów z Lublina, Warszawy i Łodzi Turobin stał się bezpiecznym azylem. Każdy, kto wtedy tu przyjechał, powinien być zostać zameldowany. Domagały się tego władze okupacyjne.

Nazwisko, datę przyjazdu, aktualny adres każdego nowego mieszkańca urzędnik kaligrafował piórem na arkuszach kancelaryjnych. Setki nazwisk wertuje teraz kierowniczka Urzędu Stanu Cywilnego Małgorzata Cieśla, ale po Gorgonowej nie ma śladu.

Turobianin profesor Roman Tokarczyk z lubelskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej uważa, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. „Unikała rozgłosu z obawy o swoje bezpieczeństwo” – twierdzi w mejlu i zapewnia, że na pewno tu była. Na opowieści o niej natknął się, pisząc monografię Turobina. Wcześniej o jej pobycie w miasteczku opowiadał mu ojciec.

Pisze, że zajmowała się handlem. Skupowała po okolicznych wsiach rąbankę i sprzedawała z dużym zyskiem w Lublinie. Wynajmowała pokój blisko starej poczty przy ulicy Szczebrzeszyńskiej w domu Piotra i Albiny Puchalów. Prowadzili oni tam w czasie okupacji gospodę U Piotra. Twierdzi, że choć Puchalowie znali tajemnicę Gorgonowej, traktowali kobietę przyjaźnie. Niestety nie ma już we wsi ani tego budynku, ani Puchalów. Wyjechali z dwójką dzieci, Zosią i Zbyszkiem, zaraz po wojnie.

Odnaleźć Zbyszka pomaga mi miejscowy aptekarz, radny i regionalista, Adam Romański. Niedawno rozmawiał ze Zbyszkiem – mieszka teraz w Szczecinie.

Blok z wielkiej płyty na obrzeżach miasta. Rzadko rusza się z domu, bo ma amputowane obie nogi. Siedzi pod oknem w głębokim fotelu i strzela pilotem do telewizora.

– Wysoka, zgrabna, ciemnowłosa – tak ją zapamiętał.

Wynajmowała w ich domu pokój na parterze. Obok niej mieszkał Włodek Szewczuk, folksdojcz, którego zastrzelili polscy partyzanci. Dopadli go w gospodzie rodziców. Umierał na deskach, leżąc w kałuży krwi. Gorgonowa stanęła nad nim, pogroziła palcem i powiedziała: „Mówiłam ci, skurwysynu, że tak skończysz”.

Potem do pokoju po zastrzelonym folksdojczu wprowadził się starszy, elegancki pan (Puchala nie pamięta, jak się nazywał). We wsi mówili na niego „profesor”. I ten profesor zakochał się w Gorgonowej (nie wiemy, w jakich latach to było). Ślub odbył się kościele w Gródkach, wesele w karczmie Puchalów. Ojciec zawiózł ich do kościoła saniami.

Ślad po tym powinien zostać w księgach parafialnych.

W Gródkach jest tylko jeden kościół, Świętego Izydora, należący do parafii polskokatolickiej.

Proboszcz Henryk Mielcarz mieszka z rodziną w willi przy niewielkim kościółku z czerwonej cegły.

Wiele razy słyszał już o ślubie Gorgonowej, ale nigdy nie znalazł żadnego na to potwierdzenia w dokumentach. Przynosi starą księgę parafialną, by pokazać, że nie ma tam z okresu wojny żadnego zapisu o Gorgonowej.

– To jeszcze nic nie znaczy – mówi, bo nie wszystko proboszczowie zapisywali w dokumentach. Niczego nie można wykluczyć. Nawet tego, że tuż przed ślubem prawosławna Gorgonowa dokonała aktu konwersji. – Bo nasz kościół narodowy jest bardzo tolerancyjny – dodaje z uśmiechem proboszcz.

Gorgonowa wyjeżdża z Turobina do wyzwolonego Lublina w 1944 roku. Sama, bo jak pamięta Puchala, profesora już z nią wtedy nie było. Zmarł albo dokądś wyjechał. Matka Zbyszka, Albina, spotkała ją później tylko raz. Przypadkowo natknęła się na nią na ulicy w Lublinie.

Trzydzieści cztery lata później jej pobyt w Lublinie opisał Alojzy Leszek Gzella w „Kurierze Lubelskim”. W latach siedemdziesiątych zgłosiła się do niego Maria Nizioł, która wiosną 1943 roku poznała Gorgonową w Krasnymstawie. Używała ona już wtedy imienia Emilia i nazwiska po zmarłym mężu – Kańska. Obie panie spotkały się ponownie w sierpniu 1945 roku na placu Litewskim w Lublinie.

„Rita była w doskonałym nastroju, wyglądała interesująco, nosiła się elegancko. Prawie rzuciła mi się na szyję, jak przyjaciółce” – opowiadała dziennikarzowi Maria Nizioł.

Kańska zaprosiła znajomą do swojego mieszkania. Była to garsoniera w kamienicy przy ulicy Kołłątaja 3, w samym centrum miasta, na trzecim piętrze, okna wychodziły na ulicę.

Lokum było ładnie umeblowane i kręcił się po nim przystojny oficer. Kańska powiedziała Marii Nizioł, że skoro szuka mieszkania, to może się tu wprowadzić, bo ona właśnie wyjeżdża do Oleśnicy pod Wrocławiem. Na Ziemiach Odzyskanych chce zacząć wszystko od początku.

Maria Nizioł przyniosła do redakcji „Kuriera Lubelskiego” dokument przydziału na mieszkanie numer 10 przy ulicy Kołłątaja 3 na nazwisko Kańska, na którego odwrocie Gorgonowa własnoręcznie napisała niebieskim atramentem, że zgadza się przyjmując Niziołów jako sublokatorów.

– Nie miałem prawa wątpić – mówi dziś Gzella. Dla niego był to incydent. Nigdy później poszukiwaniami Gorgonowej się nie zajmował.

Dwa tygodnie po opublikowaniu tekstu przyszedł do redakcji „Kuriera” list z Turobina. Pan Sławek relacjonował w nim wojenne losy męża Rity Gorgonowej. Pisał, że aresztowali go za nielegalne operacje finansowe. Został skazany na trzy lata więzienia. Siedział w Krasnymstawie. Gorgonowa odwiedzała go ponoć systematycznie. Potem przeniesiono go do innego więzienia i słuch po nim zaginął.

„Mąż dał mi duszę, wielki skarb. On mnie uszczęśliwił. Dał nowe nazwisko, a dla mnie to było najważniejsze, bo już się nie nazywam Gorgonowa” – opowiadała Sławkowi, gdy kiedyś jechali furmanką z Turobina do Lublina.

Trzypiętrowa, świeżo odmalowana kamienica przy Kołłątaja 3 jedną ze ścian przylega do dawnej Kasy Przemysłowców Lubelskich, gdzie po wojnie był popularny Bar Centralny.

Jeśli mieszkała tu wtedy, musiała na ulicy mijać żołnierzy. W zbombardowanym mieście brakowało lokali, więc wojsko stacjonowało w dawnym klasztorze, w którym po wojnie ulokowała się Akademia Medyczna, a dziś jest Centrum Kultury.

W podwórzu-studni są dziś apteka, bar Ramzes, kancelarie prawne i biuro posłanki Leny Kolarskiej-Bobińskiej. Idę przez wybrukowane już inną kostką podwórko, do klatki schodowej w głębi, po lewej. Domofon pod dziesiątką nie odpowiada. Starymi, drewnianymi, skrzypiącymi schodami wdrapuję się na samą górę, na trzecie piętro. Metalowe drzwi bez klamek i numerów są po obu stronach korytarza. Któreś z nich prowadzą do mieszkania numer 10. Na pukanie nikt nie

odpowiada. (Dawno nikogo tu nie było, bo podłoga jest pokryta grubą warstwą kurzu). Tak samo piętro niżej.

Dopiero pod siódmką otwiera młody człowiek. Mówi, że nigdy nie słyszał o Gorgonowej.

Nie ma jej ani w rejestrze mieszkańców Lublina, ani w Archiwum Urzędu Miasta Lublina.

„W związku z zapytaniem informuję, że nie odnaleziono żadnych informacji na temat Rity Gorgon (Emilii Kańskiej)” – odpisuje Dorota Pedrycz-Guzek z lubelskiego Referatu Ewidencji Ludności.

Mieszkanie przy Kołłątaja w Lublinie to ostatni trop. Dalej są już plotki, pogłoski, domysły, konfabulacje, mity, fantasmagorie. Nic, czego można byłoby się chwycić, co można próbować sprawdzić, dzięki czemu można by pójść krok dalej. Czy dotarła w końcu do Oleśnicy, czy mieszkała we Wrocławiu, w -Nysie, w Polanicy, w Kłodzku? Te nazwy pojawiają się w różnych publikacjach prasowych.

Czy prowadziła w Olsztynie sklep z odzieżą? Czy wybijano jej tam szyby? Czy wyjechała do Rumunii, Jugosławii, USA, Ameryki Południowej? Bo te miejsca też są wskazywane wśród krążących do dziś plotek. Nic nie jest pewne.

Czterdzieści lat dłużej ode mnie szuka jej redaktor Edmund Żurek. Przez lata przeczesywał środowiska lwowiaków na terenie całej Polski. Wypytywał o nią w Bytomiu, w Opolu, we Wrocławiu, w Szczecinie, w Zielonej Górze. Prosił o pomoc jugosłowiańskich dziennikarzy i Polski Czerwony Krzyż. Odwiedzał miejsca, gdzie pojawiały się jakiegokolwiek o niej pogłoski. I nic.

– Nigdzie jej nie było – mówi. Również jemu trop urywał się w sierpniu 1945 roku w Lublinie, a dalsze, niewyraźne ślady prowadzą gdzieś na Dolny Śląsk i tu w okolicach Wrocławia wszystko się urywa.

Ma swoją teorię.

– Zaginęła na Ziemiach Odzyskanych tuż po wojennej zawierusze – mówi.

Śledztwo. Śladem DNA

W tabloidach nazywają go genetycznym detektywem, bo z kropli krwi potrafi odczytać, czy należy do człowieka czy zwierzęcia, do kobiety czy mężczyzny, sprawcy czy ofiary.

Profesor Ryszard Pawłowski z gdańskiego Zakładu Medycyny Sądowej jest najbardziej znanym w Polsce ekspertem od badań DNA. Siedemnaście lat temu pomagał szczecińskim policjantom wytypować z kilkunastu tysięcy podejrzanych wielokrotnego gwałciciela i mordercę grasującego w Świnoujściu. Ale czy potrafiłby po osiemdziesięciu latach odróżnić krew Lusi Zarembianki od krwi Rity Gorgonowej?

– Jeśli zachowała się plamka o wymiarach kilku milimetrów kwadratowych, to jest szansa na znalezienie DNA. I można ustalić, do kogo należała krew – mówi i przez telefon tłumaczy, jaki postęp dokonał się w kryminalistyce po wprowadzeniu badań DNA. Dzięki nim bez żadnego trudu można by było dziś stwierdzić, czyja krew znajdowała się na futrze Gorgonowej. Jeśli Lusi, to byłby to kluczowy dowód przeciwko Gorgonowej. Miała kontakt ze zwłokami? To zabiła.

Jeśli zakrwawione dowody gdzieś ocalały, to profesor Pawłowski gotów jest się podjąć badań nad nimi. I nie ma znaczenia, jak dawno zostały zebrane – ważne, żeby były odpowiednio przechowywane.

Dowody rzeczowe zostały wysłane ze Lwowa 11 października 1932 i dotarły do Krakowa w trzech pakunkach. Z protokołów sądowych wynika, że znajdowały się wśród nich futro ze śladami krwi, zakrwawiona koszula nocna Lusi, kał znaleziony w pokoju Lusi (zapakowany w metalowe pudełko), kawałki tynku i owinięty papierem dzagan. Wszystko to zostało zdeponowane w magazynie dowodów rzeczowych Sądu Okręgowego w Krakowie pod pozycją 739/32. W listopadzie 1932 roku dowody zostały przywiezione do Zakładu Medycyny Sądowej Collegium -Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego przy ulicy Grzegórzec-kiej 16. Teoretycznie mogą tam być do dzisiaj.

„Czy dowody rzeczowe ze sprawy Gorgonowej wciąż znajdują się u Państwa?” – pytam mejlem profesora Tomasza Konopki, obecnego kierownika krakowskiego zakładu.

„Jedyny dowód, jaki przechowujemy, to dzagan, którym dokonano zabójstwa” – odpowiada profesor.

Krakowska Katedra Medycyny Sądowej powstała w 1804 roku (w Warszawie dopiero w 1825 roku). Jest jedną z najstarszych w Europie. Widać to po budynku przy Grzegórzeckiej, wyglądającym jak muzeum – łuki, kolumny, kamienne podłogi i portrety przodków na ścianach. Najważniejszy z nich to ten olejny Jana Olbrychta. Twórcy podstaw nowoczesnej medycyny sądowej. On jako pierwszy zaczął w polskiej kryminalistyce wykorzystywać krew. Trwa właśnie kilkudniowa przerwa w ekshumacjach smoleńskich, profesor Tomasz Konopka oprowadza mnie więc po tutejszej izbie pamięci. W szklanych gablotach są najciekawsze eksponaty, które przysyłali tu do badań prokuratorzy i sędziowie z całej Polski, bo Kraków uchodził niegdyś za najważniejszy ośrodek ekspertyz medycyny sądowej. Są siekiery, noże, tasaki, młotki, trzonki, czyli to, czym w ciągu ostatniego wieku zabijali się Polacy.

Dwukilogramowy kilof bez trzonka wygląda jak na zdjęciu sprzed osiemdziesięciu pięciu lat w „Tajnym Detektywie”. Pokryty tą samą rdzawobrazową patyną. Można go wyciągnąć z szafy, obejrzeć, a nawet wziąć do ręki, zamarkować kilka ciosów i poczuć się jak morderca tamtej nocy.

– Do odnalezienia DNA wystarczy jedna komórka, ale tu jej nie ma – zapewnia profesor, obracając w rękach dzagan. A nawet gdyby kiedyś była, to przez te osiemdziesiąt pięć lat kilof

przechodził przez tysiące rąk policjantów, prokuratorów, sędziów, adwokatów, biegłych i zwykłych studentów, którzy podczas zajęć chcieli przyjrzeć się z bliska najslawniejszemu z eksponatów.

Zanim trafił do gabloty, dziesięć godzin leżał w basenie w Brzuchowicach. Jeśli były na nim jakiegokolwiek ślady krwi, to wypłukała je woda. Gdy po dziesięciu miesiącach dotarł do Krakowa, pokrywała go gruba warstwa brunatnoczerwonej rdzy. W Krakowie był mocno eksploatowany przez profesora Olbrychta. Ten najpierw szukał na nim krwi, a gdy nic nie znalazł, przeszedł do kolejnych eksperymentów. Badał zwłoki. Szczególnie interesowały go głowy. Rozbijał je kilofem i porównywał obrażenia z tymi, które miała Zarembianka. W ten sposób ustalił, że sprawca był praworęczny i uderzał stępią krawędzią w głowę dziewczynki.

Potem używał dżaganu do kolejnych eksperymentów. Przez wiele tygodni smarował go ludzką krwią i zanurzał w wodzie. Sprawdzał, czy rzeczywiście mogła zostać splukana w basenie.

Odpowiedzi na pytanie, kto zabił, Tomasz Konopka radzi szukać w publikacjach naukowych profesora Olbrychta.

Tajemnice Aldony K.

W 1940 lub 1941 roku, tego dokładnie Romusia nie pamięta, ojciec ożenił się z Henryką Jurasz, która wcześniej była żoną jego ciotecznego brata.

Chciała do niej mówić „mamo”, ale ta pozwoliła jej tylko na „ciociu”. Dziś mówi o niej „macocha”. Macocha ciągle wypominała, że urodziła ją zbrodniarka i że sama niczym się nie różni od matki. Pasierbica jej nie lubiła. Bo, jak twierdzi, macocha robiła wszystko, by ojciec znienawidził Romusię i całą miłość przelał na Januszka, syna nowej żony. On był jej oczkiem w głowie, ona natomiast tylko córką Gorgonowej.

Zmiana imienia niewiele pomogła. O tajemnicy Doni – Aldony K. – dowiadują się dzieci w szkole. Wytykają ją palcami. Czuje się kimś gorszym. Pod zmienionym imieniem wciąż nosi piętno Gorgonowej. To bardzo utrudnia życie. Będąc nastolatką, poznaje Zbyszka. Chce z nim chodzić na potańcówki, ale dowiaduje się o tym wujek chłopaka, lekarz, i zaraz go ostrzega: „Jak się ożenisz z Donią, to dzieci ci zamorduje”. I wszystko się rozpada.

Nowa rodzina Zaremby też nie ma łatwo. Ludzie obrażają macochę na ulicy, krzycząc za nią: „Gorgonowa”. Za Zarembą rzucają kamieniami. Przyszłemu inżynierowi K. to nie przeszkadza i prosi Romusię o rękę.

Małżeństwo K. mieszka z córką na Muranowie, w jednym obskurnym pokoju. On kończy studia, ona utrzymuje rodzinę ze swojej pracy w Zjednoczeniu Przemysłu Mięsnego, gdzie raz na tydzień wypłacają deputat w kielbasie.

W 1957 roku Romusia postanawia odnaleźć jedyną siostrę. Przez dziennikarza, który pisał o Ewie artykuł, dowiaduje się, gdzie jest, i sprowadza ją do Warszawy. Zamieszkują wspólnie w jednym pokoju.

Romusia uważa, że Ewa nie jest dość pracowita, że powinna jej częściej pomagać. Konflikt narasta, więc Ewa w końcu się wyprowadza, zrywa kontakty, wyjeżdża na Pomorze. Nie rozmawiają.

Po latach Romusia chce odbudować rodzinę. W trakcie podróży nad morze postanawia odwiedzić siostrę na prowincji. Dojeżdża do Trzebiatowa i widzi ją, jak kroczy przez miasto z zebrany w lesie chrustem. Rozczochrana, w zniszczonej spódnicy i za dużych butach.

Ten widok ją poraża. Odjeżdża.

Do tego momentu nigdy nie myślała o siostrze, tak jak i o matce.

– Żyłam w przekonaniu, że jej nie ma – mówi. – Ojciec ni-gdy o niej nie wspominał, więc o niej zapomniałam. Nie myślałam o niej. Nie brakowało mi jej. Przypominała mi o niej tylko macocha. Mówiła o niej najstraszniejsze rzeczy. Nie mogłabym się potem do niej zbliżyć, po tym, co zrobiła, po tym, jak patrzyłam na cierpienie ojca. W każdą rocznicę śmierci Lusi zamykał się w swoim gabinecie i trzeba było chodzić wokół na paluszkach. Ojciec się bał, że gdy matka wyjdzie z więzienia, zacznie mnie szukać, a jak znajdzie, to będzie chciała się zbliżyć, przeciągnąć na swoją stronę i mnie mu odebrać.

Miał rację – pojawiła się. Jakimś cudem się dowiedziała, że mieszkamy na Kolonii Kościuszkowskiej na Żoliborzu. Dom nasz stał między Instytutem Chemicznym a zakonem zmartwych-wstanek. W sieni było wielkie okno wychodzące na podwórze. Przez nie ją zobaczyłam. Stała przed furtką w czerwonym płaszczu. Od razu wiedziałam, że to ona. Bo była piękna, miała czarne, kręcone włosy. Wydawało mi się, że tak elegancka kobieta nie może być nikim innym, jak tylko Gorgonową. Przestraszyłam się. Pobiegłam do kuchni, gdzie macocha gotowała obiad.

„Ciociu – powiedziałam – Gorgonowa po mnie przyszła”.

Macocha poszła otworzyć jej drzwi. Słyszałam, jak matka mówiła, że chciałaby się ze mną zobaczyć, i wtedy macocha zaprowadziła ją do gabinetu ojca. Matka usiadła na jednym z tych wielkich skórzanych foteli, a ja wciąż stałam na schodach. Bałam się do niej podejść. Gdy mnie zobaczyła, zaczęła się uśmiechać.

„Dziecko, ja jestem twoją matką” – powiedziała przyjaźnie.

Odpowiedziałam jej twardo: „Ja nie mam matki. I nigdy nie miałam”.

Uśmiech znikł z jej twarzy. Szybko wstała i wyszła. Nie całkiem jednak usunęła się z mojego życia. Widziałam, jak jej czerwony płaszczyk krąży za mną, zawsze przed nim uciekałam. Gdy wypowiadam słowo „matka”, nie czuję nic. Nigdy mi jej nie brakowało. Jej nazwisko mnie mierzi. Kojarzy mi się z gorgonami, mitycznymi morskimi potworami. Ojciec nigdy mi nie powiedział, co się wydarzyło w Brzuchowicach. Sama do wszystkiego dochodziłam. Podśluchiwałam rozmowy ojca z macochą, pytałam znajomych, czytałam gazety. Przeanalizowałam wszystkie fakty i innego wytłumaczenia nie ma. To ona zrobiła.

To jej zakrwawioną chusteczkę znaleziono w piwnicy pod węglem, to ślady jej damskich pantofli na śniegu prowadziły do werandy, to ją po przebudzeniu zobaczył Staś.

I jest coś jeszcze, co ją obciąża, a co tylko mnie powiedział znacznie później Staś. Kiedy tamtej nocy przechodził przed zaśnięciem obok jej łóżka, zobaczył, że trzyma książkę do góry nogami. Widać była tak zdenerwowana, że tego nie zauważyła. Może myślami już była w pokoju Lusi?

Śledztwo. Z archiwum Olbrychta

W filmie Janusza Majewskiego w rolę Jana Olbrychta wcielił się Wojciech Pszoniak. Grał lekko szurniętego, mocno nawiedzonego, oderwanego od rzeczywistości naukowca – biegłego sądowego, w którego rękach był los zagubionej, zaszczutej kobiety, granej przez Ewę Dałkowską. Udawał zimnego fachowca, który tak naprawdę marzył, by pogrążyć Gorgonową. Olbrycht Pszoniaka jest nadpobudliwy, gada sam do siebie, ma zmienne nastroje.

Ten filmowy obraz powszechnie szanowanego krakowskiego profesora, który uchodził za wzór rzetelności i bezstronności, tak dalece odbiegał od oryginału, że krewni zmarłego wytoczyli reżyserowi proces. Domagali się natychmiastowego wstrzymania emisji filmu. Sąd oddalił ich pozew, uzasadniając, że w całym filmie ani razu nie pada nazwisko Olbrycht.

To prawda. Nie pada. Ale wszyscy w Krakowie wiedzą przecież, że postrzelony Pszoniak wcielił się w rolę najwybitniejszego polskiego medyka sądowego, którego prace tworzyły podwaliny polskiej kryminalistyki, z którego podręczników do dziś korzystają studenci wydziałów medycznych.

Pracę w krakowskim zakładzie medycyny sądowej zaczynał jeszcze przed pierwszą wojną światową. W latach dwudziestych miał już sławę wyjątkowego znawcy. Zbierał doświadczenie, chodząc z policjantami na oględziny miejsc zabójstw. Był pionierem wykorzystania serologii w medycynie sądowej.

W 1923 roku w wieku trzydziestu siedmiu lat został kierownikiem powołanej specjalnie dla niego Katedry Medycyny Sądowej w Krakowie. Trzy lata później zostaje pierwszym medykiem sądowym, który w polskich sądach wykorzystuje badania grup krwi do ustalenia spornego ojcostwa.

Cudotwórcą okrzyknięto go w 1927 roku, gdy z wyłowionych z rzeczki Dłubni kawałków mięsa odczytał, że ofiarą jest młoda kobieta, którą zabito uderzeniem ciężkim narzędziem w głowę, a następnie poćwiartowano jej ciało. Ustalił to na podstawie zatorów tłuszczowych w płucach, powstających po zgruchotaniu kości. (Głowy denatki nigdy nie odnaleziono).

Olbrycht ustalił nie tylko przyczynę zgonu i sposób działania sprawcy, ale nawet wygląd ofiary. Na podstawie pomiarów kości stwierdził, że zamordowana została dwudziestoosmioletnia kobieta o wzroście sto pięćdziesiąt–sto sześćdziesiąt centymetrów. Typował nawet, że była szatynką (kolor włosów ustalił na podstawie włosów łonowych). Opis ten pasował do zaginionej modelki krakowskich malarzy Zofii Paluch. Zagadka została rozwiązana, gdy policjanci zjawili się w mieszkaniu jej męża i odnaleźli plamy krwi. Ekspertyzy Olbrychta pogrążyły Macieja Palucha i choć się nie przyznawał, sąd skazał go za zamordowanie żony. Uderzył się w piersi dopiero po kilku latach pobytu w więzieniu i opisał, w jaki sposób dokonał morderstwa. Jego zeznania zgadzały się z tym, co ustalił wcześniej Olbrycht.

„Rzeczowy, odważny, obiektywny, pracowity, wymagający, surowy, daleki od oportunistów” – taką opinię wystawia mu macierzysta uczelnia.

Ma na swoim koncie kilka tysięcy ekspertyz sędowo-lekarskich, setki rozwiązanych zagadek kryminalnych, dziesiątki prac naukowych tłumaczonych na różne języki. Występuje jako biegły w bardzo głośnych procesach zbrodniarzy wojennych III Rzeszy: Ludwiga Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa, Josefa Bühlera, ministra w rządzie Generalnego Gubernatorstwa, oraz załogi KL Auschwitz. Ale nieśmiertelną sławę zapewnia mu funkcja biegłego, który pogrążył Margaritę Gorgonową. I przez całe swoje naukowe życie zmagał się z tą sprawą i kłamstwem o niewinności Gorgonowej.

Pod koniec lat trzydziestych, wobec nasilających się plotek, zamierza drobiazgowo i naukowo rozprawić się z niedowiarkami. Robi to w pracy naukowej, gdzie dokonuje szczegółowej analizy akt i rozwiewa wszystkie wątpliwości.

Prace przerywa mu wojna. Profesor trafia do obozu koncentracyjnego. Najpierw do Auschwitz, potem do Mauthausen. Wraca do Krakowa w 1945 roku. Zbiera starą kadrę naukową i odbudowuje katedrę. Kierowany przez niego Zakład Medycyny Sądowej staje się najważniejszą tego typu placówką w Polsce. Wykonuje tysiące badań na potrzeby dziesiątek instytucji z całego kraju.

Olbrycht w tym czasie szkoli nowe zastępy medyków sądowych, pisze dla nich podręczniki i bez reszty poświęca się pracy.

Zapomina o przebrzmiałym procesie sprzed lat?

Wspominał: „Zdawało mi się, że sprawa Gorgonowej należy już do historii, że zbiorowe zainteresowanie chyba już dawno minęło i umysły się uspokoiły”.

Tak było do roku 1949. Wtedy w „Echu Krakowa” też ukazuje się głośny artykuł Stefanii Szatkowskiej o ogrodniku, który na łożu śmierci przyznał się do zamordowania Lusi Zarembianki. Wszystkie emocje ożyły. Wróciły wspomnienia. Znową cała Polska rozprawia o Gorgonowej. I już nie tylko prasa brukowa nie jest pewna jej winy, lecz także pisma naukowe.

W „Problemach Kryminalistyki” w winę Gorgonowej powątpiewa Mieczysław Czubalski. Jest rok 1960. Wtedy Olbrycht postanawia zakończyć pracę nad referatem na ten temat.

Tak to uzasadnia:

Żaden z procesów karnych w Polsce w ostatnich dziesiątkach lat nie poruszył tak gwałtownie umysłów szerokich warstw społeczeństwa. Można powiedzieć, że była to zbiorowa psychoza.

W różnych publikacjach padały pod adresem ludzi powołanych do sądenia sprawy – z jednej strony – wyrazy najwyższego uznania, z drugiej – ohydne obelgi. Świąciły orgie: dyletantyzm, złośliwość i nieuctwo. Możecie sobie wyobrazić, jak bolesne dla ludzi fachowych i w sprawie zorientowanych było czytanie tego rodzaju demagogicznych, dyletanckich wypowiedzi? Nadal utrzymuje się w społeczeństwie opinia o omyłce sądowej, której ofiarą miała paść Gorgonowa. Nadeszła więc pora, żeby po publicystyce także nauka wypowiedziała swoje uwagi.

Nauka – piórem Jana Olbrychta – wypowiedziała swoje uwagi w książce *Wybrane przypadki z praktyki sądowo-lekarskiej*. Jej maszynopis rodzina profesora złożyła po jego śmierci w 1968 roku w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest tam do dziś w archiwum profesora. Wystarczy wypisać rewers i archiwista przyniesie go w białych rękawiczkach. Szesnaście teczek. Tyle po nim pozostało.

Są jego zdjęcia. Przygarbiony starzec za wielkim biurkiem z dwoma ebonitowymi aparatami telefonicznymi, stertą papierów i rodzinnym zdjęciem. Na innych fotografiach: zawsze w białym kitlu, zawsze z wystającą spod niego białą koszulą i w krawacie.

Nigdy się nie uśmiecha, nie patrzy w obiektyw. Na ustach zawsze ma grymas. Na tych zdjęciach nie wygląda sympatycznie, raczej groźnie i odpychająco. Zimny, zasadniczy, z dystansem.

Takich jak on dziennikarze nie lubią, bo taki nigdy człowiekowi pióra nie pomoże, nie poradzi, nie wskaże drogi. Być może dlatego pisali o nim źle i podejrzliwie. A w „Wiadomościach Literackich” wprost, że jest stronniczy, niechętny Gorgonowej i brak mu wiarygodności. Tego typu wycinków w archiwum profesora nie ma. Są takie, w których dziennikarze piszą o jego niezwykłych osiągnięciach, kolejnych sukcesach, tajemniczych

zgonach, których zagadkę rozwiązał. Profesor był małowówny, więc nie ma z nim wywiadów. Wszystko, co chciał ludziom przekazać, publikował w swoich pracach naukowych. Gorgonowej poświęcił cały rozdział (sto trzydzieści sześć stron maszynopisu) w *Wybranych przypadkach z praktyki sądowo-lekarskiej*. Jest pierwszym medykiem sądowym, który drobiazgowo odtworzył ostatnie chwile życia Elżbiety Zarembianki.

Z krwawych wykrzykników i wypustek – jak nazywa ślady na ścianach – retort, z ułożenia ciała, wielkości i głębokości ran Olbrycht odczytuje kierunek zadawanych ciosów, rodzaj użytego narzędzia, a nawet kierunek ucieczki sprawcy.

Olbrycht pisze, że pierwsze ciosy spadły na Zarembiankę, gdy spała. Leżała na prawym boku, odwrócona twarzą do ściany. (Krew spływała na prawą część ciała). Uderzenia były tak mocne, że dżagan (profesor nie wyklucza, że mógłby to być dżagan) wbił się w czaszkę. I przestała się ruszać.

Kolejne ciosy były słabsze. Jakby zabójcy brakowało sił, jakby się zmęczył tym rąbaniem. Mógł nawet odłożyć dżagan i chwilę odpocząć.

Dalej są już tylko przypuszczenia: że dziewczyna mogła się na chwilę wybudzić. Profesor zna takie przypadki z własnej praktyki i z opisywanej sprawy wampira z Düsseldorfu. (Peter Kürten zabijał kobiety młotkiem).

I to wybudzenie mogło wystraszyć zabójcę, który chwycił za dżagan ponownie i dobił dziewczynę. Te kolejne ciosy spadły na prawą część głowy i rękę. (To dowód, że Zarembianka odwróciła głowę i odruchowo zasłoniła się ręką).

Przyczyną śmierci Zarembianki było uszkodzenie mózgu. W agonii doszło do upozorowania gwałtu. Upozorowania, bo jak dowodzi profesor, zabójca zdeflorował ofiarę palcem. (Że był to palec, potwierdza eksperyment na zwłokach dwóch młodych kobiet). „Sprawa Gorgonowej jest przyczynkiem do kazuistyki bardzo rzadkich w światowym fachowym piśmiennictwie przypadków upozorowanego zabójstwa z lubieżności” – pisze Olbrycht. Profesor zachowuje naukowy dystans i stara się nie pisać wprost, że to Gorgonowa zamordowała. Ale nie wyklucza, że dokonała tego kobieta. Odnotowuje więc, że kobieta mogła dokonać defloracji Zarembianki i użyć dżagana.

A gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości, to precyzuje, że Gorgonowa miała dość czasu, by zabić i wrócić do własnego pokoju, że starczyłoby jej na to siły i że była do tego psychologicznie zdolna.

Olbrycht rozwiewa w książce jeszcze jedną wątpliwość – sprawę kału znalezionej tuż po zabójstwie. Dla prokuratury był to dowód obciążający Gorgonową, bo miał dowodzić, że morderca był nowicjuszem i nie wytrzymał nerwowo. Dla obrony – wręcz przeciwnie – dowód jej niewinności, bo jak przekonywał mecenas Axer, tylko zawodowi włamywacze zostawiają po sobie taki ślad. Spór ten rozstrzygnął dopiero Olbrycht, bo był pierwszym naukowcem, który przebadał znalezione próbki i uznał, że z dużym prawdopodobieństwem były to psie odchody.

Na końcu rozdziału o Gorgonowej zapisuje coś na kształt życiowego motto:

„Jest prawem i obowiązkiem biegłego sądowego szukać przede wszystkim prawdy i służyć prawdzie, bez względu na krytyki i wrogość tych, którym nie podoba się obiektywizm i bezstronność”.

– Proces był poszlakowy. Decydowały dowody osobowe. I te świadczyły przeciwko Gorgonowej – mówi dziś kierownik krakowskiego zakładu Tomasz Konopka. – Z opinii profesora -Olbrychta wynika, że te dowody obciążają Gorgonową. I ja się z nim zgadzam. Wszyscy tu mamy bardzo dobre zdanie o profesorze.

– I nie ma pan wątpliwości?

– Nie mam powodu wątpić. Szukając sprzeczności, można zakwestionować każdy wyrok.

Sam jestem w stanie znaleźć argumenty, które zrobią wrażenie na czytelnikach gazet. Ich można przekonać, ale nie sąd. To nie jest tak, że jeśli się przeczyta uważnie te akta, to coś się w nich znajdzie, bo oni wtedy coś przeoczyli. Ta sprawa została bardzo dokładnie zbadana. Do dziś znajduję w naszym laboratorium dokumenty z eksperymentów na zwłokach, które przeprowadzał wtedy profesor. Był bardzo drobiazgowy. Skoro twierdzi, że zamordowała Gorgonowa, to tak było.

Ostatni trop

Mieszkająca w Szczecinie Margarita Ilić, wnuczka Rity, podrzuca mi jeszcze jeden trop do sprawdzenia.

Wieś M., położona między Wrocławiem a Kluczborkiem.

Niedawno przyszedł stamtąd list.

Pani Babcia przyjechała tu, ponoć, jak byli tu jeszcze Niemcy. Prowadziła sklep we wsi i mieszkała sama w dużym domu. Dom miał przepiękny ogród, rośliny orientalne, figury jakieś były na drzewach. Ostało się jedynie jedno drzewo od ulicy. Sprawdziłam. To tamaryszek.

Przyjaźniła się z jakimś małżeństwem i w zasadzie tylko z nim. Podobno, jak zniknęła, milicja przez kilka dni jej szukała. Nic nie znalazła. To małżeństwo twierdziło, że pani Babcia wyjechała nocą. Zaraz potem owo małżeństwo zajęło jej dom. Ich dzieci i wnuki mieszkają tam do dziś. Tam proponuję szukać.

Podaję trop. Z Warszawy to pięć godzin jazdy samo-chodem wąskimi, krętymi wiejskimi drózkami. Przy głównej drodze stoją poniemieckie gospodarstwa z wielkimi murowanymi stodołami, poprzetykane nowoczesnymi domkami z plastikowymi oknami. Że nie jechałem na darmo, mówi mi ekspedientka w dawnym GS-ie i odsyła do babci Ireny.

– Najstarsza jest. Ma bliżej niż dalej do końca, to może powie prawdę – stwierdza.

Irena P. przybyła do M. na początku 1946 roku. Ulokowała się pod lasem, bo wszystkie domy w centrum były już zajęte. Razem z jej rodziną mieszkali jeszcze dawni niemieccy właściciele, którzy nie mieli już ani prawa do domu, ani do ziemi. Gdy z drzewa, które kiedyś zasadzili, spadały gruszki, nie mogli ich jeść bez pytania. Musieli prosić nowych właścicieli o pozwolenie. Rodzice Ireny nie byli mściwi i zgadzali się, by Niemcy zbierali dla siebie owoce. Aż pewnego dnia przyjechali wojskowi z milicją i kazali się wszystkim Niemcom wynieść z M. Zapakowali więc swój cały dobytek na wózki i ruszyli główną drogą przez wieś, gdzie m-iejscowi spychali te wózki do rowów, a potem brali z nich, co chcieli.

Irena mówi, że gdy się tu sprowadziła, Gorgonowej już nie było. Ale pozostała jej legenda i ludzie, którzy ją zapamiętali. Opowiadali, że mieszkała w Wilejce. Niedaleko domu dziś jest cmentarz. Przyjaźniła się tylko z małżeństwem Krzysiaków, którzy przejęli od Niemców dom w centrum wioski. I pewnej nocy zniknęła. Gdy sąsiedzi pytali o nią Krzysiaka, ten odpowiedział, że była nie tylko morderczynią, lecz także złodziejką. Twierdził, że ukradła mu wiaderko ze złotem i uciekła. Nigdy nie wróciła, nikt jej nigdzie nie spotkał, nikt o niej nie słyszał, do nikogo nie wysłała ani listu, ani kartki.

– Najwięcej będzie wiedział sam Krzysiak – mówi staruszka, ale zaraz sobie przypomina, że przecież od dawna już nie żyje.

Stanisław Krzysiak od dwudziestu lat spoczywa w mogile na wiejskim cmentarzyku, położonym koło dawnej Wilejki, gdzie mieszkała Gorgonowa. Teraz stoi tu nowy dom Krzysiaków, którzy po zniknięciu Gorgonowej przejęli działkę. Mieszka w nim z mężem córka Stanisława, Barbara. Rocznik 1945. Potencjalnie powinna pamiętać Gorgonową z opowieści rodziców lub sąsiadów. Ale gdy dowiaduje się, o co chcę ją zapytać, wymawia się bólem głowy. Starszy pan robi zdziwioną minę:

– Naprawdę mówią, że tutaj mieszkała? Pierwszy raz słyszę.

Podpowiadam więc, czego się przed chwilą dowiedziałem: że przyjechała tu w sierpniu 1945 roku, że zniknęła w grudniu 1945 lub na początku stycznia 1946. Przez te cztery czy pięć miesięcy mieszkała właśnie tu, gdzie stoi dom Krzysiaków. Zniknęła jednej nocy razem ze

złotem teściów. I że teściowie zaraz po jej zniknięciu przejęli jej dom, jakby wiedzieli, że właścicielka nigdy nie wróci.

To przecież niemożliwe, by nie słyszał tej historii, skoro ja poznałem ją chwilę po przyjeździe do M.

Starszy pan kiwa przecząco głową i spokojnie powtarza:

– Pierwszy raz słyszę.

I nie drga mu nawet powieka. Nic więcej już nie mówi.

Rozwiązanie zagadki nadchodzi elektroniczną pocztą.

„Dla mieszkańców wsi nie jest tajemnicą, co się tam stało – kobieta, którą wcześniej spotkałem w M., wtedy nie chciała powtarzać, jak stwierdziła, plotek. Teraz zmieniła zdanie. – Podobno Gorgonowa była bogata. I złota dużo miała. A jak zniknęła, to jej dom przejęło nagle małżeństwo Krzysiaków. Ponoć Krzysiak nigdy nie wchodził na górę, na strych. Jedni twierdzą, że zwłoki zawieźli do lasu, inni, że pewnie w ogrodzie zakopane. Skłaniałabym się ku opcji drugiej, bo ryzyko drogi do lasu byłoby zbyt wielkie”.

Na końcu mejla jest jeszcze prośba: „Piszę do pana w tajemnicy. Mieszkam tu samotnie ze stadem krów i łatwopalną stodołą. Proszę zrozumieć moje obawy”.

Podziękowania

Dziękuję Jakubowi Kowalskiemu, który pomógł mi skontaktować się z Romaną Zarembianką, córką Henryka i Rity. Bez niego nie dotarłbym do ostatniego żyjącego świadka zbrodni w Brzuchowicach.

Małgorzacie Weiss, kierownicze Oddziału Zbiorów Audiowizualnych Koszalińskiej Biblioteki Publicznej, za pogotowie archiwalne, które czuwało nad moją książką.

Szczególne podziękowania chcę złożyć Irinie Pokazanowej ze Lwowa, z której bloga i rad korzystałem, wędrując po Lwowie i Brzuchowicach w poszukiwaniu śladów Rity Gorgon i Henryka Zaremby.

Ewie – za wsparcie i punkt odniesienia. Z nikim innym nie potrafię rozmawiać o wątpliwościach podczas pracy.

Bibliografia

Książki:

Axer Erwin, *Ćwiczenia pamięci*, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1991

—, *Z pamięci*, Warszawa: Wydawnictwo „Iskry”, 2006

Falkowska Wanda, *Gorgonowa – sprawa bez końca*, „Ekspres Reporterów” 1978, nr 2, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa

Hirszfeld Ludwik, *Historia jednego życia*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2011

Janicki Kamil, *Upadłe damy II Rzeczypospolitej*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2013

Krzywicka Irena, *Sąd idzie*, Warszawa: Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, 1935

—, *Wyznania gorszycielki*, oprac. Agata Tuszyńska, Warszawa: Czytelnik, 2002

—, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, zebrana i wstępem opatrzyła Agata Zawiszewska, Warszawa: Feminoteka, 2008

Kulczycki Jerzy, *Atakować książką*, Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej, 2016

Laniewski Alfred, *Zbrodnia i łzy. Dwanaście lat pracy prokuratorskiej*, Lwów: Myśl – Wrażenia – Przeżycia, 1936

Olbrycht Jan Stanisław, *Medycyna sądowa w procesie karnym*, Warszawa: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, 1957

—, *Wybrane przypadki z praktyki sądowo-lekarskiej. Zabójstwo, samobójstwo, czy nieszczęśliwy wypadek?*, Warszawa: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, 1964

—, *Medycyna a kryminalistyka*, „Nauka dla Wszystkich”, nr 16, Polska Akademia Nauk – Oddział w Krakowie, 1966

Orłowicz Mieczysław, *Ilustrowany przewodnik po Lwowie*, Rzeszów: Wydawnictwa Libra PL, 2013

Osiadacz Maria, *W kręgu zbrodni. Reportaże sądowe*, Warszawa: Wydawnictwo Prawnicze, 1990

Przybyszewska Stanisława, *Listy. Październik 1929–listopad 1934*, t. 2, Gdańsk: Wydawnictwo Morskie, 1983

Romański Marek, *Sprawa Rity Gorgon*, Warszawa: Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, 1933

Tuszyńska Agata, *Długie życie gorszycielki. Losy i świat Ireny Krzywickiej*, Warszawa: Iskry, 1999

Widacki Jan, *Stulecie krakowskich detektywów*, Warszawa: Wydawnictwo Prawnicze, 1987

Zaremba Henryk, *Spowiedź ojca zamordowanej Lusi (przyczynek do procesu Gorgonowej)*, Warszawa: Wydawnictwo „Nowa Astrea”, 1933

Żurek Edmund, *Gorgonowa i inni*, Warszawa: Książka i Wiedza, 1973

Akta:

Archiwum Państwowe w Krakowie: Akta sprawy karnej IV K 258/32 Margarity Gorgon

Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego: Archiwum Jana Olbrychta (DLXXXIV 1–16)

Gazety:

„Express Wieczorny Ilustrowany” 1932–1933

„Gazeta Lwowska” 1932–1933

„Ilustrowany Kurier Codzienny” 1932–1933

„Nowiny Codzienne” 1933

„Nowy Dziennik” 1933

„Słowo Polskie” 1932

„Tajny Detektyw” 1932–1934

Ważniejsze artykuły:

Darecki Mirosław, *Legenda Gorgonowej*, „Kamena” 1977, nr 26, s. 4, 5, fot. [Rita Gorgonowa w opowieści Marii i Henryka Niziołów z Lublina], <http://biblioteka.teatrnn.pl/dlibra/Content/90211/legenda%20gorgonowej.pdf>, brak daty dostępu

Daszczyński Roman, *Wolali na mnie Gorgonicha*, „Duży Format”, wyborcza.pl,

goo.gl/EdS7Nc, dostęp: 22.05.2014

Horoszowski Paweł, *Od zbrodni do kary*, „Biblioteka Problemów”, t. 69, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1963

Jakubec Tomasz, *Mydlarz tragiczny – czyli historia życia Henryka Zaremby – ojca zamordowanej Lusi*, zycieitechnika.blogspot.com, goo.gl/bFtc7q, dostęp: 25.11.2014

Kern Elga, *Prawda o procesie Gorgonowej*, „Wiadomości Literackie” 1932, nr 25

Kocznur Jan, *Wspomnienie pośmiertne: Józef Woźniakowski*, „Palestra” 1962, nr 6/7

Krzywicka Irena, *Wielkie manewry sądowe*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 23

—, *Wizje i upiory*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 24

—, *Dzieje grzechów jej... i cudzych*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 25

—, *Niepokojący wyrok*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 22

Naumowski Wiesław, *Sprawa Rity Gorgon znów aktualna*, „Magazyn Polski” 1957, nr 7

Ostańkiewicz Czesław, *Szukam matki Rity Gorgon*, „Magazyn Polski” 1957, nr 11

Przybyszewska Stanisława, *Rita Gorgon, ofiara zastępcza*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 12

Sołtysik Marek, *Panieńska, Gorgonowa – nieszczęścia i tajemnice*, „Palestra” 2009, cz. 1: nr 3–4, cz. 3: nr 5–6

Sprawa Gorgonowej. Najgłośniejsze morderstwo II Rzeczypospolitej, nto.pl, goo.gl/KLHTqn, dostęp: 2.01.2010

Wiśniacka Romana, *Zeznania świadków w procesie Gorgonowej w świetle badań naukowych*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 20

Włodarski Łukasz, *Rita Gorgon – morderczyni czy ofiara?*, wmrokuhistorii.blogspot.com, goo.gl/L7pmU6, dostęp: 11.08.2014

Żurek Edmund, *Sprawa Gorgonowej. Czy nadal zagadka?*, „Prawo i Życie” 1973, nr 3, 4, 5, 6, 7

Źródła fotografii

8 – „Tajny Detektyw” 1933, nr 13 / Biblioteka Narodowa

30 – „Tajny Detektyw” 1932, nr 2 / Biblioteka Narodowa

40 – Archiwum Państwowe w Krakowie

48–49 – „Tajny Detektyw” 1932, nr 7 / Biblioteka Narodowa

66 – „Tajny Detektyw” 1933, nr 2 / Biblioteka Narodowa

69 – „Tajny Detektyw” 1932, nr 18 / Biblioteka Narodowa

71, 93, 109, 117, 119, 129, 130, 131, 135, 136, 137, 141, 149, 175 – Narodowe Archiwum Cyfrowe

83 – „Tajny Detektyw” 1932, nr 18 / Biblioteka Narodowa

144 – „Światowid” 1933, nr 19 / Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa

177, 178 – Fot. Renata Dąbrowska / Agencja Gazeta

206 – „Tajny Detektyw” 1933, nr 16 / Biblioteka Narodowa

209 – Magdalena Wdowicz-Wierzbowska

Przypisy

- [1] *Nie bronię Rity Gorgon, lecz bronię sprawy Rity Gorgon. Sensacyjny wywiad „Expressu” z p. Elgą Kern*, „Express Wieczorny Ilustrowany”, 26.03.1933.
- [2] *Coraz więcej głosów za uniewinnieniem Gorgonowej*, „Nowiny Codzienne”, 25.03.1933.
- [3] *Wiele hałasu, a mało prawdy*, list Elgi Kern do redakcji, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 18.
- [4] Stanisława Przybyszewska, *Rita Gorgon, ofiara zastępcza*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 12.
- [5] Elga Kern, *Unieważnienie wyroku w sprawie Gorgonowej*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 35.
- [6] *Proces Gorgonowej*, „Tajny Detektyw” 1933, nr 12.
- [7] Tamże.
- [8] Tamże.
- [9] Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa: Czytelnik, 1992, s. 290.
- [10] Tamże, s. 291.
- [11] Irena Krzywicka, *Wielkie manewry sądowe*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 23.
- [12] Tamże.
- [13] Elga Kern, *Prawda o procesie Gorgonowej*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 25.
- [14] *Architekt Zaremba ma dużo do powiedzenia o Gorgonowej – ale po rozprawie*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 10.04.1933.

